

A woman with brown hair styled in an updo, wearing a white, long-sleeved blouse with lace detailing on the shoulder, is looking out of a large window. The background behind her is a bright, slightly blurred view of a landscape. Below the window, the scene transitions into a wide, golden field of tall grass or wheat, with a narrow dirt path winding through it. In the distance, there are rolling hills and a few scattered trees under a soft, hazy sky.

Katarzyna Lcht

MARIA JOLANTA
WILCZURÓWNA

NOVAE RES

Katarzyna Echt

MARIA JOLANTA
WILCZURÓWNA



NOVAE RES

WSTĘP

Prawie sto lat temu, w roku 1937, Tadeusz Dołęga-Mostowicz opisał losy profesora Wilczura w książce pod tytułem „Znachor”. Książka ta stała się dla mnie inspiracją.

Niezwykle zdolny chirurg, Rafał Wilczur, doświadczył wielkiej rodzinnej tragedii, gdy jego żona, bez ostrzeżenia, odeszła do innego mężczyzny, zabierając ze sobą ukochaną przez Wilczura córeczkę Marysię, nazywaną przez ojca Mariolką. Kiedy zrozpaczony lekarz szukał na przedmieściach Warszawy ukojenia w alkoholu, został napadnięty i ograbiony. Silne uderzenie w głowę spowodowało utratę pamięci. Gdy odzyskał przytomność, nie wiedział, kim jest i jak się nazywa. Przez trzynaście lat błąkał się po polskiej prowincji pod przybranym nazwiskiem Antoniego Kosiby. Przypadek sprawił, że osiadł na stałe w młynie w Radoliszkach, gdzie wróciła mu pamięć zawodowa i zaczął bezinteresownie leczyć zwykłych ludzi. Zyskał tym wdzięczność i uznanie otoczenia, ale także wzbudził niechęć i zazdrość lokalnego medyka, doktora Pawlickiego.

Po pewnym czasie zmarł przybrany opiekun Marysi, a niedługo później jej matka. Marysia musiała radzić sobie sama. Podjęła więc pracę w małym sklepiku w Radoliszkach. Tam też skrzyżowały się drogi ojca i córki, choć nic o sobie nie wiedzieli.

Wkrótce potem o względy Marysi zaczął zabiegać młody hrabia Leszek Czyński, co z czasem przyczyniło się do lokalnego skandalu obyczajowego oraz wywołało dezaprobatę rodziców hrabiego. Mimo strachu przed plotkami i ostracyzmem społeczności, Marysia oddała Leszkowi serce. Gdy planowali wspólną przyszłość, zdarzył się wypadek spowodowany przez odrzuconego przez Marysię konkurenta. Kosiba uratował życie obojgu, ale do przeprowadzenia trepanacji czaszki córki potrzebował precyzyjnych narzędzi chirurgicznych. Pawlicki odmówił pomocy umierającej dziewczynie i nie pożyczył Kosobie przyrządów. Zdesperowany chirurg ukradł je, dzięki czemu operacja zakończyła się sukcesem. Niestety Pawlicki złożył doniesienie o kradzieży na policję. Kosiba został uznany winnym, a następnie zamknięty w więzieniu.

Rodzice Leszka Czyńskiego, z obawy przed utratą jedyne dziecko, zaakceptowali Marysię jako wybrankę syna, wkrótce po jego powrocie z zagranicznej rehabilitacji. Pieniądze i koneksje uruchomiły odwołanie od wyroku sądu w sprawie Kosiby. W trakcie rozprawy odwoławczej zeznawał najlepszy polski chirurg, uczeń profesora Wilczura. On to właśnie rozpoznał w osobie Kosiby swojego dawnego mentora. Profesor dzięki temu odzyskał pamięć oraz córkę.

Dołęga-Mostowicz spisał dalsze losy Wilczura, gdzie życie Marysi toczy się utartym schematem tamtych czasów. W drugiej części powieści autor poświęca dziewczynie bardzo mało miejsca. Adaptacja filmowa zaś ukazuje ją według ówczesnych stereotypów. Jest dobrą żoną i matką, a dylematy małżeńskie dotyczą względów uczuciowych, głównie zazdrości. Tymczasem odzyskanie ojca i majątku rodzinnego otworzyło Marysi nowe możliwości rozwoju. Postanowiłam więc DAĆ JEJ SZANSĘ na zrealizowanie własnych celów i marzeń.

Jednostajny stukot kół pociągu uspokajał i pozwalał zebrać myśli. Profesor Dobraniecki i Mariolka mieli przymknięte oczy; wyraźnie drzemali po długim, męczącym dniu. Profesor Wilczur wrócił myślami do ostatnich, niezwykłych godzin. Przecież dziś narodził się na nowo! Po trzynastu latach odzyskał tożsamość i córkę. Zaczęły mu powracać wspomnienia, obrazy minionych lat, jak na zwolnionych kadrach filmu. Oto trzyma w ręku list od żony, w którym Beata zawiadamia go, że odchodzi, zabierając córeczkę. Teraz zrozpaczony i już nieźle pijany włóczy się po mieście, szukając ukojenia. W kolejnej knajpie wysłuchuje mądrości życiowych jakiegoś domorosłego filozofa, wychodzi na zewnątrz i czuje silne uderzenie w głowę. Następnym obrazem to skrzypiąca fura i jego boląca głowa uderzająca o deski. Powraca to potworne uczucie, że nie wie, kim jest, i nic nie pamięta. Nikt mu nie wierzy, nikt nie chce lub nie umie mu pomóc. Wraca fala poczucia bezradności i beznadziei. Widzi kolejne aresztowanie za włóczęgostwo w kolejnym komisariacie. Wie, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zdobyć dokument tożsamości. Wszystko się w nim buntuje przeciwko kradzieży, ale rozumie, że to jest konieczne. W komisariacie leżą metryki urodzenia zmarłych osób. Kładzie na nich czapkę. Od teraz nazywa się Antoni Kosiba i może swobodnie przedstawiać się jako robotnik do wynajęcia.

Odsunął od siebie smutne wspomnienia i uśmiechnął się, patrząc na spokojne i piękne oblicze Mariolki, tak podobne do utraconej miłości jego życia. Nie rozumiał wtedy i dziś też nie wiedział, dlaczego Beata od niego odeszła. Zdawał sobie jedynie sprawę, że niczym nie zawinił. To od tamtego momentu zaczęło się nieskończenie długie pasmo niesprawiedliwości, bólu i upokorzeń.

Wzdrygnął się lekko na wspomnienie minionej udręki, ale rozumiał, że oglądanie się w przeszłość niczego nie zmieni. Teraz ma dla kogo żyć, nie jest już sam i odzyskał dom. Wrócił myślami na cmentarz, z którego droga powrotna zdała mu się dużo piękniejsza w blasku zachodzącego słońca. Śnieg iskrzył jak brylantowa narzuta utkana rękami arcy mistrza. Obok szła jego ukochana i cudem odzyskana córka.

– Czy chcesz zobaczyć twój dom, Mariolko? Wrócić ze mną do Warszawy? – zapytał nieśmiało. W tym pytaniu było tyle nadziei, że Marysia nie mogłaby powiedzieć „nie”.

– Ojciec, o niczym więcej nie marzę! A czy Leszek będzie mógł pojechać z nami?

Obydwoje utkwili wzrok w twarzy Wilczura, czekając na odpowiedź jak na wyrok.

– Leszku – zwrócił się chirurg do narzeczonego córki – bardzo pragnę ugościć i ciebie, i twoich rodziców. Za parę dni wyślę depeszę z serdecznym zaproszeniem. Ale teraz pozwól Mariolce pojechać ze mną i nacieszyć się tym, że oboje odnaleźliśmy swoją rodzinę. Niedługo wasz ślub, więc już zawsze będziecie razem.

Leszek przez chwilę chciał protestować, ale uświadomił sobie, że to prawie egzamin z miłości do Marysi. Rozpogodził się więc i zapytał, czy konie mają jechać na kolej.

– Najpierw na pocztę – odpowiedział Wilczur. – Mam nadzieję, że pan Sobek, naczelnik poczty, pozwoli mi zadzwonić do Warszawy.

– Panie Profesorze – wtrącił się do rozmowy Dobraniecki – nie mamy zbyt wiele czasu. Nasz pociąg odchodzi za niespełną godzinę.

– No to ruszajmy. Leszku, po powrocie do domu opowiedz wszystko rodzicom i przeproś ich, że nie pożegnałem się osobiście.

Nastrój profesora Wilczura znacznie się poprawił, bo załatwił telefon do swojego krewnego Zygmunta Wilczura, prezesa Sądu Apelacyjnego, z prośbą o powrót starej służby i o przygotowanie domu na przyjazd gospodarza z córką. Szczegółowe wyjaśnienia pozostawił na później. Zdążył jeszcze wysłać depeszę do Prokopa Szapiela, zwanego Mielnikiem, ze słowami: „Jeszcze wrócę”. Był mu winien wyjaśnienie, dlaczego tak nagle znika. W czasie jego tułaczki po kresach Rzeczypospolitej ten jeden jedyny człowiek okazał mu zaufanie i przyjął do swojego domu. U niego też odzyskał pamięć zawodową. Nie wiedział, gdzie nauczył się leczyć ludzi, ale miał granitową pewność, że potrafi. Gdy zobaczył Wasilkę, syna Prokopa, z połamanymi i źle zrośniętymi nogami, wiedział na pewno, że potrafi mu pomóc. I pomógł nie tylko Wasilce, bo wkrótce przyjeżdżali do niego okoliczni chłopcy z różnymi chorobami. Od czasu, gdy syn przyjaciela zaczął samodzielnie chodzić, sytuacja Wilczura zmieniła się bardzo. Nie chciał wziąć pieniędzy, więc Prokop powiedział „to żyj z nami jak rodzony”. I tak też się stało.

Dobraniecki miał zamknięte oczy, ale nie spał. Rozmyślał nad najbliższą przyszłością, nad zmianami, które muszą nadejść. Dziękował Bogu za podjętą decyzję o powiedzeniu Wilczurowi, że go rozpoznał. Profesor Wilczur w końcu odzyskał pamięć, szczerze mówiąc bez jego udziału, ale gdyby nie zjawił się na cmentarzu, to musiałyby skłamać, że go nie poznał, i żyć z tym haniebnym kłamstwem już na zawsze. Zdecydowanie nie chciałby tego.

– Swoją drogą ten panicz Leszek zachował się wspaniale. Od razu zrozumiał, jakie to ważne, żeby ojciec i córka mieli trochę czasu tylko dla siebie i od razu kupił bilety dla Marysi i jej ojca – monologował w myślach Dobraniecki. – On pewnie nie zdaje sobie sprawy, jacy oni są bogaci, choć w tej chwili akurat musieliby prosić o pieniądze.

Dobraniecki wrócił pamięcią do czasu, gdy jako świeżo upieczony lekarz dostał zatrudnienie w lecznicy Wilczura. Wtedy to jeszcze były początki, ale niezwykle talent lekarski szybko został rozpoznany i doceniony zarówno przez pacjentów, jak i środowisko lekarskie. Wilczur uzyskał tytuł profesora i katedrę na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego, a Dobraniecki uczył się od swojego zwierzchnika, stając się wkrótce jego prawą ręką. Sęk w tym, że profesor miał nie tylko niezwykle umiejętności, ale i szczególne podejście do chorych. Jego spokojny głos, życzliwość i wyrozumiałość zyskiwały mu szerokie rzesze zwolenników. Tego Dobraniecki zazdrościł mu najbardziej. Teraz, po powrocie właściciela lecznicy, będzie

musiał stać się mniej ważny, ustąpić miejsca Wilczurowi, a przecież tak długo walczył o swoją pozycję pierwszego lekarza – nie tylko w Warszawie, ale może i w Polsce.

Zasapana lokomotywa wtoczyła się na warszawski Dworzec Wileński. Mimo bardzo wczesnej pory na peronie panował duży ruch. Pasażerowie witali się z oczekującymi ich przyjazdu krewnymi i znajomymi. Bagażowi oferowali swoje usługi, z głośników słychać było informacje o przyjazdach i odjazdach pociągów. Marysia ze zdziwieniem przyglądała się okazałej hali dworca i przechodzącym ludziom. W tej właśnie chwili podszedł do nich elegancko ubrany starszy pan z szerokim uśmiechem na surowej, ale sympatycznej twarzy.

– Witaj, Rafale. Nareszcie się znalazłeś. Tyle lat, tyle lat! Już traciłem nadzieję na ponowne spotkanie z tobą. A ta śliczna panienska to pewnie Marysia. Dziecko kochane, gdy widziałem cię po raz ostatni, byłaś tycim szkrabem. Jak ty wyrosłaś, jak wypiękniałaś.

– Mariolko, to jest twój stryj Zygmunt. – Ojciec z przyjemnością prezentował członka rodziny.

– To ja mam teraz stryjka? – Oczy Marysi wyrażały i zaskoczenie, i radość. – Jakie to cudowne uczucie. Jeszcze wczoraj myślałam, że nie mam nikogo na świecie.

– Przepraszam państwa, ale chciałbym się pożegnać. – Profesor Dobraniecki skłonił się zebranej rodzinie.

– Krzysztofie, zobaczymy się w lecznicy po południu, przy wieczornym obchodzie. Dziękuję ci i do zobaczenia. A my jedźmy wreszcie do domu – odezwał się Rafał Wilczur ze zniecierpliwieniem, bo tęsknił za kąpielą, domowym jedzeniem, no i chciał pokazać Mariolce jej dom rodzinny.

Samochód Zygmunta Wilczura zatrzymał się przed okazałą willą przy Alei Bzów. Dopiero wstawał świt, więc wszystkie okna były oświetlone jak w czasie wielkiej uroczystości.

– Wszystko załatwiłem – zwrócił się Zygmunt do Rafała. – Widzę, że służący zdążyli przygotować dom na wasz powrót. Zobaczymy się jutro. Musicie mi wszystko opowiedzieć. Nie mogę się już doczekać. – Po czym skinął głową i uśmiechnął się na pożegnanie.

Wilczur otworzył furtkę do ogrodu i wtedy ukazali się ludzie, stojący na stopniach prowadzących do drzwi wejściowych. To byli starzy służący: lokaj Bronisław, stara gospodyni Michałowa, kucharka i nieznany profesorowi mężczyzna w sile wieku.

Michałowa niemal rzuciła się Wilczurowi na szyję.

– Niech Bogu najwyższemu będą dzięki za szczęśliwy powrót pana profesora do domu. Że też dożyłam tej szczęśliwej chwili. I panienska wróciła. My wszyscy tacyśmy szczęśliwi – jąkała się przez łzy.

Dołączyły do Michałowej głosy pozostałych: – Witajcie, państwo, w domu. To dla nas wielkie szczęście i wielki zaszczyt.

Wilczur wkroczył na schody, przepuszczając przed sobą Marysię.

– I ja jestem szczęśliwy, że was widzę. Dziękuję wam. A ty kim jesteś? – Odwrócił się do nieznanego mu mężczyzny.

– Jestem ogrodnikiem jaśnie pana. Trochę tu zarosło i zdziczało, to i przydam się z wiosną. A i teraz odśnieżam, w piecu napalę. Michałowa mnie wołała, bo mnie zna, żem uczciwy i nietrunkowy.

– Jak cię zwą? – spytał Wilczur.

– Franek Gołcarz, jaśnie panie.

Wilczur wszedł do salonu, rozejrzał się i zobaczył własne kąty w takim stanie, jakby wyszedł tylko na chwilę. Nic się nie zmieniło i pachniało czystością.

– Przygotujcie kąpiel dla mnie i dla panienki, a potem zjedlibyśmy coś. No i zawołajcie fryzjera po śniadaniu. Niech Michałowa pokaże pokój panience.

– Wszystko już gotowe, panie profesorze – zamruczła Michałowa prawie obrażona. – Czy to ja nie wiem, co do nas należy?

Od wyjazdu z Radolisk Marysia czuła się jak w transie. To, co działo się wokół niej, było tak nieprawdopodobne, że patrzyła tylko szeroko otwartymi oczami, słuchała z niedowierzaniem i modliła się w duchu, aby to była prawda. Teraz, leżąc w ciepłej wodzie, w eleganckiej łazience, zaczęła snuć marzenia, które dotąd nie miały żadnej szansy na zrealizowanie. Tak, oczywiście bardzo kochała Leszka, ale chciała od życia czegoś więcej, niż tylko być dobrą żoną i gospodynią domową. Teraz przecież mogła się uczyć. Była przekonana, że jej ojciec nie miałby nic przeciwko temu. A Leszek...? Czy byłby gotów zacząć ze ślubem do ukończenia przez nią szkoły? Wiedziała od dawna, że chciałaby leczyć ludzi, ale droga do tytułu doktora była długa, może zbyt długa?

Po kilku godzinach snu ojciec i córka wstali pełni energii i oczekiwania. Zjedli wysmienity obiad, a następnie Wilczur, oprowadzając córkę po domu, opowiadał zdarzenia z minionego życia. Pokazywał miejsca ich wspólnych zabaw, wspominał zabawne anegdotki. Marysia wysiliła pamięć, wróciła do czasów, gdy miała sześć lat, i podzieliła się wspomnieniem wspólnych spacerów z mamą w pobliskim parku. Powiedziała, że spotykały tam jej późniejszego opiekuna i że mama zawsze długo z nim rozmawiała. Kiedy to rzekła, zdała sobie sprawę, że dla ojca musiało to być dramatyczną retrospekcją. Natychmiast przeprosiła, skonsternowana. W trakcie zwiedzania domu stanęła przed zamkniętymi drzwiami na piętrze.

– Co tam jest, tatusiu?

– To był pokój twojej mamy. Jeśli chcesz, to możemy tam wejść. – Nacisnęła klamkę. Za drzwiami ukazał się stylowy buduar z inkrustowaną toaletką i pięknym lustrem. Wróciły wspomnienia, bo na szezlongu nadal leżało piękne futro z czarnych norek, prezent dla ukochanej żony na ósmą rocznicę ślubu. Nigdy go jednak nie odebrała. Dla Wilczura był to szyderczy dowód na życiową niesprawiedliwość. – W szafie znajdziesz

suknie mamy, może będą na ciebie pasować. Na toaletce leży pudrko z biżuterią. Teraz to wszystko należy do ciebie, córeczko.

– To znaczy, że mama, odchodząc, zostawiła wszystko, co od ciebie dostała, by później żyć bardzo skromnie, by i mnie zostawić praktycznie w nędzy? – Marysia, zasmucona, kręciła głową z niedowierzaniem.

– Mariolko, czy chcesz mi towarzyszyć do lecznicy? Umówiłem się z Krzysztofem na wieczorny obchód, około godziny siedemnastej. – Ojciec zmienił temat, dając znać, że nie chce wracać do tych wspomnień.

– To dla mnie wielka radość, zobaczyć gdzie pracowałeś. Cieszę się, że pozwalasz mi iść ze sobą. – Marysia również oderwała myśli od minionego świata.

Lecznicza z pozoru wyglądała tak, jak trzynaście lat temu. Zmieniła się tylko nazwa na sztyldzie z Lecznicy prof. Wilczura na Lecznicę im. prof. Wilczura. Pracownicy już na niego czekali. Wśród nich zabrakło wielu twarzy, które dobrze pamiętał, pojawiły się za to nowe, nieznanne. Cóż – pomyślał – nic nie stoi w miejscu, nie było mnie tu wiele lat. Zaczął od odwiedzenia specjalnego oddziału, na którym miały się leczyć biedne dzieci, bez zapłaty. Ale go nie było. Zamiast sal dla najmłodszych zobaczył oddział równie elegancki, jak i pozostałe, zajęty przez zamożnych pacjentów. Towarzyszący mu Dobraniecki bąknął coś w rodzaju: potrzebowaliśmy więcej miejsca. Wilczur nie skomentował tego ani słowem, ani gestem.

W Radoliszkach aż huczało od plotek. Michalesia spisała się na medal, bo uczciwie podsłuchiwała pod drzwiami, gdy poprzedniego dnia wieczorem panicz Leszek wrócił do domu bez Marysi. Rozmawiał z rodzicami bardzo długo, więc usłyszała wystarczająco dużo, aby przekazać dalej sensacyjne nowiny.

– Nasz znachor to nie byle kto – zaczęła od relacji dla pani Szkopkowej – on stracił pamięć trzynaście lat temu i nie nazywa się Kosiba, tylko profesor Rafał Wilczur. Na cmentarzu, jak zobaczył grób marysinej matki, to zaraz sobie przypomniał. Odzyskał pamięć i swoją córkę. Nasza biedna sierotka Marysia nie jest ani biedna, ani sierota. Jest córką wielkiego polskiego lekarza. Teraz pojechali do Warszawy. Państwo Czyńscy mają dojechać za parę dni.

– Ona była jakaś inna. – Szkopkowa zamyśliła się. – Jakby z innej gliny ulepiona.

– Prawda, a nasz panicz zaraz się na niej poznał. – Michalesia była dumna ze swojego chlebowdawcy.

Prokop Mielnik dostał depeszę poprzedniego wieczora. „Jeszcze wróć”, podpisano: prof. Rafał Wilczur. Najpierw wystraszył się, że depesza zwiastuje coś okropnego, ale gdy przeczytał, to zaczął się mocno zastanawiać nad jej treścią. Kto ma wrócić? Nie znał żadnego profesora. Dopiero następnego ranka Zonia przyniosła z Radoliszek sensacyjne nowiny. Kosiba był jak brat. Swój człowiek. Rozumiał Prokopa, zawsze uczynny i chętny do pomocy. Teraz Prokopowi wydało się, że wokół niego zrobiło się pusto. Sam się dziwił, że obcy człowiek może dla niego tak wiele znaczyć. Napisał, że jeszcze wróci, ale

stary Prokop zbyt wiele widział i przeżył, aby mieć nadzieję na powrót Kosiby. Bo i po co miałby wracać?

Marysia szła na końcu lekarskiego obchodu. Zafascynowana, zaintrygowana, starała się zapamiętać każdy szczegół wyposażenia, układu sal i ludzi leżących na szpitalnych łózkach. Słuchała pytań zadawanych pacjentom przez doktora Dobranieckiego.

W pewnej chwili na oddziale położniczym zdarzyła się trudna sytuacja. Jedna z pacjentek głośno krzyczała, żeby wzięli od niej tego dzieciaka, że go nie chce. Położna próbowała ją przekonać, że dziecko musi jeść, ale ona nie chciała jej słuchać i nie zamierzała dziecka nakarmić. Dookoła położnicy stanęli lekarze. Dobraniecki zaczął tłumaczyć matce, że będzie mogła zrzec się praw do dziecka, ale formalności mogą potrwać kilka dni. Poza tym jej mąż i ojciec dziecka też ma tu coś do powiedzenia. Spowodował tym stwierdzeniem jeszcze większy wybuch. Kobieta cała się trzęsała i rozpaczliwie szlochała.

Wilczur przez chwilę przysłuchiwał się wysiłkom swojego kolegi. W końcu powiedział:

– Idźcie dalej beze mnie. Dołączę później. – Kiedy lekarze i położne wyszli, usiadł obok płaczącej kobiety i pogładził ją po ręce.

– Widzę, jak jest ci ciężko. Mnie możesz powiedzieć wszystko, może będę mógł ci pomóc.

Kobieta wzdrygnęła się i cofnęła rękę.

– Żaden mężczyzna tego nie zrozumie. Wyglądasz jak mój dziadek, ale on by mnie wychłostał i wyrzucił z domu.

Stojąca obok Marysia podeszła nieśmiało do łóżka i poprosiła o rozmowę z kobietą.

– Czy ze mną zechce pani porozmawiać? – Spojrzała jej w oczy i leciutko się uśmiechnęła.

– A ile ty masz lat? – zapytała Marysię.

– Prawie dwadzieścia. Wiem, że to nie jest dużo, ale doświadczyłam w swoim życiu wiele cierpienia, więc potrafię rozpoznać tych, którzy cierpią. Jak ma pani na imię?

– Monika. I nie mów do mnie pani, mam zaledwie rok więcej niż ty.

Profesor Wilczur dyskretnie opuścił pomieszczenie. Marysia zajęła jego miejsce przy łóżku Moniki.

– Mam na imię Marysia i domyślam się, że to jest bardzo poważna sprawa. Nie odrzuciłabyś swojego dziecka, gdyby nie istniały ku temu bardzo ważne powody. – Z korytarza słychać było, jak ktoś pchał wózek z lekarstwami, ktoś inny wołał „siostró”. Zapadło długie milczenie, którego Marysia nie ośmieliła się przerywać.

– Co się stało? – szepnęła jednak po dłuższej chwili.

– Nie mogę o tym mówić. To jest zbyt straszne. – Monika mówiła teraz przyciszonym głosem.

– Jeśli mi zaufasz, to razem na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie. Nie bój się mnie, twoje słowa zostaną w moim sercu na zawsze. Nikomu ich nie wyjawię.

Monika odwróciła głowę i zatrzymała wzrok na szybie okna, teraz już ciemnego z powodu zimowego zmierzchu. Za szybą migotały światełka ulicznych latarni i przesuwały się cienie nagich gałęzi poruszanych lekkim wiatrem. W końcu zebrała się w sobie i zaczęła mówić:

– Nie mogę, nie teraz, jestem zbrukana, niegodna, nie zasługuję ani na mojego męża, ani na moje dziecko. Ty i tak tego nie zrozumiesz.

– A może jednak zrozumiem. Opowiedz mi, kto ci wyrządził krzywdę i jak to się stało? Wiem z własnego doświadczenia, że podzielenie się z kimś trudnościami przynosi ulgę. – Marysia patrzyła na Monikę tak intensywnie, że lzy stanęły jej w oczach. Może właśnie te wspólne lzy sprawiły, że Monika zdecydowała się wyznać prawdę.

– Przez wiele miesięcy szukałam kogoś, z kim mogłabym porozmawiać, ale w moim otoczeniu nie ma nikogo, komu mogłabym zaufać. A teraz zjawiłaś się ty i coś mi mówisz, że moje błagania o pomoc zostały wysłuchane. Nie znam cię, ale czuję, że ty nie będziesz mnie osądzać czy potępiać. Nie wiem dlaczego, ale ci wierzę. – Zrobiła długą przerwę, jakby zapadła się w swoje wspomnienia, aby kontynuować. – To się stało w przeddzień wesela. – Monika powoli próbowała znaleźć odpowiednie słowa, powstrzymując równocześnie wzbierający w piersi szloch. – Była próba ślubu w kościele. Poszłam do zachrystii, żeby poprawić suknię. Za mną wszedł stryj mojego męża. Zaatakował mnie nagle. Próbowałam się bronić, ale on był silniejszy. Próbowałam krzyczeć, ale on zatkał mi usta i... Potem śmiał się, że wszystko zostanie w rodzinie. Nie możesz sobie wyobrazić, jak ja się czułam, zbrukana, zdeptana, nic niewarta, a przecież musiałam wyjść do rodziny w kościele, udawać, że wszystko jest w porządku, uśmiechać się, choć wszystko we mnie krzyczało z rozpacz. Zasłaniałam plamy krwi na mojej pięknej sukni, żeby nikt nie zobaczył. Tylko moja mama zauważyła, że coś jest ze mną nie tak. Nawet zapytała, czy wszystko w porządku, ale odpowiedziałam tylko, że jestem przejęta jutrzejszym ślubem.

– Czy powiedziałaś o tym komukolwiek?

– Nikomu. Wstydziłam się, a poza tym kto by mi uwierzył?

– Ja ci wierzę. Jest jednak coś, o czym nie pomyślałaś. Twój synek może być przecież dzieckiem twojego męża, prawda?

– Może tak być. – Monika przetwarzała w myślach tę nową możliwość. – Ja bardzo kocham męża, a przez tego zwyrodnialca nie potrafię się cieszyć, że jesteśmy razem. – Krople łez znowu popłynęły po jej twarzy pełnej rozpacz.

Zapadło milczenie. Marysia czuła ogromne współczucie dla tej młodej kobiety. Jakim trzeba być potworem, żeby zniszczyć komuś najpiękniejszą chwilę w życiu?!

– Powiedz mi, Moniko, kto zawinił, a kogo chcesz ukarać?

– Jak to ukarać? – Monika z trudem nadążała za tokiem rozumowania Marysi.

– Do kogo krzyczałaś „zabierzcie go, nie chcę go”?

Monika opadła na poduszki. Zamknęła oczy i cichutko płakała. Po chwili otworzyła oczy, spojrzała na Marysię nieco uspokojona. Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Masz rację, Marysiu, mój mały synek należy do mnie i mojego męża. Nie pozwolę zniszczyć nam życia. Ale ten drań poniesie w końcu zasłużoną karę. Przyjdzie taki czas...

– Nie wątpię w to. Jesteś silną kobietą. – Tym razem uśmiech Marysi był dużo szerszy. – Powiedz mi tylko, jak się ten stryj nazywa, nigdy nie wiadomo, czy nasze drogi się nie przetną, a przecież on jest niebezpieczny.

Zapamiętała imię i nazwisko bardzo dokładnie. Po chwili wstała, otworzyła drzwi do sali położnych i poprosiła o przyniesienie dziecka. Monika wzięła synka w ramiona, podała mu pierś, aby go nakarmić, i powiedziała:

– Będzie miał na imię Marian. A tak w ogóle, czy ty jesteś studentką medycyny?

– Jeszcze nie, ale kto wie, czy nie pomogłyśmy sobie nawzajem – z wielką powagą odparła Marysia. – Wyglądasz pięknie, jak Madonna z dzieciątkiem – rzuciła przez ramię, wychodząc z sali.

Na korytarzu spotkała ojca, który skończył obchód i zamierzał odszukać Mariolkę, by wrócić do domu. Był już po wstępnej rozmowie z Dobranieckim, któremu polecił przywrócić jednego oddziału dla ubogich. Lecznicę stać było na to.

– Czy ci się udało? – spytał, bacznie przyglądając się córce.

– Tak, matka teraz przytula i karmi swoje dziecko.

– Opowiesz mi, jak ci się to udało?

– Niestety nie mogę. Obiecałam dyskrecję. – Mariola przepaszajaco patrzyła na ojca.

– Imponujesz mi, córeczko. – W głosie Wilczura słychać było dumę. – Zgłodniałem – niespodziewanie zmienił temat – a Michałowa z kucharką przygotowały zapewne smaczną kolację.

W drodze do domu i ojciec, i córka milczeli zamyśleni. Każde z nich miało swoje problemy i postanowili uporać się z nimi najpierw w pojedynkę.

Jak to zimową porą, do domu dojechali, gdy było już ciemno. W drzwiach przywitała ich Michałowa, oznajmiając, że ktoś na nich czeka. W wygodnym fotelu siedział brat i cierpliwie wypatrywał powrotu Wilczura z lecznicy.

– Wszystko załatwiłem. Oto dowody osobiste twój i Marysi, numer konta bankowego, klucze do domu i potwierdzenie własności samochodu. Trochę wydałem, ale doszedłem do wniosku, że zależy ci na czasie. – Zygmunt wręczył dokumenty z szerokim uśmiechem.

– Mam nadzieję, że płaciłeś z mojego konta. Dziękuję ci, jesteś niezawodny. A teraz siadajmy do stołu, bo jestem wściekle głodny.

Dla Marysi pierwsza noc w rodzinnym domu łączyła się z poczuciem spokoju i szczęścia, więc zasnęła natychmiast, gdy położyła głowę na poduszkę. Miała jednak niezwykle sen. Widziała siebie, gdy mijała kolejne sale szpitalne, ubraną w biały

fartuch, ze stetoskopem przewieszonym na szyi. Był to jednak inny szpital, a nie lecznica ojca. Większy, z większą ilością sal, w których widziała ludzi biednych, wycieńczonych, o zgasyłych z beznadziejności oczach. Słyszała skargi i modlitwy błagających o nadzieję na wyzdrowienie. Czowała wyraźnie, że wielu z tych biedaków mogłaby pomóc, że jest właściwą osobą na właściwym miejscu. Obraz się zmienił. Teraz była w ludwikowskim domu. Pochylała się nad kołyską małej córeczki. Do pokoju wszedł Leszek i przemówił:

– Nareszcie przypomniałaś sobie o domu. Mam dosyć ciągłego czekania na żonę, dla której szpital jest ważniejszy niż rodzina. – Nagły atak poczucia winy i strachu sprawił, że Marysia się obudziła. Usiadła na łóżku zlaną potem.

– Co ja mam zrobić? – szeptała w kółko, kompletnie zagubiona.

Dopiero po śniadaniu ojciec i córka znaleźli czas na poważną rozmowę. Usiedli przy kominku, z filiżanką aromatycznej kawy.

– Muszę ci, córeczko, powiedzieć o czymś bardzo ważnym. Właściwie to podjąłem decyzję co do reszty swojego życia.

Marysia patrzyła na ojca w skupieniu. Miała do niego tysiące pytań dotyczących jego przeszłości, przyczyn, dla których rodzice się rozstali, jego doświadczeń z okresu tułania się po polskich kresach. Jak to się stało, że ostatecznie zamieszkał u Prokopa Mielnika? Nie chciała jednak mu przerywać, ponieważ poruszony temat ją zaintrygował. Dlatego milczała.

– Kiedy odzyskałem pamięć – zaczął powoli Wilczur – zdałem sobie sprawę z ogromu nieszczęść, jakich doświadcza tak zwana biedota, ludzie prości, niewykształceni, skrajnie ubodzy. Pracowałem dla nich w czasie pobytu u Prokopa Szapiela. Z nieznanym mi przyczyn pamiętałem wszystko, czego nauczyłem się w trakcie studiów medycznych i mojej praktyki lekarskiej. To było prawdziwe błogosławieństwo. Mogłem im pomagać wtedy, więc mogę im pomagać teraz. – Zrobił krótką przerwę, aby zebrać myśli. – Postanowiłem w okolicach Radoliszek wybudować lecznicę, szpital dla najuboższych, i osiąść tam na stałe. Co o tym myślisz, Mariolko?

– Jestem zachwycona twoim pomysłem, tatku, tylko skąd weźmiemy na to pieniądze?

– Ooo, słyszę, że już się zaangażowałaś w realizację planu. – Wilczur wyprostował się tak, jakby mu dziesięć lat ubyło. – To wspaniale. Pieniądze znajdziemy. Muszę wiele uzgodnić z prawnikami i prawdopodobnie sprzedać lecznicę w Warszawie.

– Ale dom zostawisz? – Marysia nagle spoważniała. Wilczur spojrział na córkę ze zdziwieniem. – Oczywiście, przecież musisz się gdzieś zatrzymywać, gdy będziesz jeździła na eleganckie zakupy do stolicy.

Twarz Marysi pozostała bardzo poważna. Z trudem zbierała się na odwagę, aby przedstawić ojcu własne plany, graniczące w jej mniemaniu ze świętokradztwem.

– Nie fatalaszki mi w głowie, ojczu. Moim największym, najgłębszym marzeniem jest podjąć i zakończyć studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego. Tylko nie mam matury. Co ja mam zrobić? Jak to powiedzieć Leszkowi, którego bardzo kocham, ale pragnę ponad wszystko zostać lekarzem? Marzyłam o tym zawsze.

Pamiętam, że leczyłam starego kota czy zranioną sarenkę, kiedy jeszcze mieszkałam w środku puszczy. Wyobrażałam sobie, że pomagam ludziom, że leczę.

– Pamiętaj, Mariolko, że zawsze będę cię wspierał w tak szlachetnym przedsięwzięciu. Kiedy zostaniesz lekarzem, ja będę najszczęśliwszy na świecie. Będę miał następcę i partnera w pracy. Musisz jednak rozstrzygnąć kwestię twojego małżeństwa. Co zamierzasz?

– Nie mam pojęcia, jak mu to powiedzieć!!!

Po krótkim wybuchu Marysia opadła na fotel jak przekłuty balon. Zapadła cisza, bo ani ojciec, ani córka nie wiedzieli, co powiedzieć. Do salonu wciskały się odgłosy wielkiego miasta. Słychać było przejeżdżające automobile, stukot kopyt koni ciągnących wozy z węglem, szczekanie jakiegoś psa. Nowy ogrodnik szurał szuflą do odśnieżania drogi prowadzącej do drzwi. W pewnej chwili skrzypnęła furtka i dało się słyszeć kobiecy głos:

– Michałowo, a wyjdźcie na chwilę.

– Witajcie, sąsiadko. Co to trzymacie za pazuchą?

– Nie chcielibyście psa? My już mamy dwa i państwo nie chcą więcej. Może i u was by się przydał? To będzie duży pies, bo jego matka to wilczyca, a gdzie wilkowi będzie lepiej, jak nie u Wilczurów?

Zanim Michałowa zdążyła coś odpowiedzieć, już Marysia wybiegła przed dom.

– Jaki on śliczny – wołała, wyciągając ręce po pieska.

– To jest ona, nie on. Widzę, że jej tu będzie dobrze. Panienska ma wielkie serce. To ja już sobie pójdę. Z panem Bogiem. – Sąsiadka obróciła się szybko i odeszła.

Marysia dla przyzwoitości zapytała ojca, czy zgodzi się na nowego członka rodziny, ale w głębi duszy wiedziała, że tatuś zgodziłby się i na tygrysa, nie tylko na psa, żeby sprawić jej radość. Teraz oboje mogli zająć myśli tematem o wiele łatwiejszym do rozstrzygnięcia niż „jak mu to powiedzieć”. Sunia została uroczyście wykąpana i otrzymała imię Wiga. Przygotowano jej wygodne posłanie w sypialni Marysi, w kuchni znalazło się miejsce na psią stołówkę, z której Wiga natychmiast skorzystała z wielkim apetytem. Nawet kucharka pomyślała, że wreszcie będzie miał kto ogryzać kości z zupy i zjadać resztki z obiadu.

Ojciec i córka wrócili do salonu; Marysia w objęciach z Wigą, która po chwili zasnęła syta i bezpieczna na kolanach swojej pani. Rozmowę kontynuował Wilczur, ale dotyczyła głównie jego planów budowy szpitala w okolicach Ludwikowa i Radoliszek. Zaczęli ustalać termin zaproszenia państwa Czyńskich do Warszawy, bowiem ich stanowisko będzie bardzo ważne z powodu zakupu gruntów pod budowę lecznicy, ale i z powodu planowanego przesunięcia terminu ślubu Marysi i Leszka. Postanowili wysłać depezę z zaproszeniem na 14 stycznia, za trzy dni.

– Co dla ciebie, córeczko, jest w tej chwili najważniejsze?

– Matura, tatku. Myślę, że dla Leszka będzie zrozumiałe, że pragnę być godna takiego wspaniałego mężczyzny, jakim jest on sam. Żeby nie musiał się za mnie wstydzić. Jestem przekonana, że do końca roku szkolnego będę mogła przygotować się do egzaminów maturalnych i je zdać. Poza tym planowaliśmy ślub w Ludwikowie, ale

wówczas nie wiedziałam, że mam swoją rodzinną parafię, a przecież zgodnie z tradycją, zaślubiny powinny się odbyć w parafii panny młodej. Jeżeli Leszek będzie gotów wspierać mnie w moich planach maturalnych, to może zechce wesprzeć mnie również w planach zdobycia wykształcenia lekarskiego. Na razie będę mówić tylko o egzaminie dojrzałości. – Zawiesiła głos, jakby mocując się sama ze sobą. – Ja wiem, że tak nie powinnam robić. Zaczynam nasze wspólne życie od przemilczenia czegoś, co ma ogromny wpływ na naszą wspólną przyszłość. Czuję się z tym bardzo źle.

– A może niepotrzebnie martwisz się i zakładasz najgorsze? Kiedy państwo Czyńscy przyjadą do nas, to ja z rodzicami Leszka będę mówił o planach budowy szpitala, a ty omówisz z samym Leszkiem swoje plany. Od ciebie zależy, ile mu powiesz. Ze swjej strony zachęcam cię do powiedzenia prawdy. Tu nie chodzi tylko o pięć lat twoich studiów. Praca zawodowa lekarza wymaga od jego rodziny wielu poświęceń. Coś o tym wiem. Bez zgody i wsparcia ze strony męża nie dasz rady, córeczko.

Poranek wstał słoneczny i pełen nadziei. Marysia zeszła do jadalni, gdzie zastała ojca kończącego śniadanie i prawie gotowego do wyjścia. Wypuściła psa do ogrodu. Czekąco na nią już przygotowane nakrycie, parujący kubek herbaty, grzanki i jajka na miękko oraz półmiski wypełnione szynką, serami, kiszonymi ogórkami, grzybkami marynowanymi. Nadal nie mogła się przyzwycząić do aż takiego dobrobytu. Przez wiele lat żyła w ubóstwie, więc ta nagła zmiana nieco ją onieśmiałała. Ojciec podniósł głowę znad talerza.

– Witaj, córeczko. Dzwonił Krzysztof, że mają w lecznicy skomplikowany przypadek i prosił o konsultację. Zaraz przyjedzie stryj Zygmunt, żeby cię zabrać na zwiedzanie miasta. Wczoraj wieczorem wysłałem depezę z zaproszeniem do państwa Czyńskich. Przyjadą popołudniowym pociągami w sobotę.

– Dzień dobry, tatusiu. Może spotkamy się na obiedzie?

– Mam taką nadzieję, choć nigdy nic nie wiadomo. – Wilczur uśmiechnął się i pocałował Marysię w czoło. – Miłego dnia, kochanie. Do zobaczenia.

Stryj Zygmunt podjechał do furtki w chwili, gdy Marysia zamykała drzwi do domu. Po serdecznym przywitaniu zapytał:

– Od czego zaczynamy zwiedzanie Warszawy?

– Chcę ci powiedzieć, stryjku, coś bardzo ważnego – zaczęła Marysia nieco łamiącym się głosem. – Nie w głowie mi teraz zwiedzanie miasta. Postanowiłam w tym roku zdać dużą maturę, dlatego chciałabym znaleźć najbliższą pensję dla pańien, by zapytać, jak mogę to zrobić.

– Szkoła dla pańien? Najbliższa mieści się dwie przecznice dalej. Możemy pójść piechotą.

Chwilę później stanęli przed starą kamienicą z pięknymi sztukateriami, kolumnami i napisem: Żeńska Szkoła im. Cecylii Plater Zyberkówny w Warszawie. Weszli do środka. Marysia rozglądała się, urzeczona widokiem stylowego wnętrza, obszernego korytarza i długiego szeregu drzwi do klas po obu jego stronach. Na końcu znaleźli też drzwi z tabliczkami: sekretariat i dyrektor. Wujek Zygmunt zapukał, a po usłyszeniu „proszę” weszli do środka.

– Czy mogę państwu służyć? – Miła starsza pani wstała, by powitać przybyłych.

– Chcielibyśmy rozmawiać z dyrektorem tej placówki.

– Proszę chwilę poczekać. Zapytam panią dyrektor Lemańską, czy ma teraz czas państwa przyjąć. – Miła pani weszła do pokoju dyrektorki, zamieniła tam parę słów i zaprosiła do środka Zygmunta z bratanicą.

Marysia pierwszy raz w życiu była w tak eleganckim gabinecie. Stare, dębowe biurko zdobiły rzeźby przedstawiające zwierzęta i rośliny, na blacie pyszniły się kałamarz z kryształą, przycisk do papieru w kształcie sowy i całkiem nowoczesny aparat telefoniczny. Czuła się onieśmielona i jakby przygaszona.

– Dzień dobry państwu, proszę usiąść. – Dyrektorka wskazała gestem dwa wygodne krzesła. – Domyślam się, że panienka chciałaby kontynuować naukę w naszej szkole.

– Dzień dobry, pani dyrektor. Nazywam się Zygmunt Wilczur, a obok mnie siedzi moja bratanica Maria Jolanta Wilczurówna. Z powodu obiektywnych przeszkód nie dokończyła edukacji, a teraz pragnie zdać egzamin dojrzałości jeszcze w tym roku.

– Czy panienka ma może swoje świadectwo z poprzedniej klasy? – Pani dyrektor zwróciła się do Marysi.

– Tak, proszę pani dyrektor. – Marysia wyjęła z torebki dokument i jej podała.

– Hm, widzę tu bardzo dobre stopnie, ale miałaś dwa lata przerwy. – Zerknęła na datę dokumentu. – Musiałabyś wiele nadrobić.

– Jestem tego świadoma i bardzo tego pragnę. Potrafię ciężko pracować. – W głosie Marysi słychać było determinację. – Będę potrzebowała również pomocy, aby nadrobić minione pół roku. Czy szkoła może mi w tym pomóc?

– W najbliższy poniedziałek uczennice wracają do szkoły po przerwie świątecznej. Możemy cię zapisać do klasy maturalnej. Lekcje zaczynają się o godzinie ósmej rano i trwają do czternastej. – Uśmiechnęła się do Marysi. – Formą korepetycji zajmiemy się, gdy rozpoczniesz naukę. Wszelkie formalności, opłatę czesnego, obowiązujący ubiór szkolny oraz podręczniki załatwią państwo w sekretariacie.

Zamiast zwiedzać stolicę, Marysia i stryjek poświęcili całe przedpołudnie na kupowanie niezbędnych przyborów szkolnych, książek i zeszytów. Na koniec odwiedzili zakład krawiecki polecony przez sekretarkę szkolną, gdzie mundurek jakby czekał na nową właścicielkę. Przyznawała w duchu, że żadna z pięknych sukien podarowanych jej przez Leszka i jego mamę nie sprawiła jej tyle radości, co zwykły, szkolny uniform. Wrócili do domu obładowani zakupami. Michałowa wniosła paczki i zapytała, czy panienka jest głodna. Stryj Zygmunt pożegnał się, mimo zaproszenia na obiad, ponieważ jego żona nie tolerowała nieobecności, a nawet spóźnień w porze obiadowej.

Na stole, obok nakrycia dla pana domu, leżała gazeta „Kurier Warszawski”. Marysia zerknęła na pierwszą stronę i z zaskoczeniem zobaczyła na niej fotografię ojca oraz wielkimi literami wypisany tytuł artykułu: Profesor Rafał Wilczur odnaleziony. Z treści artykułu dowiedziała się, że doktor Dobraniecki złożył oświadczenie do prasy, iż właściciel lecznicy, profesor Rafał Wilczur, odnalazł się po trzynastu latach. Został wówczas napadnięty i z powodu urazu głowy stracił pamięć. Odzyskał wspomnienia dzięki spotkaniu z córką i teraz wrócił do Warszawy. Pod oświadczeniem doktora Dobranieckiego zaczęły się spekulacje autora artykułu dotyczące minionych lat. Gdzie profesor był, co robił, z kim się spotykał itd. Nic z tych domysłów nie było prawdą, więc Marysia roześmiała się ubawiona.

Przestało jej być do śmiechu, kiedy kolejny raz zadzwonił telefon. Michałowa kolejnej osobie tłumaczyła, że profesora nie ma i że ona nie wie, kiedy będzie. Marysia po raz pierwszy w życiu zetknęła się z uciążliwościami popularności.

Dochodziła już piętnasta, a ojciec wciąż nie wracał. Zadzwoniła więc do lecznicy, gdzie powiedziano, że właśnie skończył operować, więc wkrótce pojawi się w domu.

Wygłądając przez okno, zauważyła kilkanaście osób skupionych przed parkanem i wyraźnie czekających na kogoś. Nie miała wątpliwości, że to są dziennikarze, bo widziała aparaty fotograficzne i zeszyty do notowania. Kiedy ojciec podszedł, opadli go jak szarańcza. Nawet przez zamknięte okno Marysia słyszała zadawane przez nich pytania i przekrzykiwanie się. Zobaczyła, jak zawsze opanowany ojciec podniósł rękę, a wtedy wszyscy umilkli i przestali się przepychać.

– Szanowni państwo, pragnę was poinformować, że nie udzielam żadnych wywiadów, nie będę odpowiadał też na pytania. Dopiero kilka dni temu wróciłem z bardzo dalekiej podróży. Proszę uszanować moją prywatność i rozejść się.

Profesor odwrócił się, otworzył furtkę i wszedł do domu. Marysia z satysfakcją zobaczyła, że dziennikarze naprawdę uszanowali słowa ojca i odeszli.

Po obiedzie ojciec wezwał wszystkich domowników.

– Moi drodzy, jest tylko jeden sposób, aby pozbyć się żurnalistów. Nic nie wiecie i z nikim nie będziecie rozmawiać na temat mieszkańców tego domu. Proszę was usilnie, aby nikt nie dał się skusić na rozmowę za pieniądze, bo wtedy będziemy musieli się rozstać. Z góry wam dziękuję.

Domownicy zgodnie kiwali głowami ze zrozumieniem. Ogrodnik Franek wtrącił, że już go podpytywali, jak sprzątał ogród, ale nic im nie powiedział.

– No i chwała Bogu – podsumował Wilczur.

Po obiedzie zamyślony profesor poszedł do swojego gabinetu. Marysia nieśmiało zapukała i gdy usłyszała „proszę”, weszła ostrożnie.

– Tatusiu, mam nadzieję, że nie będziesz się gniewał, ale zapisałam się na pobliską pensję. W poniedziałek idę do szkoły po raz pierwszy.

– Wiem o tym, kochanie. Zygmunt dzwonił, pytając o pozwolenie na wydatki szkolne. Wszystko w porządku, cieszę się, że jesteś konsekwentna.

Plany Rafała Wilczura nie przedstawiały się tak dobrze, jak by chciał. Kolejny dzień poświęcił na konsultacje z radcą prawnym, z własnym bratem oraz z doradcą finansowym ze swojego banku. Jakkolwiek był osobą zamożną, to jednak planowana inwestycja przekraczała jego możliwości finansowe, nawet przy pobieżnej kalkulacji i sprzedaży lecznicy. Duży szpital, o jakim marzył, odpływał w niebyt. Musiał skorygować założenia do absolutnego minimum. Zaczął przemyśliwać nad niewielką lecznicą z gabinetem zabiegowym, dwoma – trzema gabinetami lekarskimi i dwiema – trzema salami opieki stacjonarnej. Dodatkowo odbył rozmowę z przedsiębiorcą zaopatrującym szpitale w wyposażenie i materiały medyczne i tu dopiero zdał sobie sprawę z ogromu kosztów. Nie mógł się przecież obyć bez sali operacyjnej, sali intensywnej terapii czy separatki dla zakaźnie chorych, nie mówiąc już o sali porodowej.

Doradca finansowy od razu zaproponował zebranie funduszy poprzez dotacje ze strony osób prywatnych lub właścicieli zakładów przemysłowych. Może udałoby się namówić bogatych Polaków na darowiznę na potrzeby leczenia biednych? Poza tym lecznica nie może koncentrować się jedynie na najuboższych, bo musi zarabiać na bieżące utrzymanie: wodę, prąd, węgiel, wynagrodzenie dla personelu, wyżywienie chorych itp. Dopiero teraz Wilczur zdał sobie sprawę, na co się porywa. Szacunkowe koszty oscylowały na poziomie około miliona złotych, a on miał niecałą połowę. W tej sytuacji postanowił dać sobie czas na zastanowienie, no i skonsultować całą sprawę z Czyńskimi. Może oni coś wymyślą?

Służba w willi Wilczura miała bardzo pracowite dwa dni. Państwo oczekiwali znamienitych gości: narzeczonego Marysi – pana Leszka – i jego rodziców. Dom był sprzątny jak przed Wielkanocą, pościel wywietrzona, zapasy w kuchni zgromadzone i zaczęło się pieczenie mięs i ciast, gotowanie pysznych zup i sosów. Wnętrza pachniały odświeżeniem.

Państwo Czyńscy przyjechali własnym samochodem, więc nieco wcześniej, niż zapowiadali, ale i tak wszystko było przygotowane na ich przybycie. Ponieważ to była sobota, oboje gospodarze mogli powitać wyczekiwanych gości.

– Witamy państwa serdecznie. – Wilczur najpierw pocałował w rękę panią Czyńską, a następnie uściśnął ręce pana Czyńskiego i Leszka. – Michałowa przygotowała dla państwa pokoje. Proszę się odświeżyć i zapraszamy na obiad.

Marysi serce zabiło gwałtownie, gdy zobaczyła Leszka. Zrobiła dwa kroki w jego kierunku, a ponieważ Leszek zrobił to samo, więc wpadła w ramiona ukochanego, nie bacząc na konwenanse.

– Mój skarbie, tak bardzo się za tobą stęskniłem. Każdy dzień bez ciebie był długi jak rok – szeptał jej do ucha głosem nabrzmiałym uczuciem.

– Och, Leszku, znowu jesteśmy razem. Mam ci tyle do opowiedzenia. – Marysia uśmiechała się tyleż radośnie, co zagadkowo.

Dorośli patrzyli ze wzruszeniem na przejawy młodzieńczej miłości. Przypominali sobie własne doświadczenia z młodych lat, kiedy marzyli i tęsknili za tym jednym jedynym, za tą jedną jedyną. Życie jednak potrafi zniszczyć to, co najpiękniejsze, dlatego zgodny chór myśli dorosłych dotyczył życzenia „oby im się udało”. W końcu młodzi oderwali się od siebie, podali sobie ręce i weszli do domu za rodzicami. Służący zaniesli bagaże na górę, do sypialni przygotowanych dla gości.

Spotkanie przy obiedzie miało niezwykle uroczysty charakter. Oprócz oświetlenia lamp elektrycznych, na stole stały świeczniki z zapalonymi świecami, rzucającymi migotliwe cienie na twarze siedzących osób. Pani Czyńska dziękowała w myślach swojemu mężowi za przekonanie jej do wyboru Leszka. Jak by się teraz czuła, sądząc, że jej syn dokonał niewłaściwego wyboru? To, co widziała wokół, świadczyło wyraźnie o tym, że nie mogło być mowy o żadnym mezaliansie. Marysia pochodzi z dobrej, szanowanej rodziny. I zamożnej, choć bez tytułu szlacheckiego.

Kucharka pokazała nie lada kunszt kulinarny. Wszystkie potrawy smakowały wyśmienicie, poczynając od przystawek (w skład których wchodziły na przykład wędzony węgorz, befszytk tatarski, sałatki jarzynowe), poprzez zupy: pyszny rosół czy barszcz czerwony z uszkami, na kacze z jabłkami i panierowanym łososiem na danie główne kończąc. Desery składały się głównie z ciast, a ukoronowaniem był tort z lukrowym napisem „Marysia i Leszek” obramowanym serduszkami.

W czasie obiadu rozmowy dotyczyły jedynie spraw bieżących i nowinek z Ludwikowa. Pan Czyński rozprawiał o nowych zamówieniach w fabryce, wychwalał Leszka, który bardzo pomagał w prowadzeniu interesów. Leszek opowiadał wesołe anegdotki o mieszkańcach Radolizsek. Powiedział też o Prokopie Mielniku, który od wyjazdu Wilczura chodzi smutny i przygaszony. Dopiero przy filiżance kawy dorośli podjęli sprawę najważniejszą. Rozpoczął rozmowę gospodarz.

– Pragnę państwu gorąco podziękować za serce okazane Mariolce w czasie, gdy była ubogą panną sklepową. Mimo to przygarnęliście ją, zaakceptowaliście jej niską pozycję społeczną i niedostatki w wykształceniu. Nigdy wam tego nie zapomnę. Teraz jednak sytuacja zmieniła się na tyle, że powinniśmy rozważyć nowe okoliczności. – Spojrzał na córkę, zachęcając do wypowiedzi.

– Kiedy pracowałam w sklepie u Szkopkowej – podjęła wątek Marysia – nie miałam szansy na zdobycie wykształcenia i realizację marzeń. Nie stać mnie było na kontynuowanie nauki w trybie stacjonarnym, ale starałam się uzupełniać wykształcenie drogą korespondencyjną, równocześnie pracując na swoje utrzymanie. Teraz jednak postanowiłam zdać maturę w warszawskim liceum, aby nie zawstydząć mojego narzeczonego w jego środowisku. Pragnę być godna rodziny, która mnie przyjęła tak serdecznie, bez zastrzeżeń. Dlatego proszę o przełożenie naszych zaślubin do końca roku szkolnego. To tylko kilka miesięcy i obiecuję, że będę ciężko pracować, aby jak najszybciej zdobyć dużą maturę. – Na twarzach państwa Czyńskich widać było wyraz lekkiego zdziwienia, ale i uznania. Leszek natomiast zachmurzył się, bo przecież chciał połączyć się z Marysią choćby jutro. Zdał sobie jednak sprawę, że wybrał nietuzinkową dziewczynę na swoją narzeczoną. – Co państwo o tym myślą? A ty,

Leszku, podarujesz mi parę miesięcy na uzupełnienie wykształcenia? – Cała Marysia była wielkim znakiem zapytania i ucieleśnioną nadzieją, mimo że ich związek co chwila napotykał na przeszkody.

Pan Czyński chrząknął, nabrał powietrza i powoli odpowiedział:

– Z naszej strony masz, Marysiu, szczerze błogosławieństwo. Twoja postawa wzbudza nasz szacunek. Wierzymy, że zrealizujesz swoje zamiary.

Pani Czyńska kiwała głową z umiarkowaną aprobatą.

– Oczywiście, zdajemy sobie sprawę, że to Leszka zdanie jest decydujące – dodała.

Zanim Leszek zdołał coś odpowiedzieć, do rozmowy wmieszał się Wilczur.

– W sposób oczywisty dalszy ciąg tej kwestii zależy od porozumienia między młodymi. Proponuję wam, dzieci, rozmowę w moim gabinecie, a ja w tym czasie przedstawię rodzicom moje osobiste plany związane z moją pracą zawodową.

– Mam wrażenie, że wisi nad nami jakieś fatum – zaczął Leszek, gdy usadowili się w wygodnych fotelach w gabinecie Wilczura. – Najpierw musiałem walczyć o nas przeciwko przesądom społecznym, przeciwko rodzicom, potem powiedziano mi, że nie żyjesz, i wróciłem do Ludwikowa jedynie po to, aby złożyć kwiaty na twoim grobie i się zabić, a teraz odwlekasz nasze zaślubiny z powodu swoich ambicji. Rozumiem twoje powody, ale to naprawdę nie jest konieczne dla szczęścia naszego małżeństwa. Przecież kocham cię taką, jaka jesteś.

– Leszku, kocham cię całym sercem i pragnę zostać twoją żoną, tylko że moje ambicje, jak to nazywasz, sięgają dużo dalej. – Zrobiła długą pauzę, nim podjęła wątek. – Biłam się z myślami, jak ci to powiedzieć, ostatecznie doszłam do wniosku, że zasługujesz na prawdę. Nie chcę cię zwodzić ani karmić półprawdami. – Marysia wzięła głęboki oddech i wypaliła: – Pragnę zostać lekarzem, jak mój ojciec.

Leszek patrzył na Marysię z niedowierzaniem, złością i poczuciem krzywdy.

– A po co ci to? – rzucił w twarz Marysi z mieszaniną irytacji i pogardy. – Nie wystarczy ci, że będziesz dobrą żoną i matką?

– Nie, nie wystarczy. Pragnę ci opowiedzieć o moim życiu i doświadczeniach. – Marysia w skupieniu szukała właściwych słów. – Kiedy mieszkałam jeszcze z mamusią w środku puszczy, spotykałam się często z nieszczęśliwymi, poranionymi lub chorymi zwierzętami. Pomagałam im, jak tylko mogłam, i wtedy czułam, że to, co robię, jest dobre. Jednak prawdziwe powołanie poczułam, gdy zachorował mój opiekun. Był chory na suchoty. Widziałam, jak gaśnie z miesiąca na miesiąc, i nie umiałam mu pomóc. To był dobry człowiek, zasługiwał na coś więcej niż powolne konanie. – Zrobiła krótką przerwę. – Od niego zaraziła się moja mama, dlatego odeszła zbyt wcześnie, a ja zostałam sama. Ludzie na wsi mówią, że nie ma lekarstwa na suchoty, ale ja w to nie wierzę. Musi być jakiś sposób, słyszałam nawet, że już jest, a jeśli go jeszcze nie ma, to ja go znajdę. – Oczy Marysi lśniły determinacją.

Zapadło długie milczenie. Wiga wdrapała się na kolana Marysi, cichutko sapiąc z zadowolenia. Dziewczyna głąskała pupilkę po lśniącej sierści, ale nie spuszczała wzroku z twarzy Leszka. Było wyraźnie widać, że ten mocuje się ze sobą. Na jego twarzy odbijała się cała gama uczuć, od zdziwienia i niedowierzania po złość i poczucie zawodu. Wreszcie odezwał się:

– To wszystko jest wzruszające – nieznacznie pokręcił głową – ale co to ma wspólnego z nami? Teraz przecież masz mnie, odnalazłaś ojca, moi rodzice przyjmują cię do naszej rodziny, o co jeszcze chodzi? Mam na ciebie czekać kolejne pięć lat? Nie zgadzam się na to! – Wstał z fotela i zaczął krążyć po gabinecie. Słychać było trzaskający ogień w kominku, tłumione grubym dywanem kroki Leszka. Brakowało tylko odgłosu zgrzytania zębami.

Marysia śledziła go wzrokiem i ze smutkiem pomyślała, że Leszek nie kocha jej, tylko swoje własne wyobrażenie o idealnej partnerce. W tej sytuacji jego ideał prysł jak bańka mydlana. Do oczu napłynęły jej łzy. W zaległej ciszy płynęły po policzkach, a Marysia jakby skamieniała. To koniec – myślała zraniona i nieszczęśliwa. – Dlaczego tak to boli?

– Nie zrezygnujesz z pomysłu studiowania medycyny? – Leszek zatrzymał się w końcu przed fotelem Marysi. Patrzył na nią z góry, jak sędzia przed wydaniem wyroku skazującego.

– Nie, Leszku, nie zrezygnuję – wyszeptła Marysia przez zaciśnięte gardło.

Leszek złapał Marysię za rękę i niemal siłą wyprowadził do salonu.

– Pragnę ogłosić, że moje zaręczyny z Marysią zostają odwołane – niemal wykrzyczał swoją frustrację. – Pan oczywiście wiedział o planach córki i zapewne je zaaprobował? – zaatakował Wilczura.

– Tak, dowiedziałem się wczoraj, ale popieram jej plany całym sercem – spokojnie odpowiedział profesor.

– Leszku, co ci się stało? – zaskoczeni rodzice zwrócili się do syna.

– Marysia właśnie mi powiedziała, że postanowiła skończyć nie tylko liceum, ale i medycynę, a ja się na to nie zgadzam. Kochani rodzice, czas wracać do domu. Nic tu po nas. Jadąc do Warszawy, cieszyłem się jak dziecko. Tymczasem doznałem ogromnego zawodu. Ogromnego. – Leszek każde słowo podkreślał wymownymi gestami.

– Zaraz, chwileczkę – włączyła się do rozmowy pani Czyńska. – Usiądźcie oboje, bo ja oczekuję wyjaśnień. Marysiu, skąd wziął ci się pomysł studiów lekarskich? Czy myślałaś o tym już wcześniej, czy dopiero teraz, kiedy zmieniła się twoja sytuacja? – Podniosła wymownie brwi z wyrazem zdumienia.

– Pragnęłam zostać lekarzem już bardzo dawno temu, jeszcze kiedy byłam dzieckiem. Mój ówczesny opiekun, a potem moja mama umierali na moich oczach na suchoty. I wówczas, i teraz nie mogę uwierzyć, że nie ma lekarstwa na tę podstępłą chorobę. Wszyscy powtarzali, że tej choroby nie można leczyć, ale ja w to nie wierzę. Nie miałam dostępu do książek, nie miałam też z kim porozmawiać na tematy medyczne, ale zawsze chciałam to robić.

– To, co mówisz, jest ze wszech miar godne uwagi i aprobaty. Jak sobie jednak wyobrażasz swoje małżeństwo, założenie rodziny? Jak masz zamiar pogodzić obowiązki żony, matki i gospodyni domu z nauką i pracą lekarza? – Pani Eleonora Czyńska bezlitośnie przedstawiała warunki nie do pogodzenia.

– No właśnie, Marysiu – Leszek podchwycił argumenty przedstawiane przez matkę. – Jak to sobie wyobrażasz?

– Są przecież zameżne kobiety, które skończyły medycynę i pracują jako lekarze – Marysia próbowała odpiierać ataki. – W tej sytuacji wszystko zależy od ciebie, Leszku.

– Ode mnie? Nie próbuj przerzucać na mnie odpowiedzialności za twoje wybory. – Leszek był wyraźnie oburzony. – To ty zerwałaś naszą umowę.

– Czy przysięga małżeńska nie zawiera „w dostatku i biedzie, w zdrowiu i chorobie i że nie opuszczę cię aż do śmierci”?

– Nie ma tam nic o realizacji ambicji zawodowych. – Leszek aż kipiał ze złości. – A poza tym ja tej przysięgi jeszcze nie składałem.

Marysia bez słowa zdjęła z palca pierścionek zaręczynowy i podała go Leszkowi. Ten wsunął pierścionek do kieszeni i odwrócił się w kierunku drzwi.

Pan Czyński podszedł do Wilczura, podał mu rękę i przepaszającym tonem podziękował za gościnę. Powiedział również, że nie przyjmuje do wiadomości zerwania zaręczyn. – Myślę, że gdy Leszek nieco ochłonie, spojrzysz na całą sprawę z innej perspektywy. Będziemy musieli sobie wiele wyjaśnić – dodał ze smutkiem. – Poza tym nasze uzgodnienia i plany są nadal aktualne – zwrócił się do Wilczura na odchodnym.

Po wyjeździe państwa Czyńskich Marysia zanosła się płaczem. Płakała i płakała, nie mogąc się uspokoić. Ojciec siedział obok niej, gładził po głowie i starał się ją pocieszyć. Wiga lizała ją swoim języczkiem po zapłakanej twarzy, ale Marysia nie zwracała uwagi na nic.

W pewnej chwili podniosła się z kanapy, złapała szczeniaka pod pachę i powiedziała, że musi zostać sama. Pobiegła na górę, upadła na łóżko i rozpamiętywała w kółko to, co ją spotkało. Zastanawiała się, czy mogła postąpić inaczej. Może powinna zrezygnować ze swoich marzeń i pogodzić się z losem tysięcy innych kobiet, których ambicje zawodowe były traktowane przez większość mężczyzn jako fanaberie. Czy byłaby wówczas szczęśliwa? Mocno w to wątpiła. Może na początku, przez krótki czas, ale później? Pojawiłyby się dzieci i ona sama byłaby już tylko matką, opiekunką, pocieszycielką. Z jej potrzeb i dążeń nie pozostałoby nic. A teraz co jej zostało? Straciła miłość swojego życia. Czy jeszcze kiedyś będzie miała szansę na odrobinę szczęścia?

Przez cały wieczór i noc nic się nie zmieniło. Kiedy rano Marysia nie zeszła na śniadanie, Michałowa poszła, żeby ją zawołać. Zobaczyła dziewczynę zwinętą w kłębek, o bladej twarzyczce, z podkrążonymi oczami oraz szczeniaka piszczącego pod drzwiami, żeby go wypuścić.

– Panienska musi coś zjeść – zaczęła Michałowa. – My wszyscy, cała służba, jesteśmy po stronie panienski. Nie ma potrzeby aż tak rozpaczać. Jak ten jakiś Leszek nie umie się poznać, jaki ma skarb, to jego strata. Panienska jutro idzie po raz pierwszy do szkoły. Trzeba się przygotować i myśleć tylko o tym, co będzie, a nie o tym, co było. W szkole będzie tyle nowych i ciekawych rzeczy. Zobaczy panienska, jeszcze się wszystko na dobre obróci. Niech panienska wstanie i pójdzie ze mną. Teraz to trzeba pocieszyć pana profesora, bo strasznie się gryzie.

Ten ostatni argument przekonał Marysię. Przez całą noc użalała się nad sobą, a przecież jej ukochany ojciec też miał powody do zmartwienia. Zeszła na dół, usiadła przy stole, spojrziała na ojca i powiedziała:

– Kochany tatusiu, nie martw się już o mnie. Mimo tego, co mnie spotkało, jestem dość silna, aby zrealizować swoje marzenia i wiem, że mi w tym pomożesz. Prawda?

– Prawda, córeczko. Myślę, że Leszek jeszcze nie zdaje sobie sprawy z tego, co stracił. Może rodzice mu to wytłumaczą, może zrozumie, ale teraz zapraszam cię na spacer po starówce warszawskiej. Jest tam bardzo dobra cukiernia z pysznymi ciastkami. Moja mama powtarzała mi, że na zmartwienia najlepsze są kremówki i gorąca czekolada.

Pierwszy dzień w szkole był dla Marysi niezwykłym przeżyciem. Została przedstawiona klasie i okazało się, że większość panien z dobrych domów słyszała o losach jej ojca. Na przerwach otaczały ją ciasnym kręgiem i pytały, pytały o wszystko. Odpowiadała wymijająco, chcąc je zniechęcić do wścibstwa. W pewnym sensie udało jej się to. Starala się jednak być miłą i wyrozumiałą wobec ciekawości koleżanek. Zdawała sobie sprawę, że jej obecność w klasie jest w pewnym sensie sensacją. Czula się starsza i dojrzalsza od pozostałych uczennic.

Została posadzona w jednej ławce z Krysią, cichą, spokojną dziewczyną o cienkich warkoczach i setkach piegów na nosie. Miała ogromne, jakby lekko zdziwione, niebieskie oczy. Marysia od razu ją polubiła. Rozpoczęły się lekcje. Kiedy do klasy weszła nauczycielka języka polskiego, wszystkie uczennice wstały, aby ją powitać.

– Siadajcie, panienski. – Nauczycielka, siwa, stateczna pani, uśmiechnęła się nieznacznie. Otworzyła dziennik i odczytała listę obecności. Następnie kontynuowała temat romantyzmu w literaturze polskiej. Marysia została poproszona o przeczytanie fragmentu „Stepów akernańskich” Mickiewicza. Czytała pewnie, z prawdziwą przyjemnością. Ponieważ uwielbiała czytać, przerabiany właśnie okres romantyzmu był jej znajomy i bliski. W końcu znała już wiele pozycji z twórczości wielkich polskich poetów. Następnie nauczycielka zadawała uczennicom pytania. Omówiono opisy przyrody i tęsknotę za krajem ojczystym. Początkowa niepewność Marysi powoli mijała. Kolejne lekcje były już zdecydowanie mniej stresujące.

Dziewczyna notowała niemal każde wypowiedziane przez nauczycieli słowo. Zdała sobie sprawę, że musi dużo nadrobić, ale mając właściwe podręczniki, nie obawiała się

tego. Ponadto na przerwie wymienili się z Krysią numerami telefonów, więc poczuła się pewniej, gdy Krysia obiecała jej pomoc w każdej sytuacji.

W pierwszym dniu nauki były jeszcze matematyka, język francuski, biologia i chemia. Lekcja wychowania fizycznego polegała na spacerze wokół szkoły i zabawie w rzucanie śnieżkami. Marysia pytała Kysię o nazwiska poszczególnych nauczycieli i je notowała. Wśród pań było też dwóch panów: od matematyki i chemii. Kiedy usłyszała nazwisko nauczyciela chemii, aż zeszytniała. To był człowiek, który skrzywdził kobietę ze szpitala! Postanowiła przeprowadzić dyskretnie śledztwo, czy przypadkiem nie miał na sumieniu jeszcze innych dziewcząt.

Po lekcjach wróciła do domu podekscytowana i bardzo głodna. Czula wciąż w sercu cierń rozpacz z powodu zerwania zaręczyn, ale otwierały się przed nią nowe możliwości i nowe wyzwania. Obiecała sobie, że będzie myśleć jedynie o szkole, lekcjach i wiedzy, którą musi przyswoić. Zjadła obiad z apetytem i odkryła w swoim pokoju prześliczne biureczko, wstawione tam podczas jej nieobecności. To był cudowny prezent, bo mebel wręcz zachęcał, aby przy nim usiąść. Od razu rozpoczęła odrabianie bieżących lekcji i po jednej z minionego semestru.

Droga powrotna do Ludwikowa przebiegała w całkowitym milczeniu. Trudno było poruszać osobiste tematy w obecności szofera. Leszek siedział obok kierowcy, a państwo Czyńscy zajmowali miejsca z tyłu. Już drugi raz tego dnia przemierzali dystans między Warszawą i Ludwikowem, ale droga powrotna wydawała się o wiele dłuższa. Leszek przetrawiał w kółko swoje rozczarowanie postawą Marysi. Czuł głębokie rozżalenie, nie mógł się pogodzić ze zmianą uległej, podporządkowanej dziewczyny w samodzielną młodą kobietę. Nie mógł zrozumieć przyczyny, dla której Marysia wybrała jakąś tam szkołę, a nie jego. Może i dobrze, że przekonał się, jaka ona jest przed ślubem, a nie po. Trudno, skoro woli się uczyć, zamiast uszczęśliwiać ich wspólne dni. Buzowała w nim złość tak wielka, że postanowił jak najszybciej zapomnieć o tej zdrajczyni. W końcu jest dookoła wiele panien na wydaniu. Wystarczy się tylko rozejrzeć.

Pan Stanisław Czyński układał w myślach przemowę do syna. On również czuł się rozczarowany, ale postawą Leszka.

Kiedy ten chłopak dorośnie? Zachowuje się jak rozkapryszony smarkacz, a ma już trzydzieści lat! Nie próbuje zrozumieć, nie szuka rozwiązań, tylko w jednej chwili niszczy to, co tak długo budował. Najwyraźniej nie dorósł jeszcze do założenia rodziny – ze smutkiem skonstatował pan Czyński.

Trudno się dziwić Leszkowi, że nie zgadza się na ten pomysł Marysi – monologowała w myślach pani Czyńska. – Chce mieć w domu żonę, a nie studentkę czy lekarkę. Poza tym, gdy pojawią się dzieci, kto się będzie nimi zajmował? No, oczywiście można wynająć nianię, ale ona nie zastąpi matki. Leszek potrzebuje prawdziwej żony, a nie tylko jej namiastki.

Wrócili zmęczni po kilku godzinach jazdy, więc zjedli naszykowaną naprędce kolację i poszli spać. Leszek wypalił w swojej sypialni całą masę papierosów, rozpamiętując w kółko zawód, jaki go spotkał. Wypił parę kieliszków brandy „na dobry sen”, ale sen nie przychodził. Zasnął dopiero nad ranem z mocnym postanowieniem, aby zapomnieć o Marysi.

W Radoliszkach od rana komentowano tak nagły powrót państwa Czyńskich z Warszawy. Wymyślano najprzeróżniejsze powody, dla których rozstanie Leszka z Marysią wydawało się najbardziej prawdopodobne. Tylko dlaczego? Kto zerwał zaręczyny – Leszek czy Marysia? Pani Szkopkowa miała tego dnia wielu klientów, którzy przychodzili głównie po nowinki i aby pogadać o nowym, niezwykłym temacie.

– Moja pani Szkopkovo, znała pani Marysię najlepiej. Była w Leszku taka zakochana, świata poza nim nie widziała, a i panicz Leszek zabiegał o Marysię przez dwa lata. Podobno nawet zaręczył się z nią bez wiedzy rodziców. Co się stało? – Aptekarzowa rzadko wdawała się w rozmowy ze zwykłą sklepową, teraz jednak uznała towarzystwo Szkopkowej za odpowiednie.

– Marysia była bardzo porządną dziewczyną. Skromna, uprzejma dla ludzi, zawsze chętna do pomocy. Nie może być, żeby ona coś zawiniła. Paniczowi się pewnie odwidziało, jak to u państwa często bywa. Szkoda mi Marysi. – Szkopkowa dzielnie trzymała stronę swojej byłej podopiecznej.

– Może dlatego, że teraz jest bogata, a panicz wolał biedną dziewczynę? – Aptekarzowa snuła przypuszczenia.

Rozmowę przerwał dzwonek u drzwi i wejście Prokopa Mielnika. Od progu sprawiał wrażenie zadowolonego, był w bardzo dobrym humorze. Poprosił o tytoń i bibułki, a kiedy aptekarzowa zapytała, co go tak cieszy, skoro prawdopodobnie Marysia i Leszek się rozstali, odpowiedział z tajemniczym uśmiechem:

– Za dwa dni przyjedzie do Radoliszek Kosiba, znaczy profesor Wilczur, to będzie można go zapytać.

– A skąd wy o tym wiecie? – indagowała Szkopkowa.

– Sobek telegram przyniósł, a tam było pytanie, czy może się u mnie zatrzymać. Czy może? To dla mnie wielki zaszczyt. Zaraz wysłałem telegram, że czekamy z utęsknieniem. Już Zonia z Natalką szykują dla niego izbę gościnną. – Po czym odwrócił się i wyszedł ze sklepu, zostawiając obie kobiety w stanie głębokiego zaskoczenia.

– A widzi pani, już nawet i pytać nie trzeba. Skoro taki wielki pan jak profesor woli zamieszkać w chłopskiej chacie niż we dworze ludwikowskim, to musiało się stać coś poważnego między młodymi.

Jadąc do Radoliszek, profesor układał sobie w głowie kolejność kroków, jakie musi podjąć, aby otworzyć lecznicę. Wielki szpital nie wchodził w grę. Nie stać go było na kilkumilionowe wydatki. Przypomniał sobie, że na skraju miasteczka rozciągała się szeroka łąka, która wystarczyłaby na zbudowanie lecznicy. Dojazd był utwardzoną drogą, obok płynęła rzeczka, a w perspektywie widać było skraj lasu. Nie wiedział tylko, do kogo należy ten grunt, ale Prokop Mielnik na pewno pomoże. Za kierownicą samochodu siedział nowy ogrodnik Wilczura, Franek. Przed wyjazdem okazało się, że Franek może prowadzić samochód, bo wcześniej pracował jako kierowca beczkowozów w rozlewni mleka. Dlatego właśnie profesor postanowił pojechać samochodem. Będzie mi łatwiej poruszać się po okolicy – pomyślał. Dojechali do Radoliszek, gdy był już zmierzch. Wilczur pokazał Frankowi drogę, w którą należy skręcić, aby dotrzeć do młyna. A tam już na nich czekali. W oknach były zapalone światła, a przed domem stali wszyscy domownicy. Kiedy Wilczur wysiadł z samochodu, prawie rzucili się na niego. Prokop złapał Wilczurę za rękę, chcąc ją pocałować, to samo chciał zrobić jego syn, ale Rafał podniósł ich i uściskał jak najbliższą rodzinę. Matka Agata, Zoja i Natalka rozpląkały się w głos.

– Witajcie, witajcie. – Wilczur był tak wzruszony, że głos mu się łamał. – Przedstawiam wam mojego kierowcę i ogrodnika Franka. Nie uprzedziłem, że będzie nas dwóch, ale może i dla niego znajdzie się jakiś kącik.

– Zaś by tam. Znajdzie się. Franek zamieszka w waszej przybudówce, a dla was już przygotowaliśmy pokój. Wchodźcie oba, wieczerza na stole.

Przy stole usiedli jak zwykle mężczyźni. Kobiety usługiwały, patrząc, czy nikomu niczego nie brakuje. Jednak coś się zmieniło, bo przed każdym biesiadnikiem postawiły osobny talerz i położyły łyżki. Wilczur z rozczuleniem patrzył na suto zastawiony stół, jakby na Wielkanoc: półgąski, żeberka wieprzowe, kiszona kapusta zasmażana, buraczki, bogato omaszczony ziemniak i nawet pierogi z grzybami. Wiedział, ile musiały się napracować skrzętne gospodynie. Prokop zajął swoje poczesne miejsce za stołem, a Wilczurę posadzono naprzeciwko niego. Gospodarz przeżegnał się i podziękował Bogu za posiłek.

– Obiecaliście, że przyjedziecie, profesorze, ale mi się wierzyć nie chciało, bo i po co? Tak sobie myślałem.

– Przyjechałem do was nie tylko dlatego, że mi z wami było dobrze, a za wami tęskno, ale i z bardzo ważną sprawą – Wilczur rozpoczął wyjaśnianie. – Postanowiłem wybudować w Radoliszkach lecznicę, taką prawdziwą i dla każdego, dla biednych i dla bogatych. Sami wiecie, że dla mnie każdy człowiek jest jednakowo ważny i zasługuje na pomoc lekarską.

– Wiemy, dobrze wiemy – odpowiedzieli chórem zebrani przy stole, kiwając głowami.

– Upatrzyłem sobie kawałek łąki na skraju miasteczka, ten, co sąsiaduje z rzeczką, tylko nie wiem, do kogo należy i od kogo będę mógł go kupić – ciągnął Wilczur.

– To nie tajemnica. – Prokop machnął ręką. – To jest łąka Pankracego Wojdyły, naszego rymarza, co ją odziedziczył po ojcu. Ale jemu na nic się przyda, bo dom ma

daleko i nawet krów nie chce wypędzać tyli kawał drogi. Tak sobie myślę, że ucieszy się, jak ktoś to będzie chciał kupić. Tej łąki będzie ze cztery morgi, czy aby akuratnie?

– W sam raz, bo budynek musi mieć trochę miejsca do spacerów dla ludzi i miejsca na furmanki czy samochody. Z tyłu lecznicy będzie ogród i alejki spacerowe dla chorych.

– A to się ludziska ucieszą, jak im powiem, że nasz znachor wraca. Znaczą wszyscy wiedzą, że znachor Kosiba to profesor Rafał Wilczur, ale ludziom to może i różnie będzie przychodzić do swojaka – wtrącił się do rozmowy Wasil, syn Prokopa.

Wilczur uśmiechnął się i pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Możesz mi pomóc, Wasil, i porozmawiać z rymarzem? Pojadę sam do niego, jak się zgodzi.

– Zaraz jutro, z samego rana pójdę. – Wasil z entuzjazmem planował swoją pomoc. Nigdy nie zapomniał o tym, że to Kosiba poskładał mu nogi i wrócił mu chęć do życia.

– Nie pójdziesz, tylko pojedziesz z Frankiem. Pokażesz mu drogę.

– To ja pojadę prawdziwym samochodem? – Wasil aż się zachłysnął ze szczęścia.

– A ja mogę się z nimi przejechać? – Natalka nieśmiało podniosła oczy na Wilczura.

– Możesz, gołąbeczko, możesz. – Wilczur spojrział uważnie na dziewczynkę, uśmiechnął się do niej i pomyślał, że warto jej pomóc, aby mogła się dalej uczyć.

Następnego dnia rano otwierając drzwi od izby, w której nocował, Wilczur zobaczył przy kuchennym stole nie tylko rodzinę Prokopa, ale i Franka, i Pankracego Wojdyłę. Najwyraźniej młodzi uwinęli się z samego rana i wrócili z rymarzem.

– Niech będzie pochwalony – zwrócił się rymarz do Wilczura. – Wasil mi powiedział, że upatrzycie sobie łąkę na skraju Radolizsek i będziecie budować lecznicę. Prawda li to?

– Na wieki wieków – odpowiedział Wilczur. – Prawda. Z Warszawy mają mi przysłać projekty lecznicy i małego domku dla mnie. Będzie trzeba postawić jeszcze stajnię dla koni i wozownię, bo nie wszędzie można dojechać samochodem. Ile chcecie za tę łąkę?

– Po prawdzie to dałbym ten kawałek ziemi za darmo. Jeść mam co, a przecie lecznica ma być dla wszystkich. Wy już tyle dobrego zrobili dla tutejszych ludzi, że grzech by było jeszcze na was zarabiać. – Stary rymarz mówił wolno i poważnie patrzył na Wilczura.

W tej chwili rozmowę przerwała matka Agata, stawiając na stole samowar mruczący swoją gorącą melodię. Zonia wzięła do ręki chleb, przeżegnała go i zaczęła kroić równe kromki. Olga i Nastka przyniosły ze spiżarni masło, grube plastry szynki domowej roboty, pełną miskę twarogu ze szczypiorem. Mężczyźni zabrali się do jedzenia, więc przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Najszybciej skończył parobek młynarza Witalis, podziękował gospodarzowi i powiedział, że przyjechało do młyna tyle narodu, że musi już uciekać do roboty, no i że przydałby się ktoś do pomocy.

– Wasil, a zbieraj się i ty, ludzi trzeba obsłużyć – gderliwie zwrócił się do syna Prokop. – Nie gadać mi za dużo. Ludziska przyjechali pogadać, ale wy dwaj pracy macie pilnować.

– Ja bym też chętnie pomógł – odezwał się Franek. – Byle mi ktoś powiedział, co i jak mam robić. – Chyba że potrzebny jestem profesorowi? – zwrócił się do Wilczura. Ale ten tylko pokręcił głową i zaprzeczył.

– No to i chwała Bogu, teraz to sobie poradzicie, a powie ci wszystko Zonia, bo już nie raz we młynie pomagała. – Prokop zrobił znak krzyża nad głową Franka. – No to z Bogiem.

Przy stole zostali we trzech: Wilczur, Prokop i Pankracy. Zapalili fajki, kobiety zaczęły sprzątać ze stołu, a Wilczur zwrócił się do rymarza z krótkim pytaniem:

– A ile byście wzięli za tę łąkę, gdyby jakiś obcy chciał ją kupić?

– Ona jest warta może tysiąc pięćset złotych, nie więcej.

– No to umowa stoi. – Wilczur wyciągnął rękę do Wojdyły.

Ale Pankracy Wojdyła nie przyjął podanej ręki. Spojrzał na Wilczura bardzo poważnie i kontynuował:

– Kiedy mój chłopak niecnota położył na drodze kłody drzewa, a panicz Leszek i Marysia rozbili się na motocyklu, to wy ich ratowali. Gdzie by był dzisiaj synok Zenek, jakby które z nich umarło? Do końca życia siedziałby w więzieniu. Ta ziemia na lecznicę to moja zapłata za to dobre, coście zrobili dla mojej rodziny. Zenek żałuje tego, co zrobił, to jak za rok wyjdzie z więzienia, przyda się i rodzinie, i ludziom.

W tej właśnie chwili na podwórko zajechała ze skrzypieniem kół furmanka. Zeskoczył z niej młody mężczyzna, zapukał i nie czekając zaproszenia, wszedł do kuchni, kłaniając się nisko.

– Ratunku prosimy, jedziemy już drugi dzień. Kobieta mi zległa, ale nijak nie może urodzić. My do znachora po pomoc. – Rozejrzał się po kuchni, szukając wzrokiem Kosiby.

– Wnieście ją do przybudówki. – Wilczur poderwał się natychmiast i zaczął wydawać polecenia. – Natalko, przynieś prześcieradła i bandaże, które jeszcze zostały, matko Agato, Olgo, nagrzejcie gorącej wody. Szybko!

– Ale my do znachora. – Przybyły nie mógł poznać dawnego człowieka w tym eleganckim mężczyźnie.

– Toście dobrze trafili – odparł Wilczur nieco poirytowany.

Położyli kobietę na łóżku w przybudówce. Profesor wyprosił wszystkich, z wyjątkiem Natalki. Zobaczył przed sobą umęczoną twarz młodej kobiety, zgasłe z bólu oczy, więc powiedział do niej swoim cichym, pocieszającym głosem:

– Zaraz was zbadam, nie bójcie się, wszystko będzie dobrze. – I pogładził ją po mokrych od potu włosach.

Profesor szybko się zorientował, że zostało mało czasu, aby uratować i dziecko, i matkę. Dziecko było źle ułożone, ale nie miał przy sobie potrzebnych narzędzi do skomplikowanego porodu, więc zaczął tłumaczyć kobiecie, co zamierza zrobić.

– Muszę obrócić dziecko w środku tak, żeby główka zeszła na dół. Teraz wasze dzieciątko wypina na świat swoją pupę. Wytrzymajcie jeszcze trochę. Natałka, ocieraj pot z czoła, wlewaj po kropelce wody w usta kobiety. Jak wam na imię? – zwrócił się do rodzącej.

– Honorata. – Ten głos był zamierający z udręczenia.

Natałka po chwilowym szoku, jaki odczuła, uczestnicząc po raz pierwszy w porodzie, szybko się pozbierała i zaczęła spełniać sprawnie polecenia Wilczura. Podawała potrzebne narzędzia, trzymała za rękę rodzącą, aby dodać jej siły i ją pocieszyć. Kiedy wreszcie udało się profesorowi wyciągnąć malucha, odebrała go z rąk lekarza, wykąpała w ciepłej wodzie, zawinęła w prześcieradło i podała matce.

Na zewnątrz ojciec dziecka rozmawiał z Prokopem. Słysząc było tylko krzyk rodzącej i uspokajający głos Wilczura. Prokop wyjaśnił, że kobieta jest w dobrych rękach, a Kosiba tak naprawdę to jest profesor Rafał Wilczur, wielki polski doktor.

Już od wczorajszego wieczoru Zonia wodziła wzrokiem za Frankiem. Wydawał jej się bardzo atrakcyjnym mężczyzną, takim światowym, dobrze wychowanym. Usługiwała do kolacji, podsuwając mu smakowite kaski. Kiedy Prokop kazał jej nauczyć Franka, jak się pracuje we młynie, to aż dostała wypieków z radości. Dlatego opowiadając, co i jak należy robić, szybko nawiązała z nim dobry kontakt, a i Franek patrzył na Zonię z wdzięcznością i przyjemnością. Zajęci sobą w hałasie maszyn młynarskich, nie zwrócili uwagi na zamieszanie przed młynem. Dopiero godzinę później, kiedy Zonia musiała wracać do kuchni, by przygotować obiad, zobaczyła, jak nowo upieczony ojciec wychodzi do ludzi i woła uszczęśliwiony, że urodził mu się syn i żonę profesor też uratował. Zobaczyła, jak ludzie gratulują, kobiety ocierają łzy z oczu, a chłopcy wołają, że teraz jak wrócił znachor, wszystko będzie dobrze.

– Daj synoczkowi na imię Antoni – wołali rozradowani ludzie. – Na pamiątkę.

Wiadomość o przyjeździe Wilczura dotarła do dworu w Ludwikowie bardzo szybko. Przyniosła ją jedna ze służących, więc państwo Czyńscy wezwali syna na rozmowę.

– Wiem, od samego profesora, po co tu przyjechał. Pragnie wybudować lecznicę w Radoliszkach, taką prawdziwą, z salą operacyjną, gabinetem zabiegowym i izbą porodową. Obiecałem mu pomóc w tym przedsięwzięciu, bo z całego serca popieram ten pomysł. Jednak to, co zrobiłeś, Leszku, Marysi, bardzo skomplikowało sytuację. Najlepszy dowód, że profesor zatrzymał się we młynie, a nie u nas.

– Ja zrobiłem, czy ona zrobiła? Wybrała szkołę, a nie mnie. Tak się nie robi. – Leszek aż podniósł się z fotela w słusznym gniewie.

– Nie podnoś głosu, synu, i wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Nie przerywaj, dopóki nie skończę. – Pan Czyński był niezwykle poważny. – Ukaraleś bardzo mocno

Marysię za to, że pragnie się uczyć, że chce zrealizować swoje marzenia. Tyle mówiłeś o miłości do niej, a gdy pojawiła się pierwsza przeszkoda, od razu się poddałeś. – Ojciec uciszył gestem próbę przerwania jego wypowiedzi. – Jak sobie wyobrażałeś życie z drugim człowiekiem bez szacunku dla odmienności potrzeb i zainteresowań? Czy twoje plany wspólnego życia to była jedynie mrzonka oparta na TWOICH potrzebach i marzeniach? Tymczasem Marysia jest prawdziwym skarbem i każdy dojrzały mężczyzna chciałby, aby u jego boku był ktoś, na kogo zawsze będzie mógł liczyć, kto będzie dość silny, by znosić złe chwile, których życie nie skąpi. Czy ty sobie wyobrażałeś, że przez resztę swoich dni będziecie sobie patrzeć w oczy i spijać nektar z dzióbków, uśmiechając się do siebie? Potraktowałaś Marysię jak swoją własność, która nie ma swojego zdania, swoich potrzeb i celów. Nie przyszło ci do głowy, że wspólnie moglibyście poszukać jakiegoś rozwiązania tej sytuacji? Na twoim miejscu przemyślałbym to sobie.

– Wiesz, Stanisławie, że ja jednak rozumiem postawę Leszka – włączyła się do rozmowy pani Eleonora. – Ma już skończone trzydzieści lat i przyszedł czas na założenie rodziny. Zawód lekarza to nie jest praca dla kobiety, przynajmniej nie dla kobiety z naszej sfery. Rozumiem, że ubogie dziewczyny decydują się na takie wyzwanie. Dla ubogich, ale zdolnych są jakieś stypendia. Poza tym jej decyzja musi być dla Leszka wielkim ciosem. Miała do wyboru być lekarzem albo wyjść za mąż za Leszka. No i wybrała. Trudno synku, wszystko się jakoś ułoży – zwróciła się do syna z pocieszającym wyrazem twarzy.

Leszek przenosił wzrok z ojca na matkę, ale znalazł poparcie jedynie w słowach matki. Był dość inteligentny, by wyczuć niezadowolenie, a wręcz potępienie ojca.

W krótkim czasie wiadomość o powrocie Wilczura i o jego planach rozeszła się po całej okolicy. Dowiedział się o tym również doktor Pawlicki. W pierwszej chwili pomyślał, że dla niego to już koniec. Nie pozostanie mu nic innego, jak wyprowadzić się i szukać szczęścia w jakichś innych stronach. Nie wytrzyma konkurencji z profesorem medycyny, który dał się poznać nie tylko jako znakomity lekarz, ale i dobry, uczynny człowiek. Jego matka i siostra nic nie mówiły, ale widział w ich twarzach zwykły strach i nieme pytanie: „Co z nami będzie?”.

Pawlicki wrócił myślą do czasów, gdy gnębił Wilczura, kiedy złożył na niego doniesienie na policję, gdy zeznał przeciwko niemu w sądzie. Czy można coś takiego wybaczyć? A przecież już wówczas, gdy Wasil wyszedł na własnych nogach przed dom, widział wyraźnie, że nie mógł poskładać skomplikowanych złamań nóg byle jaki znachor. Czyż już wtedy nie przemknęło mu przez myśl, że ma do czynienia z niezwykłymi umiejętnościami Kosiby? Gdyby okazał trochę zrozumienia, próbował nawiązać życzliwy kontakt, może dziś miałyby prawo zwrócić się do profesora o radę, o pomoc. Szczytem własnej głupoty była jednak osobista reakcja na niezwykłą operację, jaką wykonał ten człowiek na otwartej czaszce Marysi. To był niezbity dowód na

profesjonalizm z najwyższej półki. W końcu on sam nie mógł się podjąć takiej operacji, nie dałby rady. Gdyby wówczas zaczął szukać odpowiedzi na zagadkę znachora, może to jemu właśnie przypadłoby w udziale przywrócenie Wilczurowi pamięci i to on chodziłby dziś w chwale, otoczony ludzką wdzięcznością. Zamiast tego została gorycz porażki, zaprzepaszczone okazja, by pomóc drugiemu człowiekowi. Po uwięzieniu Kosiby, ludzie przestali się zwracać do Pawlickiego po pomoc. Mizerne dotąd dochody skurczyły się jeszcze bardziej. Jakże ma teraz wyjście? Może się wyprowadzić, choć nie stać go na to, może próbować konkurować z Wilczurem i ponieść porażkę albo... próbować dołączyć do drużyny profesora. Nie miał wątpliwości, że mógłby się wiele nauczyć, odzyskać dobre imię i zbudować lepszą przyszłość dla siebie, swojej matki i siostry. Tylko jak ma to zrobić?

Po wyjeździe ojca do Radolizsek Marysia skupiła się na sprawach szkolnych. Nauka przebiegała normalnie, bez większych zgrzytów, z wyjątkiem chemii. Na każdej lekcji nauczyciel odpytywał ją, aby wykazać, że ma braki w wiedzy. Krytykował jej postępy w nauce i starał się udowodnić Marysi, że powinna brać u niego korepetycje. Wspominał o tym kilka razy, ale dziewczyna odpowiadała grzecznie „nie, dziękuję” na każdą złożoną ofertę. Ten łysiejący, korpulentny, pięćdziesięcioletni człowiek rozpoczął akcję złamania Marysi poprzez złośliwości i poniżanie. Każda lekcja chemii była drogą przez mękę, dlatego Marysia postanowiła działać.

Któregoś popołudnia, po szkole, zaprosiła swoją koleżankę Krysię na obiad i na wspólne odrabianie lekcji. Po nauczaniu się bieżących zagadnień i powtórce z minionego semestru przyszedł czas na pogaduszki przy herbacie i domowych ciasteczkach. Dziewczyny usiadły w wygodnych fotelach w gabinecie ojca, Wiga wskoczyła na kolana Marysi, która zaczęła opowiadać o kolejnych próbach podejmowanych przez nauczyciela chemii, aby umówić się z nią na korepetycje.

– Nie mam pojęcia, dlaczego ten wstrętny człowiek tak się na ciebie uwziął – Krysia skomentowała to, czego była świadkiem na każdej lekcji. – Wcale nie jesteś taka zła z chemii. Inne dziewczyny wiedzą o wiele mniej od ciebie, a ich nie gnębi.

– Czy już wcześniej ten nauczyciel proponował innym uczennicom korepetycje? – zapytała Krysię niby mimochodem.

– No tak, dwa lata temu miała u niego dodatkowe lekcje Weronika, ale po jakimś czasie zrezygnowała ze szkoły i wyjechała. Nie wiadomo dlaczego, bo była zdolną uczennicą. – Krysia przywołała wspomnienia koleżanki, która nagle zmieniła się, zamknęła się w sobie, przestała żartować i po prostu wyjechała.

– Ktoś jeszcze? – indagowała Marysia.

– W zeszłym roku – Krysia zaczęła intensywnie myśleć – któregoś dnia po indywidualnej lekcji chemii wybiegła z pokoju Renata, cała zapłakana i roztrzęsiona. Widziała to nasza woźna, pani Pelagia. Renata nie chciała powiedzieć, co się stało, ale

do szkoły już nie wróciła. Zaraz – Krysia uruchomiła myślenie – w tym coś jest. Nie pytasz mnie bez powodu.

– Czy znasz kogoś, kto mógłby odszukać te dwie dziewczyny i dowiedzieć się, co się z nimi stało? Jakiś policjant lub prywatny detektyw?

– Może mi najpierw powiesz, o co tu chodzi? – Krysia była wyraźnie zaintrygowana.

Marysia najpierw milczała, zastanawiając się, czy może Krysi zaufać, ale zdała sobie sprawę, że bez pomocy nie uda jej się zdemaskować gwałciela. Opowiedziała więc o swoim spotkaniu z kobietą w lecznicy i o zgodności nazwisk tamtego mężczyzny z nauczycielem chemii. Teraz jest osobiście zagrożona i nie zamierza się poddać.

– Ach, to tak. – Krysia wypuściła z płuc powietrze i połączyła znane jej fakty. – Takich przypadków było więcej. Trudno się dziwić, że dziewczyny nie chciały o tym mówić. Każdą może coś takiego spotkać. Ten człowiek nie ma prawa uczyć w żeńskiej szkole!!!

– No to znajdziesz kogoś do pomocy? Same nie damy sobie rady – naciskała Marysia.

– Kuzyn mojej mamy jest prokuratorem. Umówię go na spotkanie z nami.

– Dziękuję ci, Krysiu. Muszę się ratować, ale musimy ratować też inne dziewczyny.

Dopóki Marysia zaprzętała myśli bieżącymi sprawami, jej osobista tragedia schodziła na dalszy plan. Jednak wieczorami, gdy układała się do snu, tęsknota za Leszkiem uderzała w samo serce jak pięść boksera. Zerwanie zaręczyn wciąż ją bolało. Dlaczego los potrafi być taki okrutny? Dotąd była przekonana, że znalazła bratnią duszę, drugą połowę jabłka, przyjaciela na dobre i na złe. Tymczasem... W takich chwilach wracały wspomnienia odwiedzin Leszka w sklepie pani Szkopkowej, jego żarty i opowiadania o świecie i ludziach, wycieczki motocyklem na skraj lasu, długie rozmowy pełne miłości i oddania. Nie była w stanie zrozumieć postawy ukochanego. Przecież dałoby się ułożyć ich życie z uwzględnieniem jej marzenia o zawodzie lekarza, ale Leszek musiałby tego chcieć.

W sobotę po południu koleżanki miały się spotkać z wujkiem Krysi w cukierni na Nowym Świecie. Było rześkie powietrze, bo zima nie chciała jeszcze odpuścić. Marysia przyjechała do centrum Warszawy wezwaną dorożką. Wsiadła pełna zachwytów nad wielkim miastem. Do tej pory nie miała okazji podziwiać swojej stolicy. Patrzyła na piękne budynki po obu stronach ulicy, na elegancko ubranych przechodniów. Jakże różnili się od mieszkańców Radoliszek! Tutaj kobiety miały na sobie bogate, egzotyczne futra, mężczyźni nosili na głowach kapelusze nierzadko sprowadzane z wiedeńskiej pracowni Hermanna Maurera i eleganckie, futrzane kołnierze. Po ulicy jechały dorożki i od czasu do czasu automobile. Wszędzie słychać było gwar ludzkich głosów, stukot kół, rżenie koni. Do pobliskiej bramy wjechał wóz z węglem, dozorca domu szurał łopatą do odśnieżania, aby utrzymać czyste chodniki. Witryny sklepów przyciągały wzrok kolorowymi wystawami, a mali przekupnie zachwalali głośno swój towar.

Wkrótce dołączyła do Marysi Krysia, a po chwili pojawił się wujek. Przywitali się uprzejmie i weszli do pobliskiej cukierni Bliklego. Marysia zauważyła, że na szyldzie

napisano rok założenia, 1869. To znaczy, że firma działa już ponad pół wieku!

Wewnątrz było ciepło, pachniało czekoladą, wanilią i ciastem. Pan Zenobi Kalbarski, wujek Krysi, był postawnym, szpakowatym mężczyzną, o twarzy skupionej i poważnej. Sprawiał wrażenie osoby bardzo stanowczej i pewnej siebie. Usiedli przy malutkim stoliczku, zamówili kakao i ciastka. Wreszcie wujek zainteresował się powodem spotkania. Wokół słychać było gwar przyciszonych rozmów, więc Marysia zaczęła mówić również szeptem. Opowiedziała o tragedii kobiety ze szpitala. Krysia dodała swoje wspomnienia o koleżankach, które nagle zniknęły ze szkoły, dodały też, że teraz chemik chce zmusić Marysię, żeby brała u niego korepetycje.

– Wujku, ten człowiek nie ma prawa uczyć w naszej szkole. – Krysia była przejęta tematem tak bardzo, że z trudem łapała powietrze.

– Spokojnie, panienki, to jest bardzo poważne oskarżenie. Najpierw trzeba sprawdzić, czy chodzi o tego samego człowieka. Ponadto mamy problem z doniesieniem o przestępstwie. Przecież żadna z pokrzywdzonych nie zgłosiła tego na policję. Sprawa jest tak bardzo delikatna, że muszę to sobie przemyśleć, zanim podejmę kroki prawne.

– Ale co ja mam teraz zrobić? – Marysi stanęły łzy w oczach.

– Na razie nie rób nic, panienko. Dowiedzcie się tylko dyskretnie o innych jeszcze dziewczętach, które brały korepetycje u tego nauczyciela, nieważne, czy później odeszły ze szkoły, czy nadal w niej są. Moja rada dla was obu: zawsze trzymajcie się razem. Spróbujcie też zaprzyjaźnić się z dziewczętami, które miały korepetycje z chemii. Jeśli wam zaufają, to może zechcą opowiedzieć o tym, czy spotkało je coś złego ze strony nauczyciela.

– My już myślałyśmy, żeby porozmawiać z naszą panią dyrektorką. Może ona mogłaby pomóc. – Marysia ufnie dzieliła się swoimi przemyśleniami.

– Na razie nic nie róbcie. Żeby kogoś oskarżyć, trzeba mieć dowody, a śledztwo w tej sprawie zostawcie mnie. Panno Marysiu, nie zgadzaj się na korepetycje u tego jegomościa. Jeszcze trochę wytrzymaj.

Od poniedziałku zaczął się okres powtórek materiału i planowe przygotowanie do matury. Każda lekcja, każdy przedmiot były dla Marysi inspiracją, wyzwalały ciekawość, więc często pytała nauczycieli o niejasne szczegóły. Nauczyciele z przyjemnością omawiali poruszone zagadnienia i wyjaśniali wątpliwości, zadowoleni w duchu, że trafiła się panienka tak bardzo zaangażowana w proces nauczania. Koleżanki coraz częściej pytały Marysię o wyjaśnienie bieżących lekcji, a dla niej samej był to doskonały sposób na powtarzanie materiału. Dotyczyło to również chemii. Dziewczyna postawiła sobie za punkt honoru, aby nie dać się przyłapać na niewiedzy.

Ta szczególna lekcja chemii była dla Marysi nie lada wyzwaniem. Nauczyciel wywołał ją do odpowiedzi.

– Co panna wie na temat alkoholi? – zadał pytanie z grymasem zadowolenia na twarzy.

– Nazwy alkoholi pochodzą od węglowodorów – rozpoczęła pewnie Marysia. – Najprostszym alkoholem jest metanol, czyli alkohol metylowy. Jego nazwa pochodzi od węglowodoru o nazwie metan. Wzór cząsteczki to CH_3OH . Następny jest etanol, czyli alkohol etylowy, którego nazwa pochodzi od węglowodoru o nazwie etan. Wzór cząsteczki $\text{C}_2\text{H}_5\text{OH}$. Trzecim z kolei jest propanol, czyli alkohol propylowy o wzorze chemicznym $\text{C}_3\text{H}_7\text{OH}$, a ostatnim jest butanol, czyli alkohol butylowy o wzorze $\text{C}_4\text{H}_9\text{OH}$.

Klasa słuchała z zachwytem płynnej wypowiedzi koleżanki. Nauczyciel przestał się ironicznie uśmiechać i natychmiast zadał następne pytanie.

– Co się stanie, gdy dodamy wody do alkoholu?

– Po zmieszaniu alkoholi z wodą następuje zmniejszenie objętości roztworu.

– Chyba zwiększenie, nie sądzisz?

– Nie, zmniejszenie. To zjawisko nazywa się kontrakcją.

– A próbowała panienka alkoholu?

– Nie, nie próbowałam, ale wiem, że ma charakterystyczny zapach.

– To którego alkoholu chciałyby panienka spróbować? – Nauczyciel podszedł do Marysi i beczelnie zajrzał jej w oczy.

– Żadnego. Proszę uprzejmie się odsunąć. Jestem dalekowiedzem i źle widzę z bliskiej odległości. – W dziewczynie aż się gotowało z powodu aroganckiego i prowokacyjnego zachowania nauczyciela.

– To może próbowała jednak panienka metanolu, skoro ma kłopoty ze wzrokiem – zaśmiał się szydlerczo.

– Metanol jest silną trucizną, a ja nie mam kłopotów ze wzrokiem. – Mimo ciągłych prowokacji Marysia nie dała się wyprowadzić z równowagi. Patrzyła na swojego dręczyciela i nie spuściła wzroku.

Nauczyciel zacisnął usta, zmarszczył czoło, odwrócił się tyłem do Marysi i zajął miejsce za katedrą. Następnie zaczął coś pisać w dzienniku.

Dziewczęta były oburzone jego zachowaniem, przekraczającym wszelkie reguły przyzwoitości. Na przerwie powiedziały Marysi wiele słów pociechy. Uważały nawet, że trzeba powiadomić o całej sprawie panią dyrektor, ale Marysia nie chciała tego zrobić, mając na uwadze ważniejszą sprawę niż słowne przepychanki z nauczycielem. Czekala na jakąś wiadomość od wujka Krysi. Może już udało się coś ustalić? Krysia też nic jeszcze nie wiedziała.

– Ale Marysiu, zrozum, że takie zachowanie musi być napiętnowane. Mój tata, jak się dowie, co ten człowiek wyprawia, natychmiast zwróci się do pani dyrektor o jego zwolnienie. – Jedna z koleżanek, Jadzia, była bardzo przejęta i pewna poparcia ze strony rodziców.

– Naprawdę uważacie, że powinien być zwolniony? – Marysia powiedziała wzrokiem po koleżankach.

– Oczywiście, jasne, no pewnie – dziewczyny mówiły jedna przez drugą.

– Najlepiej go utopić – cicho dodała Gosia, błada, zaleźniona dziewczyna. Marysia z Krysią wymieniły spojrzenia. Oto znalazły pierwszą ofiarę nauczyciela.

- Ktoś jeszcze chce go utopić? – indagowała Marysia z pozornym uśmiechem.
- Spalić – krzyknęła wręcz histerycznie Zuza, niezwykle energiczna dziewczyna.
- Zuziu, ty brałaś u niego korepetycje? – zapytała Krysia.
- Brałam w zeszłym roku. – Zuza nagle zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

W tej chwili zadźwięczał dzwonek i dziewczęta ruszyły do klasy na lekcję języka francuskiego, ale Marysia i Krysia już wiedziały, które dziewczęta są prawdopodobnymi ofiarami.

Po lekcjach dwie przyjaciółki znowu poszły do domu Marysi. Musiały się naradzić. Wcześniej jednak każda z nich podeszła do jednej z prawdopodobnych ofiar, by zaprosić je na wspólne uczenie się do matury. Umówiły się na następny dzień, ale następnego dnia do szkoły przyszedł ojciec Jadzi i odbył rozmowę z panią dyrektor. Zostały wezwane do gabinetu również Marysia i Krysia, aby zdać relację z poprzedniego dnia. Obydwie potwierdziły to, co pośrednio wiedział ojciec ze sprawozdania Jadzi.

- Takie zachowanie jest niedopuszczalne. Nie mogę pozwolić, aby moja córka była narażona na podobne grubiaństwo. Liczę na to, że podejmie pani odpowiednie kroki. – Po wygłoszeniu tego oświadczenia zabrał Jadzię i wyszedł.

- Możecie wracać na lekcje, muszę przemyśleć tę sprawę – dyrektorka zwróciła się do przyjaciółek.

- Pani dyrektor – Marysia z ociąganiem postanowiła jednak przedstawić sprawę. – Pragnę podzielić się z panią dyrektor bardzo ważnym podejrzeniem. Uważam, że grubiaństwo nauczyciela chemii jest tylko niewielkim zarzutem pod jego adresem.

- Co masz na myśli? – Dyrektorka podniosła wzrok, wyraźnie zaintrygowana.

Marysia kolejny raz opowiedziała szczegółowo swoje spotkanie z kobietą w lecznicy, skojarzenie nazwiska z nauczycielem chemii oraz jego naleganie na indywidualne lekcje wobec niej samej.

- Opowiedziałyśmy o tej sprawie mojemu wujkowi, który jest prokuratorem – wtrąciła się Krysia. – Obiecał wszcząć delikatnie śledztwo, ale nie chciałybyśmy, aby nasza szkoła została wplątana w taki skandal. Niech go policja aresztuje, ale nie w naszej szkole! Dlatego prosimy panią dyrektor o zwolnienie tego pana z obowiązków nauczyciela. Ja się go po prostu boję. – Krysia wyraziła wprost to, co czuła i Marysia.

- Gdyby mój tata nie wyjechał na prowincję, z pewnością prosiłby o to samo – dodała cicho Marysia.

Pani dyrektor była wyraźnie zaszokowana. Przez dłuższą chwilę milczała, aby pozbierać myśli. Po chwili zapytała:

- Czy wiecie coś o uczennicach naszej szkoły, które mogły stać się ofiarami tego pana?

- Na to pytanie pani dyrektor sama znajdzie odpowiedź. Wystarczy prześledzić, które uczennice brały korepetycje z chemii, a następnie nagle rezygnowały ze szkoły. Rozumiemy nasze koleżanki, że z nikim nie chciały rozmawiać o zniewoleniu i hańbie. Myślę, że ich rodzice też nic nie wiedzą, z wyjątkiem sytuacji, gdyby działanie tego pana

miało naturalne następstwa. – Marysia sama się sobie dziwiła, skąd brała tyle odwagi, by mówić to, co mówiła.

Mój Boże, jaka ja byłam ślepa – pomyślała dyrektor Lemańska, czując się winna z powodu niedostatecznej ochrony uczennic i nieumiejętności kojarzenia faktów. Zrobiła w myślach przegląd uczennic, które nagle rezygnowały ze szkoły. Poza jednym wyjątkiem, gdy rodzice przeprowadzili się do innego miasta, wszystkie inne dziewczyny nie podawały powodów przerwania nauki. Powinno było ją to zastanowić.

– Dobrze, że mi o tym powiedziałyście. Ja też nie chcę, aby nasza szkoła została wplątana w skandal obyczajowy. Powiedz, Krysiu, swojemu wujkowi, że w każdej chwili jestem gotowa na współpracę z nim. Tego nie można tak zostawić! Teraz wybaczcie, ale muszę poszukać nowego nauczyciela chemii.

W Radoliszkach postępowały przygotowania do budowy lecznicy. Chorzy, jak dawniej, przyjeżdżali do Prokopa Mielnika, aby szukać pomocy lekarskiej. Przybudówka znów była miejscem pracy Wilczura, Natałka na dobre stała się nieocenioną pomocnicą we wszelkich zabiegach lekarskich, a Franek pomagał we młynie. Dzięki znajomości okolicznych mieszkańców profesor łatwo zorganizował ekipę budowlaną. Listonosz przyniósł oczekiwane plany architektoniczne i można było omówić kolejność prac wykonawczych. Zaczęła się ścinka drzew na rusztowania, stęple, na drewniane schody i meble. Wilczur za punkt honoru postawił sobie wykorzystanie miejscowych rzemieślników, aby dać im zarobić. Na razie jednak musieli czekać na ustąpienie zimy, aby zacząć kopać fundamenty. Martwił się również, czy mu wystarczy pieniędzy na realizację takiego przedsięwzięcia.

Państwo Czyńscy po zasadniczej rozmowie z Leszkiem nie wracali do tematu zerwanych zaręczyn. Leszek poszedł na plebanię, aby anulować zaręczyny i rozpoczął objazd okolicznych majątków w poszukiwaniu nowych znajomości i przygód. Wszędzie przyjmowano go z honorami, zawsze był mile widzianym gościem. Rodzice panien na wydaniu znów mieli nadzieję, że młody Czyński wybierze właśnie ich córkę. Ale Leszek nie mógł się zdecydować, która z panien podoba mu się na tyle, by kontynuować znajomość. Podświadomie porównywał je z Marysią. Żadna nie dorównywała ani jej wdziękowi, ani odpowiedzialności, ani poczuciu humoru. Mijały tygodnie, a w sprawie wyboru przyszłej żony nic się nie zmieniło.

Któregoś dnia po kolacji w kuchni zostali tylko Prokop i profesor. Zapalili fajki i dłuższą chwilę milczeli. W końcu odezwał się Wilczur:

– Wiecie, że Natałka bardzo mi pomaga przy leczeniu chorych? – Prokop skinął tylko głową. – I nie macie nic przeciwko temu? Może wam potrzebna w domu albo

w gospodarstwie, a ja ją odciągam od obowiązków? – Podniósł wzrok na siedzącego obok dziadka Natalki.

– Niech pomaga, niech się uczy czego nowego. Wziąłem ją po szkole do domu, bo nijak nie mogła uczyć się dalej w obcym mieście. Nauka kosztuje – dodał nieco ciszej.

– Jak tak, to chciałbym zapisać Nastkę do szkoły dla pielęgniarek i położnych w Warszawie. Mieszkałyby sobie razem z moją Mariolką, jeść by dostała, uczyłyby się wspólnie i jedna na drugą by miała baczenie. Dostałaby też ode mnie pieniądze na zeszyty, książki i pomoce do nauki. Co wy na to?

– Małoście zrobili dla mojej rodziny? Tylko dług powiększacie. Jak ja się wam odwdzięczę? – Prokop aż się zachłysnął ze zdziwienia i niedowierzania.

– Niezbadane są wyroki boskie, przyjacielu. Kiedyście przyjęli mnie do swojego domu, nic o mnie nie wiedząc, to jakby opatrność boska w tym maczała palce. Zrobiliście to, co wam podpowiadało sumienie. Za to mogłem się wam odwdzięczyć, bo jak tylko zobaczyłem połamane nogi Wasilki, to aż mnie coś w sercu zakłuło. Nie wiem, skąd mi przyszła taka pewność, że mogę chłopakowi pomóc. Nie pamiętałem wtedy, że jestem chirurgiem, ale pamiętałem, co i jak mam zrobić, żeby poskładać na nowo kości. – Umilkł na chwilę, wspominając miniony czas. – Tak to miało być, Prokopie. Nasze rodziny złączyła boska wola, to i nie trzeba się jej sprzeciwiać. Niedługo wybieram się do Warszawy, więc zabiorę wam Franka. Ale wróć...

Prokop opuścił głowę, a lzy same pociekły mu po policzkach i brodzie. Ten stary człowiek poczuł się niebывale szczęśliwy, że oto jest ktoś, kto go szanuje i mu dobrze życzy. Przez wiele lat doświadczał ludzkich pomówień i pogardy, że niby puścił z torbami własnego brata. Nikt nie pytał, jak to było naprawdę, tylko wszyscy osądzali. Śmierć starszych synów i kalectwo najmłodszego uznawali ludzie za karę boską. Od czasu, gdy Kosiba zaczął leczyć, wszystko się zmieniło. Za tę właśnie zmianę był Wilczurowi najbardziej wdzięczny, za odzyskane dobre imię i szacunek otoczenia.

Michałowa otworzyła drzwi domu na natarczywe pukanie i zobaczyła listonosza. W pierwszej chwili przestraszyła się, że coś się stało, bo listonosz trzymał w ręce telegram. Uśmiechnięta twarz przedstawiciela Poczty Polskiej nieco ją uspokoiła, zwłaszcza że po otwarciu telegramu przeczytała: „Wracam jutro. Pozdrawiam. Wilczur”.

Marysia dowiedziała się o przyjeździe ojca przy obiedzie. Wracała ze szkoły cała uszczęśliwiona, bo lekcję chemii poprowadziła nowa nauczycielka. Dziewczyny gratulowały Marysi i sobie przy okazji, że pozbyły się człowieka, którego szczerze nie lubiły. W domu czekała ją utęskniona nowina. Jakoś tak się dziwnie złożyło, że ojciec i córka mieli dla siebie bardzo mało czasu. Teraz to się zmieni, będziemy razem chodzili do teatru, do muzeów, na koncerty – monologowała w myślach. Zachłannie pragnęła nadrobić czas stracony przez biedę i samotność w Radoliszkach. Nie mogła się z tą podzielić sprawą nauczyciela chemii, nie zdradzając powierzonej jej tajemnicy, mogła

jednak opowiedzieć o swoim życiu w szkole, o coraz lepszych ocenach i wyraźnych postępkach w nauce. Jedząc z apetytem obiad, już planowała przeczytanie lektury „Nad Niemnem” Elizy Orzeszkowej, aby jutro mieć czas tylko dla ojca.

Wilczur przyjechał do Warszawy zgodnie z zapowiedzią, ale odwiedził najpierw lecznicę, by spotkać się z profesorem Dobranieckim. Zadzwoił stamtąd do domu, że będzie nieco później.

– Witaj Krzysztofie. – Podał rękę swojemu uczniowi i następcy. – Wybacz, że tak niespodziewanie, ale mam do omówienia z tobą bardzo ważne sprawy. Czy możesz mi poświęcić trochę czasu? Może poszlibyśmy do pobliskiej restauracji i porozmawiali przy obiedzie? Dopiero przyjechałem i jestem bardzo głodny.

– Też bym coś zjadł. – Dobraniecki uśmiechnął się do swojego pryncypała. – Za chwilę będę gotowy.

Znaleźli sobie stolik pod oknem, z dala od szumu restauracji. Zamówili barszcz czerwony z kołdunami, zrazy i czerwone wino. Najpierw jedli w milczeniu, a przy deserze Wilczur rozpoczął omawianie sprawy, z którą przyjechał.

– Wiesz zapewne, Krzysztofie, że postanowiłem wybudować w Radoliszkach lecznicę, głównie dla ubogich. Będę ją osobiście prowadził, więc na twojej głowie pozostanie lecznica warszawska, jak to było przez ostatnie trzynaście lat. Nie zamierzam również wracać na uczelnię, więc katedra nadal jest twoja. Natomiast w Radoliszkach zawsze będzie miejsce dla studentów i stażystów. Dzięki twojej uczciwości w sprawach finansowych lecznicy warszawskiej, mogę teraz dysponować całkiem pokazną sumą, ale nie wiem, co będzie dalej. Nawet jeśli uda mi się wybudować małą lecznicę, to przecież będę musiał ją jakoś utrzymać. Myślę intensywnie nad możliwością połączenia obu lecznic tak, by Warszawa mogła pracować na Radoliszki i nic mi sensownego nie przychodzi do głowy. Z punktu widzenia prawnego nie jest to możliwe lub jest bardzo skomplikowane. – Wilczur bezradnie rozłożył ręce.

– Po pierwsze takie przedsięwzięcie ma możliwość ubiegania się o dofinansowanie ze strony rządu. Szczegóły będzie znał twój brat, w końcu jest prawnikiem. Po drugie można z twojego pomysłu zrobić sprawę dla prasy. Żurnaliści tylko czekają na jakieś niezwykle wiadomości. – Profesor Dobraniecki marszczył czoło, intensywnie myśląc. Widać było, że jest zainteresowany tematem, głęboko poruszony i chętny do pomocy. Jego obawy, że zostanie zepchnięty na drugi plan, okazały się płonne. Zrozumiał, że niepotrzebnie się bał utraty katedry na uczelni czy rezygnacji ze stanowiska dyrektora lecznicy. Profesor Wilczur dobrowolnie ustępował mu miejsca. – Znam jednego przyzwoitego i zdolnego dziennikarza, może warto z nim porozmawiać? – Zawiesił głos, ale widząc aprobujące skinienie głowy Rafała, ciągnął dalej. – Nazywa się Rudolf Karpacki i pracuje dla „Kurierza Warszawskiego”. Redakcja mieści się na Krakowskim Przedmieściu, zaraz za kościołem sióstr Wizytek, więc łatwo go znajdziesz. To najbardziej poczytny dziennik. Prawie wszyscy go kupują, nie tylko bogaci.

– Dziękuję ci, Krzysztofie. Przedemną rozmowa z bratem i oczywiście odszukam dziennikarza. Może on też będzie miał jakiś pomysł wart rozważenia.

Po powrocie do domu ojciec i córka nie mogli się sobą nacieszyć. Opowiadali sobie nawzajem o tym, co się działo podczas nieobecności drugiej strony. Najpierw Marysia pochwaliła się osiągnięciami w szkole, a później ojciec opowiedział jej dosyć szczegółowo o swoich zamierzeniach.

– Ja bym bardzo chciała jakoś ci pomóc, tatku. Wiem, że troszczysz się o finanse, ale gdybyś na przykład urządził bal dobroczynny, zaprosił różnych ważnych ludzi i ogłosił zbiórkę na cel budowy lecznicy dla ubogich, to jestem przekonana, że zebrałbyś trochę grosza. – Najlepszy w takiej organizacji byłby Leszek – dodała cichutko. – Zna przecież bardzo dużo wpływowych osób. Wiedziałby, do kogo należy wysłać zaproszenie.

– Masz doskonały pomysł, córeczko, ale najpierw muszę się skonsultować z Zygmuntem, żeby wszystko było zgodnie z prawem. Poza tym na taki bal trzeba wydać sporo pieniędzy, wynająć salę, opłacić kucharzy i kelnerów, wydrukować i rozesać zaproszenia. A jeśli się nie zwróci albo nikt nie przyjdzie? – Wilczur miał spore wątpliwości co do sukcesu takiego przedsięwzięcia.

– Oj, tatusiu, przypominałam sobie, że ojciec mojej koleżanki Jadzi jest właścicielem restauracji. Jestem przekonana, że zechce włączyć się w akcję charytatywną. Może wynajmie salę po kosztach albo udostępni za darmo? Przecież dla niego to świetna reklama. Poza tym osobiście będę te zaproszenia wypisywać. Może skontaktujesz się, tatku, z Leszkiem, może on się włączy w sprawę, która wszak dotyczy Radoliszek?

– Nie martw się, córeczko, jestem umówiony z państwem Czyńskimi, że pomogą mi w każdy możliwy sposób. – Uśmiechnął się z nadzieją.

Przygotowania do realizacji planów ruszyły pełną parą. Najpierw Wilczur skontaktował się z mecenasem Korczyńskim, człowiekiem, który tak skutecznie wybronił go przed sądem, gdy był oskarżony o praktyki znachorskie. Ufał, że mecenas znajdzie sposób prawny na połączenie dwóch lecznic. I nie pomylił się.

– Sprawa jest doprawdy prosta. Proszę założyć fundację, której celem będzie pomaganie w ochronie zdrowia. Jeśli pan sobie życzy, to przygotuję odpowiedni dokument powołujący rzezoną fundację wraz ze statutem i złożę go do zatwierdzenia w sądzie. Pańskim zadaniem będzie jedynie nadanie jej nazwy. Możliwe, że będę jeszcze pytał o szczegóły planowanej działalności. – Korczyński z zadowoloną miną podejmował się nowej sprawy.

– Pozwoli pan, że skonsultuję się z moją córką. Mariolka całym sercem chce wspierać realizację projektu.

– Oczywiście. Mają państwo czas do końca tygodnia. Czekam na wiadomość. – Korczyński skłonił się grzecznie profesorowi.

Do nadania nazwy fundacji zostali zaproszeni wszyscy domownicy. Każdy mógł wymyślać, co tylko chciał. Wszystkie pomysły notowała Marysia i nikt nie komentował. Dopiero później poprawiano, dodawano, odwracano, aby na koniec zdecydować, że organ prowadzący nowej lecznicy będzie się nazywać Fundacja opieki medycznej „Nadzieja”. Spodobała się ta nazwa wszystkim.

Franek został wysłany do redakcji „Kuriera Warszawskiego”, aby zaprosić dziennikarza Rudolfa Karpackiego na rozmowę z profesorem Wilczurem. Oczywiście już następnego dnia dziennikarz stawiał się na spotkanie przy Alei Bzów. Okazało się jednak, że jego oczekiwania były nieco inne niż to, o co chodziło Wilczurowi. Pan Rudolf miał nadzieję, na obszerny wywiad w sprawie zniknięcia profesora na trzynaście lat. Tymczasem okazało się, że obie te sprawy mogą zostać połączone. Po przedstawieniu koncepcji budowy lecznicy w Radoliszkach profesor poprosił Rudolfa o nagłośnienie, gdy przyjdzie czas, sprawy zbiórki funduszy przez fundację oraz planowanego balu dobroczynnego.

– Panie profesorze – dziennikarz intensywnie myślał nad skutecznym sposobem przekonania profesora do swojej koncepcji oraz zainteresowania czytelników – tu się kroi cykl artykułów poświęconych z jednej strony pańskiej szanownej osobie, a z drugiej planom stworzenia miejsca dla chorych na prowincji. Oba te wątki łączą się niebywale w jedną całość. Proszę mi dać szansę na poznanie historii niezwykłego człowieka, jakim jest pan bez wątplenia, i przedstawienia jej czytelnikom naszej gazety. Chodzi mi o to, co pan widział podczas swojej wędrówki po polskiej prowincji i jaki te doświadczenia wywarły wpływ na pana obecną decyzję o budowie lecznicy dla ubogich. Obiecuję autoryzację każdego tekstu. – Uśmiechnął się szeroko, spoglądając z nadzieją na Wilczurę. – Oraz nieśmiało, choć usilnie proszę o wyłączość.

– Nie do końca o to mi chodziło. – Wilczur poważnie patrzył na dziennikarza. – Moje życie było bardzo trudne, pełne cierpienia i samotności. Nie jestem pewien, czy chcę z tego zrobić publiczną sensację, ale rozumiem doskonale, że aby prosić ludzi o wsparcie i hojność, należy im coś od siebie ofiarować. Proszę więc zacząć od feralnego dnia, gdy moja żona odeszła, zabierając córkę, a ja szalałem z rozpacz. To miała być nasza ósma rocznica ślubu. Włoczyłem się po mieście, szukając ukojenia. Zawędrowałem na przedmieścia i tam zostałem zaatakowany. Ktoś mnie ogłuszył, a następnie obrabował ze wszystkiego, co miałem przy sobie i na sobie. Jakiś przypadkowy wieśniak znalazł mnie w rowie, załadował na furkę i powiózł, myśląc, że jestem jego znajomym. Gdy się obudziłem na dalekiej prowincji, nie wiedziałem, kim jestem ani jak się nazywam. W ten sposób rozpoczęła się moja trzynastoletnia gehenna samotności, braku zrozumienia ze strony władz i kompletnej bezradności. To może pan opisać w pierwszym odcinku.

– Dziękuję, panie profesorze. Kiedy napiszę artykuł, to dam panu do autoryzacji. Zresztą proszę się nie obawiać, nie napiszę niczego, co stawiałoby pana w złym świetle.

– Zapraszam więc pana na kolejne spotkanie za tydzień o tej samej porze.

W powietrzu czuć już było wiosnę. Na ulicach topniał śnieg, pojawili się sprzedawcy z pierwszymi wiosennymi kwiatami. Ludzie robili porządki, bo zbliżały się Święta Wielkanocne. To miały być pierwsze wspólne święta Wilczura z córką po tylu latach rozłąki, dlatego w Alei Bzów trwała gorączkowa krzątanina. Marysia niewiele z tego

zauważała, ponieważ skupiona była prawie wyłącznie na nauce. Zostało niewiele czasu do matury, więc nie chciała marnować ani chwili na sprawy inne niż zdobywanie wiedzy.

Często zapraszała Krysię, bo po pierwsze lubiła ją bardzo, a po drugie czekała na jakieś nowiny od wujka prokuratora. Któregoś dnia dowiedziała się, że po odejściu z gimnazjum nauczyciel chemii próbował się zatrudnić w innej żeńskiej szkole. Na szczęście policjanci na zlecenie prokuratora obserwowali go, więc udało się udaremnić te zamiary. W sprawie śledztwa nie było jednak żadnych postępów, a przynajmniej dziewczęta nic o tym nie wiedziały.

Nadszedł w końcu dzień, w którym rozdzwoniły się wszystkie dzwony w kościołach warszawskich, wzywając wiernych na rezurekcję. Już o szóstej rano na ulicach panował ruch, zajeżdżały powozy i dorożki, widać było wielu ludzi siedzących na stopniach kościołów i wyciągających ręce po jajmużnę. Przy Alei Bzów cały dom pachniał ciastami, na stole królowały mazurki, bogato przybrane lukrem i migdałami. Kolorowe pisanki cieszyły oko malowanymi wzorami roślinnymi. Do stołu zasiedli wszyscy domownicy.

– Pragnę wam wszystkim złożyć najserdeczniejsze życzenia zdrowych i wesołych Świąt. Dopiero teraz czuję całym sercem, że wróciłem do domu – wzruszony Wilczur zwracał się do obecnych: własnej córki, gospodyni Michałowej, lokaja Bronisława i kucharki. – Nie ma z nami Franka, ale on spędza Święta ze swoją matką. To zrozumiałe.

– I my życzymy profesorowi dużo zdrowia, dużo siły do zrobienia wszystkiego, co tam sobie pan profesor umyślił. Wszystkiego najlepszego – domownicy składali życzenia wzruszeni jak ich patron. – Niech nam spokój i szczęście się odrodzi – podsumował Bronisław, a kucharka rozdała wszystkim przy stole po kawałku święconego jajka, odrobinę soli i chrzanu. Koszyczek ze święconką powoli pustoszał.

Kucharka z Michałową donosiły coraz to nowe potrawy. Wśród nich wyróżniał się schab wraz z pieczoną białą kielbasą, a na obiad była przygotowana pieczona gęś według staropolskiego przepisu. Na półmiskach pyszniły się wędliny: pięknie pokrojona szynka, baleron, boczek i wiele gatunków kielbas, a wszystko przybrane było listkami pietruszki, grzybkami marynowanymi i plasterkami marchewki. Do tego obowiązkowa sałatka jarzynowa z majonezem i sos chrzanowy ze śmietaną.

Rozmowa rozkręciła się łatwo, bo Wilczur każdego z osobna wypytywał o jego losy w czasie, gdy on zaginął. Pilnowała domu jedynie Michałowa, a lokaj Bronisław i kucharka znaleźli sobie zajęcie w innych posiadłościach. Przetrwali te lata, ale wciąż tęsknili za atmosferą domu, gdzie nikt nikogo nie obrażał, a raczej można było usłyszeć dobre słowa za wykonaną pracę. U innych ludzi tak nie było. Czuli się tam, jakby byli nic niewarci, jakby państwo robili im łaskę, że pozwalają pracować dla siebie. Do wspólnego stołu też nikt ich nie zapraszał. Wszyscy domownicy wzniesli toast za pomyślność domu nalewką przywiezioną przez Wilczura z Radoliszek. Nawet Marysia upiła mały łyżeczek, żeby przynajmniej wiedzieć, jak smakuje alkohol. A ten smakował i pachniał wyśmienicie aromatem nieznanych ziół.

Jak to bywa pierwszego dnia Wielkanocy, nikomu nie chciało się wstawać od stołu. Kobiety podawały coraz to nowe smakołyki. W pewnej chwili lokaj Bronisław zapytał, wskazując na drewniane pudełko z trzema pokrętłami stojące na stoliczku obok:

– A co to za skrzynka, proszę jaśnie pana?

– Kiedy włączyłem się po kresach wschodnich, wiele zmieniło się w naszej kochanej Warszawie. Wczoraj właśnie kupiłem ten oto odbiornik radiowy. Posłuchamy Polskiego Radia Warszawa, które nadaje audycje już od ośmiu lat. – Rafał Wilczur wyraźnie był z siebie bardzo zadowolony i szeroko się uśmiechał. – Posłuchamy wiadomości i na pewno muzyki. W innych krajach też już nadają, a my dopiero odrabiamy czas stracony przez obce zabory.

W tej chwili odezwał się dzwonek telefonu. Michałowa podniosła słuchawkę ze słowami:

– Rezydencja doktora Wilczura, proszę mówić. – Przez chwilę słuchała kogoś po drugiej stronie, w końcu dodała: – Ale przecież to są Święta... No dobrze, już oddaję słuchawkę. Panie profesorze, do pana.

– Słucham – powiedział spokojnie profesor, ale ze złym przecuciem.

– Panie profesorze, przywieźli nam pacjenta z silnym bólem podbrzusza. Jest cały błady, poci się...

– To nie ma lekarza dyżurnego? – Wilczura zirytowała ta wiadomość.

– Jest, ale to nasz stażysta. Boi się cokolwiek zrobić, bo pacjentem jest Jan Wedel, ten od czekolady, a profesor Dobraniecki wyjechał wraz z całą rodziną.

– Dobrze, zaraz tam będę. Podajcie pacjentowi środki przeciwbólowe. – Wilczur odłożył słuchawkę. – Sama widzisz, Mariolko, taki jest zawód lekarza. W każdej chwili możesz zostać wezwana do chorego – zwrócił się do swojej córki, rozkładając ręce.

– To ja idę z tobą, tatku. – Marysia poderwała się i już wkładała piękny paltocik, buty i czapeczkę z pomponem.

– Chwileczkę, Mariolko, niech Bronisław wezwie dorożkę. Mamy trochę czasu. – Sam zaczął się ubierać nieco ociężałe po świątecznych łakociach.

Dotarli do lecznicy w niecałe pół godziny. Pacjentem okazał się właściciel i dyrektor fabryki czekolady E.Wedel, powszechnie znanej z wyrobów cukierniczych i czekoladowych. Był to postawny mężczyzna w sile wieku, ale teraz był skurczony, miał bladą skórę, pocił się bardzo i wciąż skarżył się na silne bóle podbrzusza i wewnętrznej części ud, mimo podanych środków przeciwbólowych. Wilczur zapytał pielęgniarkę o badania laboratoryjne oraz o temperaturę i ciśnienie krwi. Pan Jan Wedel gorączkował, miał nieco podwyższone ciśnienie krwi, ale wyników z laboratorium jeszcze nie było.

– Jak często oddaje pan mocz? – zapytał lekarz.

– Najchętniej co chwilę, ale nie udaje mi się zrobić więcej niż kilka kropli. – Pacjent był zażenowany tematem rozmowy, zwłaszcza że z kąta sali przysłuchiwała się rozmowie Marysia.

– Wygląda mi to na kamicę nerkową – Wilczur zaczął tłumaczyć pacjentowi to, co udało mu się ustalić po badaniu. – W nerkach zebrały się małe kamyczki, które muszą

zostać wydalone.

– Ale jak? Skoro nie mogę... – pan Jan niemal krzyknął.

– Dostanie pan leki rozkurczowe i przeciwbólowe. Ma pan za zadanie pić bardzo dużo wody źródlanej i w końcu uda się panu urodzić te kamyczki. Podobno ból jest podobny do bóli porodowych. Serdecznie panu współczuję. – Wilczur patrzył z troską na pacjenta.

– Proszę mi wybaczyć śmiałość – niespodziewanie włączyła się do rozmowy Marysia – ale mieszkając na wsi, spotkałam się z ludowym przepisem na pozbycie się kamieni nerkowych.

– To ciekawe, córeczko, podziel się z nami mądrościami medycyny ludowej – Wilczur mówił to poważnie, bez cienia ironii.

– Otóż słyszałam, że zamiast wody, lepiej pić piwo. Jest dużo skuteczniejsze, bo moczopędne.

– Pić dużo piwa? W sumie taka kuracja bardziej mi odpowiada. – Pan Jan uśmiechnął się szeroko, gotowy zastosować ten pomysł choćby natychmiast.

– Ja też słyszałam o tym, o czym mówi moja córka, ale nam, lekarzom, nie wolno ordynować alkoholu jako lekarstwa. Ponieważ jednak Mariolka dopiero wybiera się na medycynę, to...

– A ja się zastanawiałem, co też taka młoda panienka tutaj robi. Teraz dopiero rozumiem i z serca dziękuję. – Pan Jan popatrzył na Marysię z wdzięcznością i wyraźną sympatią.

Profesor usiadł za biurkiem i zaczął wypisywać recepty. W tym czasie Marysia rozmawiała z dyrektorem Wedlem. Okazało się, że pisane w „Kurierze Warszawskim” artykuły Rudolfa Karpackiego o losach profesora i jego planach budowy lecznicy dla ubogich były szeroko znane i komentowane. Dyrektor zapytał, czy mogłyby w tych planach jakoś pomóc. Marysia odparła, że będzie on zaproszony jako honorowy gość na bal dobroczynny organizowany w czerwcu na rzecz zebrania funduszy na budowę prowincjonalnej lecznicy w Radoliszkach. Dyrektor odparł, że będzie mu bardzo miło, i obiecał, że przyjdzie.

– Mam nadzieję, że przyjdę już bez kamieni. – Oboje roześmiali się szczerze.

– Proszę zrobić sobie trochę wolnego od pracy i pić, dużo pić. Może pan wracać do domu. – Wilczur na odchodnym podał rękę Janowi Wedlowi, wręczając wypisane recepty. – Poza tym poczekamy na wyniki testów laboratoryjnych, bo trzeba ustalić przyczynę powstawania kamieni w nerkach. Proszę zapytać o wyniki za parę dni. Do widzenia.

Zaraz po Świątach Wilczur wyjechał znowu do Radoliszek. Przyszedł czas na rozpoczęcie budowy lecznicy. Franek za kierownicą też nie mógł się już doczekać powrotu do miasteczka, choć bardziej mu chodziło o ponowne spotkanie z Zonią. Za oknami przesuwiał się cudowny krajobraz wiosennej zieleni. Gdziekolwiek widać było

jeszcze brudne łąchy śniegu w zagłębieniach terenu, gdzie słońce nie miało dostępu, ale na drzewach pojawiała się seledynowa zieleń młodych listków i trawa śmiało wychylała swoje źdźbélka nad brunatną ziemię. Ojciec miał wyrzuty sumienia, że zostawia Mariolkę samą tuż przed maturą. Wiedział jednak, że jego córka jest niesłychanie odpowiedzialną osobą, że bardzo jej zależy na zdaniu matury i że nie zaniedba niczego, aby ten cel osiągnąć. Dlatego zaczął układać w głowie wszystkie kroki, jakie powinien podjąć, aby lecznica jeszcze w tym roku mogła zacząć przyjmować pierwszych pacjentów.

Zanim wyjechał z Warszawy, dopełnił formalności powołania Fundacji „Nadzieja”, załatwił też ważną sprawę dotyczącą kompletowania personelu nowej lecznicy. Po pierwsze nawiązał kontakt z panną Janowiczówną, była sekretarką, którą zwolnił Dobraniecki po zaginięciu Wilczura. Okazało się, że ta oddana mu pracownica po zwolnieniu znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. Trwał w Polsce kryzys i trudno było znaleźć nową pracę. Dlatego przez ponad dziesięć lat podejmowała się różnych prac dorywczych, aby nie umrzeć z głodu. Ta czterdziestoparoletnia kobieta żyła na granicy ubóstwa. Kiedy profesor zapytał, czy podjęłaby się zarządzania administracyjnego nową lecznicą, panna Małgorzata Janowiczówna rozplakała się w głos.

– Myślałam, że już nic dobrego mnie w życiu nie spotka – powiedziała trzęsącym się głosem, ocierając chusteczką łzy. – Ale teraz dał mi pan nadzieję taką, jaką nazwę nosi Fundacja. Wielką nadzieję... I nie zawiedzie się pan.

– Wiem, wiem, znamy się od dawna. – Wilczur uśmiechał się do dawnej współpracowniczki. – Potrzebuję też kogoś, kto poprowadziłby księgowość naszej fundacji. Może mi pani kogoś takiego polecić?

– Ależ oczywiście! – wykrzyknęła panna Janowiczówna. – Nasza księgowa Dobrzańska zrezygnowała z pracy w pańskiej warszawskiej lecznicy, ponieważ jej mąż ciężko zachorował i musiała się nim opiekować. Niestety zmarł dwa lata później, ale profesor Dobraniecki miał już kogoś innego na jej miejsce. Zatrudniła się w jakimś banku, ale kiedy się z nią widziałam ostatnio, to nie podobały jej się stosunki w pracy.

– Doskonały pomysł. – Wilczur pamiętał osobę, która dbała o finanse lecznicy, jak jastrząb o swoje młode. Nie raz się z nią spierał w sprawach planowanych wydatków, a Dobrzańska najczęściej stawiała na swoim. – Niniejszym podpisuję z panią umowę na stanowisko kierownika administracyjnego. – Oficjalny ton profesora nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że to się dzieje naprawdę. – Do pani obowiązków będzie należało w pierwszym rzędzie zatrudnianie pracowników, dbałość o zaopatrzenie zarówno w artykuły pierwszej potrzeby, jak i narzędzia lekarskie oraz leki. Na mocy przydzielonych pani uprawnień proszę podpisać umowę z panią Dobrzańską w imieniu Fundacji. Jest jednak coś, co może być przeszkodą w naszych planach. Obie panie będą mi potrzebne w Radolizkach, więc musiałybyście opuścić Warszawę. Zaraz po Świętach wyjeżdżam z Warszawy i chciałbym, aby panie mi towarzyszyły. Oto zaliczka na poczet pani wynagrodzenia i służbowych wydatków. Proszę zbierać rachunki dla księgowej.

– Dziękuję z całego serca. Wszystko załatwię i powiadomię pana profesora o wynikach negocjacji z Dobrzańską... i nie tylko. W końcu ze dwie pielęgniarki też będą nam potrzebne – dodała nieco ciszej. Wyprostowała się na krześle, a Wilczurowi wydało się, że ta sterana życiem kobieta nagle odmłodziła.

Teraz jechali razem, obie panie z tyłu, a Wilczur na przednim siedzeniu. Myślał intensywnie o zakwaterowaniu dla nich. Oczywiście w Radolizkach nie było żadnego hotelu ani zajazdu, ale pani Szkopkova miała prawdopodobnie do wynajęcia jakiś pokoik. Nie mylił się.

Kiedy zatrzymali samochód przed sklepem Szkopkovej, zobaczyli wielu ludzi czekających na coś. Okazało się szybko, że to ekipa budowlana już chciała zaczynać budowę. Wilczur wręczył majstrowi plany, upominając jednocześnie, żeby zaczęli od małego domku dla niego samego. Szkopkova też na nich czekała i potwierdziła, że pokoik jest dla pań na piętterku, z dwoma łózkami. Nie ma tam luksusów, ale jest przytulnie i czysto.

– Wszystkie sprawy finansowe, wasze wynagrodzenie i zakup materiałów budowlanych omawiajcie z naszą księgową, panią Dobrzańską. Umowy o pracę i wszelkie zakupy będzie realizowała panna Janowiczówna. – Przedstawił obecnym swoje współpracowniczkę. – Dajcie im tylko chwilę na zanieśenie walizek – Wilczur zwrócił się z uśmiechem do zgromadzonych robotników.

– My zaniemiemy. – Chłopaki chwycili walizki i omalże nie wnieśli samych właścioleek razem z bagażem.

– Jakie umowy panocku? – odezwał się jeden ze starszych pracowników. – My niepiśmienni, a przyšli my, bo trza tę lecznicę zbudować, migusiem. Baby nam obiad nagotują, coby siły były do roboty. – Wilczurowi zwilgotniały oczy. – Panna Janowiczówna pomoże waszym żonom zorganizować stołówkę. Nie wiem, jak wam dziękować.

– A i nie trza dziękować. My już zapłaceni.

– Prawda, prawda – odezwały się liczne głosy w zgromadzeniu.

Tej niezwyklej scenie przyglądał się i przysłuchiwał doktor Pawlicki. Oto namacalny dowód na to, że dobro powraca – myślał z pewną dozą goryczy w odniesieniu do samego siebie. – Ci prości ludzie, którymi pogardzałem w głębi duszy, dali mi właśnie lekcję ludzkich zasad, na których opiera się życie. Oni tego nie wykombinowali, oni to poczuli i zrealizowali. A co ja czuję? – Zatrzymał myśli i skupił się na swoich uczuciach. – Tak, czuję się winny, bo wyrządziłem człowiekowi krzywdę. – Nazwał wreszcie to uczucie, z kórym borykał się od dłuższego czasu. – Skoro skrzywdziłem, mniej lub bardziej świadomie, to teraz muszę przeprosić i naprawić. – Konkluzja była oczywista.

– Proszę na chwilę zaczekać. – Pawlicki podbiegł do Wilczura. Wszystkie oczy zwróciły się na niego, a po zgromadzeniu przeszedł szmer dezaprobaty. – Pragnę publicznie pana profesora przeprosić, tak jak publicznie pana oskarżałem – mówił głośno i wyraźnie, aby każdy mógł go usłyszeć. – Serdecznie żałuję każdego złego słowa,

które wypowiedziałem pod pana adresem. Uniżenie proszę o wybaczenie – wyrzucił z siebie jeszcze zadyszany i patrząc Wilczurowi w oczy, czekał na wyrok.

Przez chwilę zaległa całkowita cisza. Robotnicy patrzyli na Pawlickiego i Wilczura zdumieni niezwykłą sceną w wykonaniu zawsze wyniosłego doktora. Nie pamiętali sytuacji, by Pawlicki kogokolwiek przepraszał lub czegoś żałował. Pierwszy pozbierał się profesor. Po początkowym zaskoczeniu, zmarszczone brwi zaczęły się wygładzać, a Rafał Wilczur pomyślał, że jednak cuda się zdarzają. Zdał sobie sprawę, że takie wystąpienie wobec tych wszystkich ludzi było nie lada odwagą i siłą charakteru. To właśnie ta myśl go przekonała, aby dać drugą szansę przepraszącemu.

– Z nieba mi pan spada – zwrócił się do Pawlickiego już rozpogodzony. – Może pan się włączyć w prace nad powołaniem lecznicy. Pani Janowiczówna podpisze z panem umowę, o ile panu to odpowiada.

– Czy odpowiada? Dziękuję, bardzo dziękuję. – Pawlicki miał minę, jakby został ulaskawiony przed egzekucją, a ludzie wokoło zaczęli klaskać.

– To ja już będę jechał do młyna – powiedział Wilczur, wsiadając do samochodu. Kiedy Franek ruszył, zmienił jednak zdanie. – Jedź do fabryki w Ludwikowie, może uda mi się porozmawiać z właścicielem.

– Panie profesorze – nieśmiało wtrącił Franek – zjedlibyśmy coś, a potem pojechalibyśmy do dworu, bo już późno i w fabryce nikogo nie zastaniemy.

– Oto głos rozsądku – roześmiał się Wilczur. – A może głos żołądka.

We młynie wszyscy czekali i cieszyli się, że profesor znowu do nich zajechał. Wilczur zdał sobie sprawę, że od wyjazdu z Warszawy niczego nie miał w ustach, więc z wdzięcznością przyjął przygotowany poczęstunek. Po kolacji jednak postanowił odwiedzić państwa Czyńskich. A może to już za późno? Może lepiej odłożyć wizytę do jutra? Ostatecznie poprosił Franka, by pojechał do dworu i zapytał, czy może odwiedzić państwa jutro przed południem.

– A ja? Czy mogę przejechać się z Frankiem? – Zonia spojrzała błagalnie na Wilczura.

– Możesz, nie mam nic przeciwko temu. Tylko wracajcie zaraz i nie zatrzymujcie się nigdzie po drodze. – Wilczur zaczął się domyślać, że nie tyle samochód, co Franek jest dla Zoni największą atrakcją.

Następnego dnia, po przyjeździe do dworu w Ludwikowie, Wilczur został przyjęty z wielkimi honorami najpierw przez służbę, kłaniającą się w pas, a później poproszony do gabinetu pana Czyńskiego i poczęstowany kawą.

– Domyślam się, że powodem pana wizyty jest złożenie zamówienia na cegły – rozpoczął pan Czyński. – Nasza fabryka produkuje cegły bardzo dobrej jakości i oczywiście dostarczymy ich tyle, ile będzie potrzeba.

– Gdyby szło tylko o to, złożyłbym zamówienie bezpośrednio w fabryce, nie ośmieliłbym się nachodzić państwa w ich domu. Jednak jest jeszcze coś, co pragnąłbym omówić z państwem. – Wilczur zawiesił głos. – Chodzi o planowany bal dobroczynny

w Warszawie, którego celem będzie zebranie funduszy na budowę lecznicy w Radoliszkach oraz na cele statutowe Fundacji opieki medycznej „Nadzieja”. Bal odbędzie się trzydziestego czerwca, w ostatnią sobotę miesiąca. Jeszcze waham się, jaką salą balową należy wynająć, ponieważ zależy to od liczby zaproszonych gości. Już teraz zapraszam państwa, ale myślałem o zaproszeniu również państwa sąsiadów, nie znam ich osobiście i w tej sprawie...

W tej chwili do gabinetu wszedł Leszek, skłonił się Wilczurowi i już chciał odejść, ale Wilczur go zatrzymał.

– Właśnie o tobie myślałem – Wilczur zwrócił się do Leszka. – Czy zechcesz poświęcić parę chwil na omówienie ważnego tematu?

– Oczywiście, jestem do pana dyspozycji. – Oficjalny ton i widoczna rezerwa w głosie Leszka nie zachęcały do rozwijania tematu. Wilczur jednak nic sobie z tego nie robił.

– Wiesz zapewne, że powołałem fundację „Nadzieja”, która będzie wspierać finansowo budowę, a później utrzymanie lecznicy w Radoliszkach. – Spojrzała na Leszka i zobaczył nieznaczne skinienie głowy. – Potrzebuję twojej pomocy do skompletowania zaproszonych gości. Marysia wskazała ciebie jako osobę kompetentną w tym temacie, bo znasz wszystkich właścicieli okolicznych majątków. Znasz również warszawiaków o wysokim statusie społecznym i poglądach popierających ideę dostępu do pomocy medycznej dla ubogich. Sama zobowiązała się, że będzie wypisywać zaproszenia, ale przed maturą nie będzie miała zbyt wiele czasu. Powierzę to zadanie odzyskanej sekretarce z lecznicy warszawskiej, która dziś jest kierownikiem administracyjnym lecznicy w budowie. Czy zechcesz włączyć się w przygotowanie zaproszeń na bal?

Znowu ją zobaczę – pomyślał Leszek. – Zaczniemy się spotykać, rozmawiać, wspólnie coś planować. – W tej chwili ołśniło go, że tęsknił za tą wspaniałą dziewczyną, że bez niej życie stało się puste, jakby martwe. Jasne, spotykał się z wieloma pannami, ale żadna z nich nie mogła się równać z Marysią.

– Czy zwolnisz mnie, ojczy, z obowiązków w fabryce na czas przygotowań do balu? – Leszek zwrócił się do pana Czyńskiego z pytaniem, na które znał odpowiedź.

– Oczywiście. Możesz od razu zabrać się do pracy – odparł pan Czyński, ubawiony oficjalnym tonem syna.

– I nie zapomnij o naszych przyjaciółach Garlickich. – Pani Czyńska już się zaangażowała w tworzenie listy zaproszonych gości na bal.

– Dobrze, nie ma na co czekać. Zaraz przygotuję wstępną listę gości. – Leszek skłonił się zebrany i pospiesznie wyszedł.

Pozostali w gabinecie uśmiechnęli się szeroko, zgodnie kiwając głowami. Ileż czasu potrzeba, aby z rozpieszczonego panicza wyrósł dojrzały mężczyzna?

– Jest jeszcze jedna prośba do państwa – kontynuował Wilczur. – Kiedy przebywałem w więzieniu, Leszek przygotował dla mnie mały domek na terenie państwa posiadłości z nadzieją, że w nim zamieszkać po odzyskaniu wolności. Otóż przywozłem z Warszawy dwie panie, które będą czuwać nad budową lecznicy w moim zastępstwie. Na razie zamieszkały w małym pokoiku u Szkopkowej, ale pragnąłbym wynająć od państwa ten domek, aby im było wygodniej.

– Wynająć? – Pan Czyński aż się zachłysnął z oburzenia. – Udostępnię domek bezpłatnie, przecież stoi pusty. Jeszcze dziś popołudniu zapraszam obie panie, gdy tylko moi służący doprowadzą do porządku wszystkie pomieszczenia. W tym domku są dwie sypialnie, mały salonik, kuchenka i toaleta. To będzie mój wkład w budowę lecznicy.

– Dziękuję panu, bardzo dziękuję w imieniu własnym i moich współpracownic. – Wilczur nie spodziewał się takiej życzliwości i takiego zaangażowania.

– Jak się miewa Marysia? – Pani Czyńska zmieniła temat. Co prawda zgadzała się z poglądami Leszka co do roli żony w życiu mężczyzny, więc ambitne plany kobiety były trudne do zaakceptowania, ale losy niedosłej synowej jednak ją obchodziły.

– Dziękuję bardzo za zainteresowanie. Mariolka to prawdziwy mól książkowy. Po całych dniach się uczy i, co ważne, znalazła w szkole prawdziwe przyjaciółki. Często razem się uczą i oczywiście trochę plotkują. Nie poznałyby państwo Mariolki w szkolnym mundurku. Ma delikatną urodę po matce, więc nie różni się wcale od dziewcząt młodszych od siebie. – Ojciec był dumny ze swojej córki.

Po powrocie z Ludwikowa do Radolizsek Wilczur zobaczył całą armię ludzi zatrudnionych przy wykopie fundamentów. Przy jego przyszłym domku już pracowali nad wylewaniem ław fundamentowych. Zobaczył furmanki pełne żwiru i cementu. Majster pokazał wyczerpane potrzebnych cegieł, które mają być dostarczone z fabryki ludwikowskiej najpierw na budowę domku Wilczura, a potem też na budowę lecznicy.

Ostatnim zadaniem samochodu przed powrotem do Warszawy było przewiezienie pań do Ludwikowa. Ten domek był dla nich niezwykłym prezentem. Na dworze jeszcze było chłodno, ale służba ludwikowska napaliła w piecach kaflowych, więc ciepło dało paniom poczucie, że jest ktoś, kto się o nie troszczy. Wilczur zrobił zakupy spożywcze, żeby mogły sobie przygotować coś do jedzenia. Na odjeźdźnym poprosił o kontakt telefoniczny z pocztą w Radolizkach i składanie sprawozdań z postępów na budowie.

Z Leszkiem działo się coś dziwnego. Zanim doszedł do swojego pokoju, zobaczył we wspomnieniach okoliczne wioski i ich mieszkańców. Kiedyś mijał je, nie zwracając uwagi, ale teraz przypomniał sobie wynędzniałe kobiety, chude i brudne dzieciaki oraz mężczyzn z twarzami pozbawionymi złudzeń. Ich lepianki i obejścia były w strasznym stanie, zaniedbane, ze stertami wałających się odpadków.

Ci ludzie potrzebują pomocy, a to, co robi Wilczur, jest właśnie jednym ze sposobów pomagania – tłumaczył sobie w myślach. Marysia idzie w ślady ojca, ona też chce ludziom pomagać. Przecież nie musiałem się tego domyślać, bo ona sama mi to powiedziała. Ale niczego nie usłyszałem. Cały czas skupiałem się tylko na swoich pragnieniach. Ojciec miał słuszność, mówiąc, że koniecznie chciałem mieć to, co sobie wymyśliłem. A przecież ja tu mieszkam od dawna i nigdy nie przyszło mi do głowy, aby zrobić coś dla tych najuboższych. No to teraz zrobię! Postaram się, aby bał dobroczynny przyniósł dużo pieniędzy, aby ludzie dowiedzieli się, że Polska nie kończy się na Alejach Ujazdowskich i Nowym Świecie. JEŚLI MOŻESZ SIĘ PODZIELIĆ, TO ZRÓB TO. – Właśnie

wpadło mu do głowy hasło nie tylko na potrzeby balu, ale i na ciągłą zbiórkę pieniędzy dla Fundacji.

Szybko ukończył listę okolicznych właścicieli majątków, nie było ich znów tak wielu, zaledwie kilkunastu. Skonsultował ją z matką i ojcem, a po drobnych poprawkach nie było się dalej nad czym zastanawiać. Wtedy zaczął myśleć o swoich warszawskich przyjaciółkach.

– Kochani rodzice, wyjeżdżam do Warszawy. – Leszek już wiedział, co ma zrobić i w jaki sposób pomóc Wilczurowi. I Marysi, rzecz jasna. – Zatrzymam się u wujostwa Karskich. Mam nadzieję, że mnie przyjmą.

– Kiedy chcesz wyjechać i po co? – Matka nie była zachwycona tym pomysłem.

– Porozmawiam z kuzynostwem Karskimi i wspólnie sporządzimy listę osób do zaproszenia na bal. A wyjechać chcę choćby zaraz. Może jeszcze dogonię profesora. Czy mogę wziąć ten mały powozik?

– Daj polecenie, aby stangret zaprzęgał. – Pan Czyński również miał nadzieję, że syn dogoni Wilczura. – Powiedz nam jednak, z łaski swojej, co to za przemiana w tobie nastąpiła?

– Jakoś dotarło do mnie, że Wilczurowie angażują się w pomoc, a ja mieszkając tu tyle lat, nie zrobiłem nic dla swoich ludzi. Teraz chcę się sprawdzić jako ich pomocnik.

– „Jesteś tyle wart, ile dajesz innym z siebie”. Kto to powiedział? – Pan Czyński popatrzył na żonę i syna.

– Nie pamiętam, ale musiał być mądrym człowiekiem. – Pani Czyńska uśmiechała się dyskretnie.

Samochód jechał powoli, bo drogi były po prostu złe, pełne dziur i wykrotów. Mijali pola i leśne zagajniki. W pewnej chwili Wilczur zobaczył starowinkę, która machała do nich ręką przed niewielką chałupką. Zatrzymali się obok. Okazało się, że wszyscy już wiedzieli o wizycie znachora, więc kobiecina chciała pomocy.

– Co to się stało, mamo? – zapytał profesor.

– Chwała niech będzie Najwyższemu, żem was wypatrzyła. Może wy co poradzicie, bo ja się staram jak umiem, ale dzieciak jest cały gorący, ciężko dycha, leci przez ręce i nie idzie ku lepszemu.

Po wejściu do izby zobaczył Wilczur może dziesięcioletniego chłopca, drobnej budowy ciała, rozpalonego gorączką, apatycznego, skarżącego się na bóle głowy i brzucha.

– Pokaż mi język, chłopcze. – Wilczur tylko spojrział na brunatny nalot i już wiedział, że to tyfus. Należało malca odizolować i jak najszybciej zacząć leczyć. Na szczęście wiedział, że Dobraniecki śledził na bieżąco wszystkie nowinki medyczne, więc najprawdopodobniej postarał się o szczepionkę przeciwtyfusową opracowaną przez profesora Rudolfa Stefana Weigla z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. W lecznicy był również izolacyjny oddział zakaźny, dlatego powiedział, że zabiera

chorego ze sobą. Podał chłopcu lekarstwo na zabicie gorączki. – Nie bójcie się – zwrócił się do babci – odwiozę go z powrotem. A wy myjcie ręce przed jedzeniem, myjcie owoce i warzywa. Wyszorujcie całą izbę, upierzcie wszystkie ubrania i pościelę, bo ta choroba jest bardzo zaraźliwa. Chłopiec musiał zjeść coś brudnego i stąd zachorował na tyfus.

Franek pomógł zawinąć dziecko w jakiś stary koc i niósł je do samochodu. W tej chwili usłyszeli toczącą się bryczkę. Wyskoczył z niej Leszek i podbiegł do Wilczura.

– Co się stało? Czy mogę jakoś pomóc?

– Niech panicz wraca do domu – odezwał się Franek. – Ten dzieciak ma tyfus, jeszcze się panicz zarazi.

– Tyfus? – Leszek stanął jak wryty. O tyfusie wiedział tyle, że jest to choroba biedoty. Popatrzył na Franka z niedowierzaniem. Przez chwilę się zawahał, nie wiedząc, co dalej robić, bo jazda do Warszawy z chorym dzieckiem była przecież ryzykowna. A jeśli się zarazi? Przecież Franek będzie siedział za kierownicą samochodu, więc on miałby zajmować miejsce obok chorego. – Chciałbym zapytać, czy nic mi nie grozi, jeśli będę miał kontakt z tym dzieckiem? O ile mnie pan doktor ze sobą zabierze, oczywiście – zwrócił się do Wilczura z wyraźnym niepokojem w głosie.

– Oczywiście, że ci grozi, bo to jest choroba zakaźna. Sam musisz zdecydować, czy podejmujesz to ryzyko. Skoro tak się boisz, to siadaj z przodu. Ja wezmę pod opiekę malucha – odparł zniecierpliwiony profesor.

Leszek poczuł się tak, jakby dostał w twarz. Został przecież posądzony o tchórzostwo, a tego nie można tak zostawić!

– Wcale się nie boję i usiądę z tyłu. Dziękuję, że zechciał mnie pan zabrać. – Gniewny ton Leszka upewnił Wilczura, że trafił celnie w czuły punkt panicza.

– Dostyc gadania, dla tego dziecka każda chwila jest droga. Ruszajmy. – Wilczur zakończył beużyteczną ze swojego punktu widzenia rozmowę.

Początkowo Leszek siedział sztywny, odsuwając się od leżącego chłopca. Z upływem czasu zaczął jednak zerkać na twarz malucha i zrobiło mu się go żal. Sięgnął więc po butelkę z wodą i wlał kilka kropel w spękane gorączką usta dziecka.

– Jak masz na imię? – zapytał dużo cieplejszym tonem, niż zamierzał.

– Janek – wyszeptał maluch.

– A ja jestem Leszek. Teraz poleżysz sobie, aż dojedziemy do Warszawy. Pan profesor na pewno cię wyleczy.

Marysia, witając ojca w drzwiach, nie mogła się nadziwić, że tak szybko wrócił. Najbardziej cieszyła się oczywiście Wiga. Merdała ogonkiem obłądny taniec, popiskiwała i skakała swojemu panu na piersi, domagając się pieściot, ale ojciec zamiast ją przytulić, jak to miał w zwyczaju, kazał Bronisławowi zabrać psa, a sobie przygotować kąpiel.

– Mariolko, kochanie, nie podchodź do mnie. Wiozłem chłopca chorego na tyfus, dlatego proszę się do mnie nie zbliżać, dopóki się nie wykąpie. Moje ubrania i ubrania

Franka proszę, aby Michałowa od razu wyprała w gorącej wodzie. Franku, ty nie możesz iść do domu bez solidnego szorowania. Przed kąpielą umyj i zdezynfekuj samochód.

– Ale w co ja się ubiorę? – Franek rozłożył ręce w geście rezygnacji.

– Bronisław znajdzie coś dla ciebie – z tymi słowami Wilczur pomaszerował do łazienki.

Dopiero przy kolacji profesor opowiedział przygodę, jaka ich spotkała w drodze powrotnej. Powiedział również o Leszku i jego opiekuńczym zachowaniu wobec chorego dziecka.

– Dlaczego Leszek nie przyjechał z tobą? Przecież on był całą drogą obok zarażonego chłopca. Na pewno coś mu grozi. – Mariola przez chwilę posądzała ojca o lekkomyślność.

– On po prostu nie chciał. Obiecał mi, że nie będzie nikogo dotykać, zanim się nie wykąpie. Pojechał do Karskich. To inteligentni ludzie, więc zastosują się do moich zaleceń.

– Aha, nie chciał. – Marysia spuściła głowę i zrobiło się jej bardzo smutno. – Szkoda, wielka szkoda – dodała po chwili cichutko. Nadal mnie nie chce – uzupełniła w myślach.

Odeszła od stołu, zabierając ze sobą Wigę i weszła do sypialni. Po raz pierwszy od rozstania z Leszkiem zaczęło do niej docierać, że ta głupia nadzieja nie ma szans na realizację. Dotąd nie opuszczało jej marzenie o powrocie Leszka, ale teraz doświadczyła bolesnej prawdy, że on nigdy jej nie kochał, że była tylko młodzieńczym zauroczeniem, pogonią za niedościągłym, a nie gotowością do stawienia czoła trudnościom życia. Dostała dreszczy, miała suche oczy i długo nie mogła zasnąć. Kiedy rano wstała, aby pójść do szkoły, była dużo dojrzalszą kobietą. Straciła złudzenia.

Warszawa, 24 kwietnia 1934 r.

Kochani Rodzice,

piszę do Was list, aby podzielić się z Wami ciekawymi nowinkami. Wiecie już zapewne od naszego stangreta, że udało się nam dogonić profesora Wilczura, ale tylko dlatego, że zatrzymał się, aby pomóc choremu dziecku. Mały, może dziesięcioletni chłopczyk zachorował na tyfus i Wilczur zabrał go ze sobą do Warszawy. Ja przez całą drogę dotrzymywałem chłopcu towarzystwa, podawałem wodę, chłodziłem rozpalone gorączką czoło. Robiłem to chyba bardzo dobrze, bo mały Jaś patrzył na mnie z wdzięcznością. Nie macie pojęcia, jakie to miłe uczucie dla kogoś, kto dotąd troszczył się głównie o siebie. Zawieźliśmy malca do lecznicy, gdzie od razu dostał odpowiednie leki. Jak mi powiedział doktor Dobraniecki, gdyby nie to, Jaś prawdopodobnie by umarł. Pan Wilczur dokładnie mi powiedział, co mam zrobić, aby się nie zarazić.

Szorowałem się w gorącej wodzie, nikogo nie dotykałem i dałem od razu do prania swoje rzeczy. Karscy byli zdziwieni, że ryzykowałem zdrowiem dla nieznanego mi dziecka, bo tej strony mojej osobowości dotąd nie znali. Mówiąc szczerze, ja też nie znałem, ale mówię to szeptem i tylko Wam.

Od tygodnia codziennie odwiedzam małego Jasia w lecznicy, przynoszę mu różne soki owocowe i warzywne – na zlecenie lekarzy. Przemyciłem też kilka cukierków. Nie macie pojęcia, jak ten dzieciak się cieszył. Jestem dla niego wujkiem Leszkiem, co mi w zasadzie odpowiada.

Razem z Karskimi przygotowaliśmy listę gości na bal dobroczynny. Zamówiłem w drukarni dwieście sztuk zaproszeń, ale nie wiem, czy to wystarczy. Nawiązałem również kontakt z dziennikarzem, który opisuje na łamach „Kuriera Warszawskiego” losy profesora Wilczura i kontynuuje swoją opowieść, zwracając się do czytelników o datki na rzecz Fundacji „Nadzieja” i budowy lecznicy w Radoliszkach. Jestem wręcz zachwycony ilością wpływających darowizn. Ludzie piszą do gazety, wyrażając swoje poparcie dla tej szczytnej idei.

Z Marysią jeszcze się nie widziałem, bo wiem, że już za dwa tygodnie zaczynają się egzaminy maturalne. Podpytuję tylko czasem Franka, szofera Wilczurów, jak się ma i czy wszystko w porządku. Poczekam do ogłoszenia wyników maturalnych i wtedy złożę jej swoje gratulacje.

Pozdrawiam Was bardzo serdecznie, dołączam również pozdrowienia ze strony wujostwa Karskich.

Łączę wyrazy szacunku.

Wasz kochający syn Leszek

Pani Eleonora już po pierwszych zdaniach listu nie mogła wyjść z podziwu, a pan Stanisław, który list czytał, co chwilę przełykał ślinę, aby ze ściśniętym gardłem móc dokończyć tę niezwykłą lekturę. Michalesia dzielnie podsłuchiwała pod drzwiami, bo przecież miała obowiązek poinformowania opinii publicznej w Radoliszkach o losach członków rodziny swoich państwa. I warto dodać, że były to niezwykle nowiny.

Pani Eleonora zdecydowała się napisać do syna. Skoro Leszek zdobył się na list do rodziców, to ona czuła się w obowiązku, by mu na list odpowiedzieć.

Ludwikowo, 8 maja 1934 r.

Kochany Leszku,

dziękujemy Ci oboje z ojcem za list, który sprawił nam wiele radości. To było z Twej strony wielce lekkomyślne, by jechać parę godzin w towarzystwie tak zakaźnej choroby. Mam nadzieję, że mimo wszystko nie zaraziłeś się i czujesz się dobrze. Wiem, że masz teraz sporo zajęć towarzyskich, więc korzystaj z okazji, spotykaj się z przyjaciółmi i poznawaj nowych ludzi. Masz do tego pełne prawo po przeżytych zawodzie. Od samego początku wasza znajomość napotykała tyle przeszkód, że widocznie nie było wam pisane być razem.

Dzięki zamówieniom profesora Wilczura produkcja w fabryce idzie pełną parą, dostawy są realizowane na czas, a lecznica rośnie w oczach. Ludzie pracują dla tej nowej fundacji i nie chcą za to pieniędzy. Coś niebywałego! Obie panie, które mieszkają w małym domku, są bardzo miłe, raz nawet zaprosiły mnie na herbatę do swojego saloniku. I wyobraź sobie, że bardzo dobrze czułam się w ich towarzystwie. Są pracowitymi i myślącymi osobami.

U nas wszystko w porządku. Pozdrawiam Cię serdecznie.

Kochająca matka

Egzaminy maturalne zbliżały się nieubłaganie i dla Marysi nie istniało nic więcej niż realizacja celu, który sobie wytyczyła. Za oknem ptaki śpiewały, pachniały kwiaty i zakwitły kasztany. Wprawdzie jest takie powiedzenie szkolne, że za późno na naukę, gdy kwitną kasztany, ale Marysia nic sobie nie robiła z ludowych mądrości.

Nadszedł w końcu dzień, gdy odświętnie ubrane maturzystki zasiadły w szkolnej auli, by napisać rozprawkę z języka polskiego. Wilczurówna wybrała temat: „Porównaj bohaterów romantycznego i pozytywistycznego na podstawie wybranych pozycji literatury polskiej”. Wybrała „Kordiana” Juliusza Słowackiego i „Ludzi bezdomnych” Stefana Żeromskiego. Postawiła tezę, że obaj bohaterowie, i Kordian, i Judym, przedkładali idealizm nad zdrowy rozsądek, a więc nie różnili się od siebie aż tak bardzo. Pisała łatwo i szybko, nie myśląc nawet o potrzebie przepisania pracy na czysto. Wracając do domu, z ręką na sercu przyznała, że zrobiła wszystko, co mogła, i nikt nie może od niej wymagać więcej, nawet ona sama.

W kolejnych dniach zdawała jeszcze egzaminy z matematyki, biologii i języka francuskiego. Wszystko poszło bardzo dobrze, tak dobrze, że została zwolniona z egzaminów ustnych, z wyjątkiem francuskiego, ale i ten egzamin zakończył się pomyślnie. Wszystkie maturzystki żyły teraz przygotowaniami do balu maturalnego, który miał się odbyć w restauracji ojca Jadzi, szkolnej koleżanki Marysi. Rozprawały o sukniach balowych oraz o osobach, które miały im towarzyszyć. Po raz pierwszy władze szkolne wyraziły na to zgodę. Wcześniej dziewczęta musiały zadowolić się własnym towarzystwem.

Marysia tak bardzo chciała by zaprosić Leszka na swój bal maturalny, ale jego postawa, unikanie kontaktu i całkowite milczenie skutecznie ją od tego odwiodły. Dlatego jej partnerem na balu miał być jej własny ojciec.

Mimo skupienia na sprawach matury, Marysia miała nieprzyjemne wrażenie, że jest przez kogoś obserwowana. W drodze do szkoły i w trakcie powrotu do domu wielokrotnie mignął jej cień jakiegoś mężczyzny, a kiedy odwracała się w tym kierunku,

znikał w bramie lub za załomem muru. Początkowo tłumaczyła sobie, że jej się przywidziało, ale podobne sytuacje powtarzały się zbyt często, aby je zlekceważyć. Po ostatnim egzaminie umówiła się z Krysią, najlepszą przyjaciółką, aby podzielić się swoim niepokojem.

– Wiesz, Krysiu, jestem coraz bardziej niespokojna. Ktoś za mną chodzi, ale nigdy nie udało mi się zobaczyć jego twarzy. – Marysia zwierzała się przyjaciółce nad filiżanką gorącej czekolady w przytulnej kawiarence.

– Czy ci się to przypadkiem nie wydawało? – Krysia z niedowierzaniem kręciła głową.

– Na początku też tak myślałam, ale to zdarza się bardzo często. Ilekroć wychodzę z domu, już czuję na plecach czyjś wzrok. Kiedy wracam do domu, słyszę skradające się kroki. Czuję się fatalnie, bo nie wiem, o co tu chodzi, choć wyczuwam zagrożenie. – Marysia miała bladą, ściągniętą twarz i widać było wyraźnie, że jest przestraszona.

– Powiedziałaś o tym swojemu tacie? – Praktyczna Krysia szukała rozwiązań.

– Uważasz, że powinnam?

– Oczywiście! Ja przecież nie wiem, jak ci pomóc, a twój tata na pewno sprawdzi, o co tu chodzi.

– Masz rację. Porozmawiam z tatusiem – zdecydowała Marysia. – A przy okazji, Krysiu, czy wiesz coś może o postępach śledztwa od swojego wujka?

– Niestety, nic nowego nie wiem. – Krysia wzruszyła jedynie ramionami.

Przykry temat wkrótce ustąpił miejsca rozmowom o zbliżającym się balu maturalnym. Opowiedziały sobie, jakie suknie już się dla nich szyją, jakie buciki kupiły i u którego fryzjera będą się czesać. W dużo lepszych nastrojach wróciły do swoich domów.

Prokurator Zenobi Kalbarski też niczego nowego się nie dowiedział. Po wstępnej rozmowie z siostrzenicą poprosił komendanta posterunku dzielnicowego o dwóch policjantów dochodzeniowo-śledczych, aby dotarli do prawdopodobnych ofiar przestępstwa. Pani dyrektor Lemańska przygotowała listę jedenastu dziewcząt, które zrezygnowały ze szkoły w ciągu ostatnich trzech lat, czyli od czasu, gdy pracował w niej rzeczony nauczyciel chemii. Zadaniem policjantów było odszukanie dziewcząt, odbycie poufnych rozmów z nimi, a w konsekwencji nakłonienie ich do zgłoszenia przestępstwa i złożenia zeznań. Policjanci odszukali dziewczęta wymienione na liście szkolnej bez większych problemów, ale... na tym koniec. Mimo usilnych starań, żadna z nich nie tylko nie chciała złożyć zeznań, ale w ogóle nie chciała rozmawiać na ten temat. Kiedy policjanci pytali, dlaczego zrezygnowały ze szkoły, nabierały wody w usta lub podawały ogólniki typu zmiana planów życiowych.

W tej sytuacji prokurator skontaktował się z posterunkiem właściwym dla miejsca zamieszkania nauczyciela. Tam właśnie trafił na młodego policjanta Marka Stępkę, który za zgodą komendanta został oddelegowany do obserwacji chemika i jego rodziny.

Szybkie kroki mężczyzny odbijały się echem od murów otaczających uliczkę. Irytacja, która go ogarnęła, miała swoje źródło w kolejnej odmowie zatrudnienia. Kolejna szkoła odrzuciła jego ofertę nauczania, za każdym razem tłumacząc decyzję różnymi obiektywnymi przeszkodami. Oczywiście, rok szkolny się kończył, ale nikt nie zaproponował mu posady po wakacjach. Nie wiedział, rzecz jasna, o telefonach pani dyrektor do dyrektorów wszystkich placówek gimnazjalnych i licealnych na terenie Warszawy, a nawet najbliższych okolic. Zrobiła to na wyraźną prośbę prokuratora, wujka uczennicy Krysi. Nie można wszak było dopuścić do kolejnych przestępstw.

– Wygląda na to, że będę musiał szukać na prowincji. Wszystkie szkoły, najpierw żeńskie, a teraz nawet męskie, nie mają dla mnie miejsca – monologował zły na układy w oświacie warszawskiej. – Moja żona wytyka mi brak pracy, a właściwie brak pieniędzy na utrzymanie domu. A wszystko zaczęło się od zwolnienia z pensji dla pańien imienia Cecylii Plater-Zyberkówny. Dyrektor Lemańska podała jako powód zwolnienia moje niby to niewłaściwe zachowanie wobec tej upartej dziewczyny, Wilczurówny. Nigdy wcześniej nie miałem problemów z dziewczynami, które mi się podobały. Jak sobie którąś upatrzyłem, to była moja. Tylko ta cała świętoszka Marysia nie chciała brać u mnie korepetycji, ale ja ją jeszcze dopadnę! – Myśl o zemście kielkowała w zawrotnym tempie. – Już ją ją urządzę. Popamięta mnie do końca życia.

Wrócił do domu w nieco lepszym nastroju. Zaczął planować, jak dopadnie Marysię. Po pierwsze musi wiedzieć, którądy chodzi do szkoły i z powrotem, po drugie – kto jej towarzyszy i kiedy idzie sama.

– Udało ci się dostać pracę? – Żona już czekała w progu. – Nie miałam dzisiaj za co kupić jedzenia. – Aż kipiała pretensją. – Może przestań się upierać przy zawodzie nauczyciela. W końcu jesteś chemikiem, możesz poszukać pracy w jakiejś fabryce.

– Sama się zatrudnij w fabryce, przynajmniej będzie z ciebie jakiś pożytek, tylko siedzisz i nic nie robisz, a przecież nasze dziewczyny już podrosły. Niech sobie radzą same. Najlepiej wydaj je za mąż. Wszystkie baby nadają się tylko do jednego. – Trzasnęła drzwiami do sypialni, kończąc rozmowę.

– Czyś ty oszalał? – Żona nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. – Szesnaście i siedemnaście lat to nie jest czas na zamążpójście. One mają skończyć szkołę, a nie mamy pieniędzy na opłacenie chesnego – krzyczała do zamkniętych drzwi zrozpaczona postawą męża.

Awanturze rodziców przysłuchiwały się kolejny raz ich córki. Od kiedy ojciec stracił pracę, rodzice kłócili się bez przerwy. Wcześniej też nie było dobrze, bo ojciec często odnosił się do mamy jak do służącej, nie potrafił dostrzec jej starań, by utrzymać dom na odpowiednim poziomie. Nigdy jej nie pochwalił, nie docenił jej pracy, za to wyszukiwał wymyślone usterki i niedociągnięcia, by ją poniżyć. Dziewczęta były zalęknione, bo atmosfera w domu stała się nie do zniesienia. Ostatnie zdanie ojca wywołało koszmarnie wspomnienia. Starsza z dziewcząt, Jola, od trzech lat doświadczała odwiedzin ojca w swoim pokoju. Na początku był słodziutki, obiecywał

nowy kapelusz, a później zbliżał się coraz bardziej i bardziej. Nie umiała się bronić, nie miała komu powiedzieć o przeżywanym koszmarze. Młodsza, Stefcia, została zniewolona kilka miesięcy temu. Wstydziła się tak bardzo, że ponownie zaczęła się moczyć w nocy, więc zawsze rano wstawała wcześniej, by uprać prześcieradło. Matka oczywiście zauważyła, co się dzieje, ale łączyła problemy młodszej córki z sytuacją w szkole. Stefcia, początkowo dobra uczennica, od pewnego czasu opuściła się w nauce, nie chciała jeść i dziwnie się zachowywała. Matka zauważyła tylko, że obie córki starają się unikać ojca na wszelkie sposoby. Bardzo ją prosiły, aby mogły zamieszkać razem, w jednym pokoju, ale ojciec zawsze się temu sprzeciwiał i matka ustępowała.

Dziewczynki patrzyły na siebie rozszerzonymi ze zgrozy oczami. Niemal jednocześnie wyciągnęły do siebie ręce i ta fizyczna więź przyniosła im chwilę ukojenia.

– Pani matko, wychodzimy na spacer do Łazieniek – odezwała się Jola i dodała ciszej do siostry: – Zbieraj się szybko. Musimy porozmawiać.

– Dobrze, idźcie, tylko macie wcześniej wrócić. – Matka, zajęta własnymi myślami, chętnie została by zupełnie sama.

Przez całą drogę do Łazieniek dziewczęta trzymały się za ręce, ale nic nie mówiły. Dopiero pod pomnikiem Chopina usiadły na ławce. Rozmowę zaczęła Stefcia.

– Ja już tak nie mogę, ucieknijmy z domu. Może nasza ciocia w Jabłonnej nas przyjmie? – Łzy popłynęły po twarzy dziewczyny.

– Ja też chcę uciec z domu i mam swoje powody, ale ty? Dlaczego? – Jola zwróciła całe ciało w kierunku siostry.

– Nie mogę ci powiedzieć. – Stefcia otwarcie płakała.

– Boże wszechmogący, czy to ma związek z naszym ojcem? – Jola patrzyła na nią z mieszaniną nadziei i rozpaczy.

Zamiast odpowiedzi zobaczyła tylko kiwnięcie głową i jeszcze bardziej obfity płacz. Stefcia aż się zanosila, mimo prób opanowania, nie była w stanie przestać.

– Czy on cię odwiedza w twoim pokoju?

Znowu kiwnięcie głową. Teraz Jola już wiedziała, że jej kochana, wrażliwa młodsza siostra jest też ofiarą ojca, jak ona sama. W tej sytuacji nie mogła już zaciskać zębów i udawać, że wszystko jest w porządku. Musiała ratować Stefcię, no i siebie również.

Zapadło długie milczenie. Jedynie łzy spływały z oczu Stefci. Jola zaczęła myśleć nad znalezieniem rozwiązania tej sytuacji. Najpierw rozważała rozmowę z mamą, ale wiedziała z doświadczenia, że matka boi się ojca, bo w większości wypadków, gdy zdania były podzielone, ojciec forsował swoje decyzje, uciekając się nawet do przemocy. Wprawdzie to, co dziewczyny miały do powiedzenia, było wystarczająco wstrząsające, by obudzić w matce potrzebę obrony swoich dzieci, ale równocześnie miała wątpliwości, czy matka im uwierzy. Co należy zrobić? Do kogo mogą się zwrócić o pomoc?

Młody policjant Marek Stępka od dłuższego czasu przyglądał się dwóm młodym dziewczynom, siedzącym na ławce pod pomnikiem. Towarzyszył im od wyjścia z domu. Pozostając w ukryciu, usłyszał wystarczająco dużo, by zrozumieć, że ma do czynienia

z prawdziwą tragedią i jest świadkiem opowieści o przestępstwie. Zdawał sobie sprawę, że jego przedmiotem jest niezwykle delikatna sytuacja. Patrzył zwłaszcza na starszą panią, skupioną, z zaciśniętymi ustami, z poszarzałą twarzą i zastanawiał się, jak wyglądałaby ta śliczna, młoda dziewczyna, gdyby się uśmiechnęła. W końcu podszedł do pańki, przedstawił się i zaproponował pomoc.

– Dzień dobry, pańki, jak widzicie, jestem policjantem. Mam na imię Marek. – Zaskoczone dziewczyny zobaczyły przed sobą postawnego, młodego mężczyznę w mundurze policjanta. Miał posturę misia, niebieskie oczy i zatroskany wyraz twarzy, który budził zaufanie. – Mam wrażenie, że potrzebna jest wam pomoc, a tak się składa, że ja jestem właśnie po to, by pomagać.

– Nikt nie może nam pomóc. – Stefcia nadal bardzo płakała.

– Jest pan bardzo miły, ale nasza sytuacja jest zbyt trudna, zbyt skomplikowana – dodała Jola.

– Usłyszałem wystarczająco dużo, by zrozumieć, w czym rzecz. – Zrobił małą przerwę, by dziewczęta mogły ochłonąć z zaskoczenia i zażenowania.

– To pan nas podsłuchiwał? – wykrzyknęła Jola. – Jak tak można?! I to policjant!

– Czasami policja musi podsłuchiwać, bo skąd wiedzielibyśmy o poczynaniach złych ludzi? Oni zwykle mówią szeptem i w tajemnicy.

– My nie jesteśmy przestępcami – wyjąkała Stefcia.

– Ale jesteście ofiarami przestępstwa. W innej sytuacji od razu bym sobie poszedł i nie słuchał waszej rozmowy. Proszę, zaufajcie mi. Skonsultuję się z moim przełożonym, aby opracować plan działania. Nie jesteście już same.

– Ale co my mamy zrobić? – niemal jednocześnie wykrzyknęły siostry.

– Wracajcie do domu i od dzisiaj musicie zamieszkać w jednym pokoju. Dopóki ojciec ma wstępną do każdej z was osobno, nie jesteście bezpieczne.

– Próbowałyśmy już, ale on się na to nie zgadza, a mama jest za słaba, aby mu się przeciwstawić. – Jola relacjonowała dotychczasowe usiłowania, by zatrzymać niecną procedurę ojca.

– Kiedy ojciec zacznie się awanturować, zagrożcie, że wezwiecie policję. Ja będę czekał na schodach i wkroczę we właściwej chwili.

Siostry spojrzały na siebie i nabrały nieco otuchy. Policjant zapisał ich imiona i nazwisko oraz adres zamieszkania, choć doskonale znał ich dane osobowe. Pożegnał się z dziewczętami, skręcił w boczną alejkę, ale nie wrócił do komisariatu. Niepostrzeżenie szedł za pańkami aż do ich domu.

Dziewczęta, mocno przestraszone, weszły cichutko do domu. Jola powiedziała mamie, że musi zamieszkać w jednym pokoju z siostrą, żeby ją przypilnować i pomóc w lekcjach, bo ostatnio opuściła się w nauce.

– Już rozmawialiśmy na ten temat i ojciec się na to nie zgadza. – Matka była przestraszona nie mniej od swoich córek.

– Trudno, niech się złości, ale my i tak zamieszkamy razem. – W Joli narastał bunt przeciwko tyranii ojca.

Cichutko zaczęły przenosić książki i ubrania Stefci do pokoju Joli, który był nieco większy niż sypialnia Stefci. Łóżko jednak wymagało użycia trochę siły i narobiły hałasu. W chwili, gdy ustawiały mebel pod ścianą, wpadł do ich pokoju ojciec.

– Co się tu wyprawia? – krzyczał na całe gardło. – Nie pozwalam na rujnowanie mojego domu. Natychmiast przenieś łóżko tam, skąd je wzięłaś. – Złapał Stefcię za rękę i wykręcił, aż chrupnęły kości. Stefcia krzyknęła rozdzierająco.

– Zostaw ją! – Jola zaczęła się szarpać z ojcem. – Zostaw moją siostrę, bo wezwę policję – mocnym głosem zagroziła dziewczyna.

– Cooo, ty ośmielasz się wzywać policję na rodzzonego ojca? We łbie ci się poprzewracało, ale ja z wami wszystkimi zrobię porządek! – ryczał na całe gardło, waląc pięściami na oślep.

W tej chwili zadzwieczał dzwonek u drzwi. Matka pobiegła, żeby otworzyć i do mieszkania wszedł policjant Marek.

– Usłyszałem na klatce schodowej głośne krzyki w państwa mieszkaniu. Pan może mi wyjaśnić, co się tu dzieje? – zwrócił się do czerwonego ze złości właściciela mieszkania.

– A co to pana obchodzi? To są sprawy rodzinne. Wynocha mi stąd! – wrzasnęła, a następnie złapał leżący na stole kałamarz z grubego szkła i wykonał gest, jakby chciał nim rzucić w policjanta.

Marek sprawnie złapał faceta za rękę, odebrał kałamarz, założył kajdanki i popchnął w kierunku drzwi.

– Widzę tu zwichniętą rękę młodej panienki, podbite oko pańskiej żony, czyli przemoc domowa. Dochodzi do tego napaść i stawianie oporu funkcjonariuszowi policji. Zbieraj się pan, idziemy. – Następnie zwrócił się do osłupiałych kobiet. – Mają panie czterdzieści osiem godzin spokoju, bo tyle spędzi ten pan w areszcie. Jeśli złożą panie w tym czasie formalne doniesienie, to założymy sprawę karną. Do widzenia i spokojnej nocy.

Po wyjściu obu mężczyzn pozostałe w mieszkaniu kobiety powoli dochodziły do siebie. Matka opatrzyła rękę córki, zrobiła herbatę i w całkowitym milczeniu usiadły przy stole w kuchni. Stefcia jeszcze chwilę popłakiwała, ale ręka bolała coraz mniej, więc i ona się w końcu uspokoiła.

– Skąd się tu wziął ten policjant? – Po dłuższej chwili odezwała się matka. Dziewczynki siedziały milczące, nie wiedząc, co powiedzieć. – I jak on może ode mnie wymagać, że złożę doniesienie na policję na mojego męża? To przecież nie uchodzi. Co by ludzie powiedzieli? Zostałabym potępiona przez wszystkich – wyrażała głośno swoje obawy.

– Ależ matulu kochana – Jola właśnie tego spodziewała się po swojej matce – chcesz, aby dalej bezkarnie znęcał się nad nami?

– Jak możesz tak mówić o swoim ojcu? W wielu rodzinach ojciec czasem przyłożył, ale to nie jest powód, by robić z niego przestępcę. – Matce nie mieściło się w głowie, że córka obraca się przeciwko ojcu. – Pojutrze wróci do domu i wszystko się jakoś ułoży, zobaczycie. Najlepiej przenieś, Stefcu, swoje rzeczy do swojego pokoju. Po co mamy denerwować ojca?

Dziewczęta spojrzały na siebie zrozpaczone. Nie ma innego wyjścia, tylko trzeba jej powiedzieć prawdę. Nie bały się tego wyznania, tylko reakcji swojej matki.

– Jest coś, o czym musisz wiedzieć – zaczęła powoli Jola trzęsącym się głosem. – Czy zastanawiałaś się, dlaczego ojciec tak bardzo sprzeciwia się naszej wspólnej sypialni?

– Nie, nie zastanawiałam się. On jest panem tego domu i może decydować, co i gdzie ma być. – Matka odwołała się do ustalonych dawno temu zasad.

– To znaczy, że nawet się nie domyślasz, jaka tajemnica kryje się za uporem ojca w sprawie oddzielnych sypialni?

– Tajemnica? O czym ty, dziecko, mówisz?

– Ojciec odwiedza nas w nocy i... – Zawiesiła głos, aby informacja mogła dotrzeć do matki. – W moim przypadku trwa to już trzy lata. Miałam czternaście lat, kiedy po raz pierwszy przyszedł do mnie.

– U mnie bywa od kilku miesięcy – dodała cichutko Stefcia. – Dlatego chcemy mieszkać w jednym pokoju. Tylko to może go powstrzymać.

Na twarzy matki odbiła się cała gama uczuć, od szoku, poprzez niedowierzanie, na panicznym strachu przed ujawnieniem skończywszy. Przez jej głowę przemknęły obrazy publicznego skandalu, wytykanie palcami, przeżywany wstyd wobec otoczenia. Poza tym dziewczęta nie miałyby szans na zamążpójście. Nie można do tego dopuścić. Po czymś takim musiałyby się wyprowadzić gdzieś daleko, bez środków do życia, bez mieszkania. Ostatecznie zwyciężył strach. Żeby go złagodzić, wybrała zaprzeczenie.

– Nie wierzę w ani jedno wasze słowo. Oczerniacie ojca, a przecież to on nas utrzymuje. – Matka szukała argumentów na zachowanie status quo.

– O ile wiem, ojciec stracił pracę i w chwili obecnej nie stać nas na ukończenie szkoły. Nawet nie mamy co jeść! – Jola nie ustępowała. – W jednej sprawie zgadzam się z ojcem. Gdybyś zechciała poszukać jakiejś pracy, matulu, to mogłybyśmy ukończyć szkołę. – Zawiesiła głos pełen nadziei.

– Czy, kochana matko, potrafisz tylko cierpieć i skazywać na cierpienie swoje córki? – Stefcia także nie zamierzała ustąpić. – Jeśli zależy ci na zachowaniu tajemnicy, to obronisz nas przed ojcem i zaczniesz zarabiać. W przeciwnym razie to my pójdziemy złożyć doniesienie na policję albo uciekniemy z domu. Właśnie o tym rozmawialiśmy w Łazienkach.

Potworny strach dławił matkę tak, że nie mogła wydobyć głosu. Patrzyła na swoje córki szeroko otwartymi oczami, przenosząc spojrzenie z jednej na drugą. Dotarło do niej w końcu, że zostały skrzywdzone, że jej świętym obowiązkiem jest obronić je przed ojcem, że musi coś wymyślić, aby zapewnić rodzinie utrzymanie. Bała się jednak awantur, które ich czekały po powrocie męża z aresztu. Tak łatwo nie odda władzy nad swoimi kobietami. Powoli oswajała się z myślą, że dziewczynki nie kłamią, że od

dłuższego czasu przeżywają koszmar, że nie miały do niej na tyle zaufania, aby opowiedzieć o swoich cierpieniach, że jej uległość wobec męża pozwalała mu na przemoc. Czy znajdzie w sobie siłę, by się mu przeciwstawić?

– Nie wiem, co mam powiedzieć, ale macie, dziewczynki, rację, tak dalej być nie może. To, o czym mówicie, jest tak potworne, że nie mieści mi się w głowie. Ale dobrze, poszukam sobie pracy, a wy będziecie mieszkać w jednym pokoju. Tylko czy nam się to uda?

– Nie martw się, mateczko, zagrozimy mu policją i złożeniem doniesienia. To powinno ostudzić jego zapalę. – Jola uznała, że szantaż jest najlepszym wyjściem z sytuacji.

Policjant Marek daremnie czekał na złożenie doniesienia o przestępstwie przez matkę dwóch panienek. Nie pracował jeszcze zbyt długo, ale już zauważył, że ofiary przemocy zwykle unikają konfrontacji ze swoimi oprawcami. Po dwóch dobach musiał niestety zwolnić z aresztu człowieka, o którym wiedział, że jest niebezpieczny. Zapowiedział mu tylko na odchodnym, że następnym razem tak łatwo się nie wywinie.

Były nauczyciel chemii wracał do domu z poczuciem głębokiego upokorzenia. Intensywnie myślał nad zemstą. Początkowo nie był pewny, na kim ma się odegrać, ale doszedł do wniosku, że we własnym domu chce mieć spokój. Wróciło wtedy wspomnienie Marysi, tej wstrętnej dziewczuchy, która mu się wymknęła i od której zaczęły się wszystkie jego niepowodzenia. Z kosza na śmieci wyjął dzisiejszą gazetę, gdzie przeczytał o planowanym balu dobroczynnym, który organizował jej ojciec. To będzie świetna okazja. Już on ją urządzi!

W domu czekały na niego żona i córki. Nie usłyszały nawet „dzień dobry”. Zdjął tylko czapkę w przedpokoju i skierował się do sypialni. Po drodze zobaczył, że dziewczynki nie przeniosły łóżka do pokoju Stefcy. Trudno, policzył się z nimi przy innej okazji. Był bardzo głodny i czekał, aż żona zawoła go do stołu. Nie zrobiła tego jednak, tylko krzątała się po kuchni milcząca i jakby zmieniona. Sam sobie nalał ugotowanej przez żonę zupy i wtedy ona pierwsza się odezwała.

– Od jutra zaczynam pracować. Zatrudniłam się w sklepie obuwniczym. Masz zadbać o porządek w domu, skoro nie pracujesz.

– Cooo? We łbie ci się poprzewracało! Jestem chemikiem, a nie sprzątaczką. – O mały włos nie zadławił się zupą. – Jak śmiesz?!

– Nie krzycz, bo znowu przyjdzie do nas policja. – Spokojny ton głosu żony był czymś zupełnie nowym.

W jednej chwili się opanował i zdał sobie sprawę, że dobre czasy się dla niego skończyły. Nie chciał wracać do aresztu, gdzie traktowali go jak zwykłego przestępcę. Miał minę psa, któremu założono kaganiec.

W porannej gazecie Leszek przeczytał wyniki egzaminów maturalnych i znalazł nazwisko Marysi na trzecim miejscu najlepszych maturzystek w Warszawie. Ubrał się pospiesznie i postanowił zrobić jej niespodziankę. Kupił po drodze piękny bukiet kwiatów. Zadzwoił do furki przy Alei Bzów i zapytał lokaja Bronisława, czy panna Wilczurówna zechce go przyjąć.

Marysia przymierzała właśnie suknię na jutrzejszy bal, więc Leszek usiadł wygodnie w salonie, czekając, aż do niego zejdzie. Towarzystwa dotrzymywała mu Wiga, merdając ogonkiem i domagając się pieśczoć.

Wizyta Leszka była dla Marysi ogromnym zaskoczeniem, sądziła bowiem, że rozstanie było definitywne, bez szansy na zmianę. Teraz dopadły ją wątpliwości, bo po co on przyszedł? Może tylko przyniósł zaproszenia na bal dobroczynny? Poprawiła szybko włosy po zmianie sukienki na codzienną i zeszła do salonu niepewna intencji Leszka.

– Witam cię, Leszku. Co cię do nas sprowadza? – zaczęła oficjalnym tonem.

– Dzień dobry. – Jego głos był również oficjalny. – Przyszedłem, by ci pogratulować doskonale zdanego egzaminu dojrzałości – powiedział, wręczając jej kwiaty. Przy okazji stwierdził, że zmieniła się trochę w czasie minionych miesięcy, miała bledszą skórę i zeszczuplała przez intensywną naukę, ale przybyło jej jakby dostojności. Leszek poczuł się nieco onieśmielony.

– Usiądź proszę. Czego się napijesz, kawy czy herbaty? – Marysia lekko weszła w rolę gospodyni domu. Wzięła od Leszka kwiaty, powąchała, zamykając oczy z radości, i wstawiła je do wody.

– Poproszę filiżankę kawy.

Michałowa przyniosła dwie filiżanki, dzbanek pachnącej kawy, śmietankę, cukier i talerz ciasteczek, po czym dyskretnie przymknęła drzwi do salonu. Po ceremoniale nalewania kawy, śmietanki i słodzenia Leszek zaczął relacjonować postępy w przygotowaniach do balu dobroczynnego.

– Kuzynostwo Karscy pomogli mi przygotować listę osób, które warto zaprosić na bal. Przyniosłem ją. Może zechcesz się z nią zapoznać? – powiedział Leszek i wręczył Marysi kartkę papieru. – Mam również przy sobie wydrukowane zaproszenia. Podobno chciałaś osobiście wypisywać. Chętnie ci w tym pomogę.

Marysia skupiła się na szczegółowym przeczytaniu przedstawionej listy gości. Tylko kilka nazwisk było jej znajomych. Brakowało jednak osób wybranych przez nią samą. – Listę pragnę uzupełnić o nazwiska ważnych dla mnie osób – zwróciła się do Leszka rzeczowym tonem. – Chodzi o pana Jana Wedla, któremu obiecałam zaproszenie, oraz o moje niektóre koleżanki z klasy.

Profesor Wilczur wrócił przed południem do domu po bardzo męczącym zabiegu i chciał nieco odpocząć. Już w przedpokoju usłyszał dochodzący z salonu głos Leszka, więc z zaciekawieniem ustawił się obok Michałowej i też zaczął podsłuchiwać. W pewnej chwili dał się słyszeć z kuchni hałas spadającej na posadzkę pokrywki, więc oboje odwrócili się jednocześnie do kucharki, szepcząc „ciiiiiicho”. Tymczasem młodzi

w salonie niczego nie usłyszeli. Byli pogrążeni w rozmowie i całkowicie skupieni na jej przedmiocie.

W tej właśnie chwili ojciec otworzył drzwi z rozmachem i wszedł do salonu z drepzczącą za nim Michałową.

– Widzę, że zajęliście się wypisywaniem zaproszeń. Nie zapomnijcie zaprosić doktora Krzysztofa Dobranieckiego. Zjawiasz się, Leszku, w najodpowiedniejszej chwili. Marysia ma jutro bal maturalny i chciała, żebym to ja jej towarzyszył. Tymczasem jutro mam zaplanowaną bardzo ważną operację i nie będę miał głowy do zabawy. Osobiście chciałem cię prosić, abys mnie zastąpił.

Przez chwilę trwało milczenie. Oboje młodzi byli wyraźnie zaskoczeni. Przez głowę Leszka przebiegały myśli o szansie przekonania Marysi do rezygnacji z planowanych studiów. Ten bal to byłaby świetna okazja.

– Czuję się zaszczycony. – Leszek zachowywał eleganckie manieri. – O ile panna Maria nie ma nic przeciwko temu.

– Chyba nie mam. – Marysia zbierała myśli i porządkowała uczucia.

– W takim razie przyjadę po panienkę jutro wieczorem. Pozwolę państwu, że ich pożegnám. Muszę się przygotować do balu. – Leszek skłonił się wytwornie, włożył kapelusz i już go nie było.

Warszawa, 5 czerwca 1934 r.

Kochani Rodzice,

Ojciec Marysi poprosił mnie, abym jej towarzyszył jutro na balu maturalnym. Zgodziłem się, bo może to być świetna okazja, aby wybić jej z głowy pomysł studiowania. Ponadto Marysia zajęła trzecią lokatę wśród dziewcząt z egzaminu dojrzałości w Warszawie. Wszyscy są z niej dumni.

Mały Jaś całkiem wyzdrowiał. Umieściłem go w rodzinie lokaja wujostwa Karskich, bo oni mają synka w wieku Jasia. Ma na imię Przemek i jest bystrym, wesołym łobuziakiem. Postanowiłemłożyć na utrzymanie Jasia w czasie jego pobytu w Warszawie. Chyba nie macie nic przeciwko temu? Chłopcy od razu się polubili, bo Jaś okazał się grzecznym i pracowitym dzieckiem. Rwie się do każdej pracy: przynosi węgiel z piwnicy, pali w piecach, obiera ziemniaki itp. Dobrze by było, gdyby poszedł do szkoły od nowego roku szkolnego. Teraz uczy go Przemek, ale nauka idzie Jasiowi nieco opornie. Trudno się dziwić, skoro praktycznie nigdy nie uczęszczał na lekcje. Musi nadrobić stracony czas, zaczynając od czytania i pisania. Dziwicie się zapewne, dlaczego nie odesłałem go do babci. Otóż Jaś opowiedział mi historię swojej rodziny. Jego matka zmarła, gdy Jaś miał trzy lata. Ojciec wyjechał za chlebem niedługo potem, ale od wielu lat nie ma od niego żadnych wiadomości. Babcia Jasia ledwo daje sobie radę z bieżącymi potrzebami. Przy okazji niech nasz stangret pojedzie do domku babci i przekaze wiadomość, że Jaś jest cały i zdrowy i że przyjedzie do babci na wakacje.

Teraz już kończę, bo muszę się przygotować na jutrzejszy bal. Zaraz potem ja i Marysia będziemy wypisywać zaproszenia, a jest tego bardzo dużo. Czeka nas

adresowanie listów do kilkuset osób, dlatego nie wiem, czy uda mi się przyjechać do Ludwikowa w najbliższym czasie. Być może spotkamy się dopiero na balu dobroczynnym. Wysyłam list i zaproszenie przez umyślnego, abyście otrzymali wiadomość jak najszybciej.

Pozdrawiam najserdeczniej.

Wasz kochający syn Leszek

Bal maturalny skończył się równo o północy, jak to było w zwyczaju. Do domu wrócili dorożką. Jazda przez nocną Warszawę dała młodym dodatkowe wrażenia niezwykłości tego dnia. Uliczne latarnie gazowe kładły złote plamy na brukowane ulice. Oświetlone witryny sklepowe przyciągały wzrok kolorowymi wystawami. Ciszę nocną przerywał jedynie stukot końskich kopyt i od czasu do czasu jakieś krzyki i śmiech podchmielonych klientów okolicznych restauracji. Marysia i Leszek wspominali wrażenia z balu. Wspaniały korowód poloneza, który tradycyjnie rozpoczął bal, prowadziła dyrektor Lemańska ze swoim mężem. Dalej nauczycielki i nauczyciele, a za nimi uczennice ze swoimi partnerami. Wszyscy niezwykle uroczyści i wzruszeni. Ustawione wokół sali stoliki obsługiwali kelnerzy z restauracji. Orkiestra grała bardzo dobrze, na początku dostojne melodie, z czasem jednak młodzi mogli tańczyć nowoczesne tańce typu fokstrot, boogi woogi, charleston. Po raz pierwszy od dłuższego czasu oboje mogli zapomnieć o minionych tragediach i rozterkach. Bawili się wyśmienicie. Leszek uważał, że Marysia była najpiękniejsza, że tańczyła z niebywałą gracją i wdziękiem. Zaś Marysia sądziła, że Leszek był najprzystojniejszym kawalerem.

– Marysiu, czy przemyślałaś ponownie swoją decyzję o planowanych studiach? Może jednak wrócisz do naszych pierwotnych planów małżeńskich? – Leszek chciał wykorzystać okazję, by złamać postanowienie Marysi.

Marysia spojrzała na niego z rozżaleniem. Ten człowiek niczego nie zrozumiał. – Chcesz, bym zrezygnowała z marzeń? A czy ty już zrezygowałeś ze śniadań, obiadów i kolacji?

– Jak możesz porównywać takie rzeczy? – Leszek był oburzony.

– Mnie studia medyczne są potrzebne jak oddychanie, nie tylko jak jedzenie.

Rozstali się pod domem przy Alei Bzów, Marysia zasmucona, a Leszek zagniewany.

– Zobaczmy się jutro, jak się wyśpisz – Leszek szorstkim tonem przywracał rzeczywistość. – Mamy wszak wiele pracy, aby przygotować wszystko na zbliżający się bal dobroczynny. Zaczniemy wypisywać zaproszenia. Jesteś gotowa?

– Jestem gotowa od dawna, Leszku. Przyjdź zaraz po śniadaniu. Będę na ciebie czekać. – Marysia czuła się pusta w środku. – Dobranoc.

Na biurku ministra zdrowia publicznego leżała poranna gazeta. Popijając pierwszą dziś kawę, pan minister przeglądał zamieszczone w niej artykuły, chcąc być na bieżąco. Zauważył kolejny tekst poświęcony profesorowi Wilczurowi i jego fundacji. Już wcześniej widział podobne, ale dopiero teraz wpadł na genialny pomysł. Przecież ta oddolna inicjatywa poprawy stanu zdrowia społeczeństwa może mu się bardzo przydać w trakcie zbliżających się wyborów. Z artykułu dowiedział się o planowanym balu dobroczynnym i uznał, że bez niego ten bal nie może się odbyć. Będzie wszak najznakomitszym gościem. Zaprosi się fotografów i przedstawicieli większości gazet, nie tylko warszawskich, ale i ogólnopolskich. Gdzie oni to chcą urządzić? Nie podali gdzie, tylko kiedy. W ostatnią sobotę czerwca. Świetnie, jedynym miejscem odpowiednim na taki bal będzie sala balowa na Zamku Królewskim. Kustoszem Zamku jest mój dobry kolega jeszcze ze szkoły. Nie odmówi przecież tej drobnej przysługi staremu znajomemu. Fundusze na organizację balu też się znajdują. Ponadto można przeznaczyć pieniądze państwowe na zbiórkę, a efekty pójdą na jego osobiste konto. Czysty zysk.

Wziął do ręki metalowy dzwonek, by wezwać swojego asystenta.

– Panie Mroczek, proszę połączyć mnie niezwłocznie z kustoszem Zamku Królewskiego.

– Oczywiście, panie ministrze. – Mroczek skłonił się uniżenie, wychodząc z gabinetu.

Już po chwili odezwał się telefon i panowie mogli omówić warunki finansowe wynajęcia sali balowej, sali restauracyjnej, niezwyklego menu, obsługi, ochrony, wystroju, no i „paru groszy” dla kustosza. On właśnie obiecał zająć się przygotowaniami, a pan minister polecił Mroczkowi przekazanie funduszy na konto Zamku. Od pomysłu do rozpoczęcia przygotowań nie minęła nawet godzina. Teraz należało odpowiednio przedstawić propozycję Wilczurowi. Na połączenie telefoniczne z profesorem pan minister musiał jednak trochę poczekać. W domu go nie było, a w lecznicy powiedziano, że operuje, a odwołanie go od stołu operacyjnego nie wchodzi w grę. Jak skończy, to zadzwoni do pana ministra.

Po umyciu rąk po operacji Wilczur dowiedział się, że czeka na jego telefon sam minister zdrowia publicznego i że sprawa jest ważna. Początkowo go to zaniepokoiło, bo nie spodziewał się niczego dobrego ze strony władz, ale już po pierwszych słowach ministra niemal osłupiał ze zdziwienia.

– Witam serdecznie pana profesora. – Głos ministra był podlany miodem. – Zapoznałem się z pana projektami pomocy medycznej dla najuboższych i doszedłem do wniosku, że ministerstwo nie może zostawić pana samego z tak wielkim przedsięwzięciem. Przeczytałem w dzisiejszej gazecie, że planuje pan organizację balu dobroczynnego na rzecz Fundacji „Nadzieja”. Jestem doprawdy pod wrażeniem, że są jeszcze w naszym kraju ludzie, którym dobro publiczne leży na sercu. Dlatego pragnę wesprzeć pana ideę. Biorę na siebie organizację balu dobroczynnego na Zamku Królewskim. Tylko tam są wystarczająco duże sale, aby pomieścić wszystkich ludzi dobrej woli, którzy pragną ofiarować parę groszy dla wspólnego dobra. O ile oczywiście wyrazi pan zgodę. – Minister zawiesił głos, czekając na odpowiedź.

– Jestem ogromnie zaskoczony i nie ukrywam, że również wzruszony. Przyjąłbym propozycję pana ministra z otwartymi rękami, ale obawiam się, że kryje się za tym jakieś drugie dno. Czego spodziewa się pan po tym balu i co ja miałbym dla pana zrobić? – Wilczur nie urodził się wczoraj, widział wiele i nie wierzył w dobre serce ministra.

– Ależ nic wielkiego, wszystko będzie zaplanowane we wspólnym interesie. Zarówno panu, jak i mnie zależy, aby nadać temu wydarzeniu szeroki rozgłos. Czyż nie? Zaprosilibyśmy prasę i radio, aby nasi obywatele mogli pośrednio w nim uczestniczyć. – Pan minister starał się przekonać Wilczura do swego punktu widzenia.

– Mówiąc szczerze, myślałem o bardziej kameralnym spotkaniu, ale i tak zebrała się spora liczba chętnych, głównie naszych znajomych. Nie mam niestety czasu na organizowanie czegokolwiek. Wszelkie sprawy, wątpliwości i pytania proszę więc kierować do pana hrabiego Leszka Czyńskiego. To on właściwie podjął się realizacji tego przedsięwzięcia. Proszę mi wybaczyć, ale chorzy na mnie czekają. Pozdrawiam pana ministra, dziękuję za poświęcony mi czas i mam nadzieję, że spotkamy się na balu. – Wilczur zakończył rozmowę.

Minister odłożył słuchawkę z szerokim uśmiechem zadowolenia. Osiąga, jak zwykle, to, na czym mu zależy. Kolejne wezwanie i polecenie dla sekretarza dotyczyło odszukania tego Czyńskiego.

– Szukaj go najpierw u Wilczurów, oni na pewno wiedzą, gdzie hrabia mieszka – polecił swojemu sekretarzowi. – Ale najpierw zanotuj nazwiska osób, które mają wziąć udział w balu dobroczynnym. Przekażesz tę listę Czyńskiemu. Zawiadom prasę i radio, aaa... nie musisz ci chyba mówić, jak formułować oświadczenia do prasy.

Rafał Wilczur wrócił do domu w porze obiadowej. Miał nadzieję zastać Leszka, by zreferować mu rozmowę z ministrem i przeprosić, że podjął za niego decyzję o kierowaniu przygotowaniem do balu.

– Pan minister zaferował nam urządzenie balu na Zamku Królewskim. Co wy o tym myślicie? – Ojciec przenosił wzrok z Leszka na Marysię.

– Zaraz, a kto za to zapłaci? Przecież koszty wynajęcia sali balowej i restauracyjnej na Zamku są ogromne. – Leszek zdawał sobie sprawę z wysokiego poziomu wydatków.

– Otóż wyobraźcie sobie, że pan minister pokryje to z pieniędzy ministerstwa. – Wilczur rozłożył ręce w geście niedowierzania.

– Założę się, że czegoś za to chce. – Leszek też nie wierzył w bezinteresowność ministra.

– Powiedziałem ministrowi, że ty o wszystkim decydujesz i z tobą należy się konsultować. Lada chwila ktoś się tu zjawi z listą dodatkowych osób do zaproszenia na bal. Podejmiesz się tego? Wybacz mi, Leszku, że wpakowałem cię w kłopot, ale sam nie czuję się na siłach, aby temu podołać, zwłaszcza że lecznica w Radoliszka rośnie jak na

drożdżach i księgowa Dobrzańska wraz z panną Janowiczówną bardzo często czegoś ode mnie chcą.

– Ależ nie ma o czym mówić. Właściwie jest to dla mnie wyzwanie, nowa przygoda i mam nadzieję, że się czegoś nauczę. – Leszek nie tylko nie był zagniewany, ale wręcz podekscytowany nową dla siebie sytuacją.

Po deserze cała trójka przeniosła się do gabinetu. Wilczur uczulił Leszka na sprawy publikacji prasowych. Dotąd artykuły pisał Zygmunt Karpacki, sprawdzony już i rzetelny przedstawiciel prasy. Teraz miało się to zmienić, więc ktoś powinien czytać teksty przeznaczone do druku przed ich opublikowaniem. Oczywiście zdawali sobie sprawę, że sam bal będzie wielkim wydarzeniem. Będą zdjęcia i wywiady, ale łatwo było sobie wyobrazić, że gwiazdą wieczoru będzie pan minister. I dobrze. Tylko czy na pewno zostawią rodzinę w spokoju? Niekoniecznie.

Po swojej publicznej ekspiacji doktor Konstanty Pawlicki zaczął doświadczać szacunku. Ludzie kłaniali mu się, zwracali się do niego o poradę, prosili o pomoc, a on jakby łagodniał. Przestały go irytować prostackie manieri pacjentów, zaczął rozumieć powody, dla których prosi ludzie tak uwielbiali Wilczura. Czuł się teraz pewniej i spokojniej. Po pierwsze otrzymywał stałą pensję z Fundacji, która pozwalała na zaspokojenie podstawowych potrzeb jego rodziny, po drugie wiedział, że jest ktoś, kto mu pomoże, gdy spotka przypadek przekraczający jego umiejętności. Już dwukrotnie wysyłał pacjentów do warszawskiej lecznicy: raz to było skomplikowane złamanie ręki, a drugi raz nie był w stanie postawić diagnozy. W obu przypadkach pacjenci uzyskali niezbędną pomoc. Wbrew obawom Pawlickiego, ludzie uznali, że to, co zrobił, świadczyło o nim jak najlepiej. Powoli poprawiał swoją pozycję.

Miał teraz więcej wezwań do chorych i uznał, że przydałaby mu się pomoc pielęgniarska. Panna Janowiczówna powiedziała, że rozmawiała wstępnie z dwiema pielęgniarkami, ale one przyjadą dopiero, gdy lecznica w Radoliszkach będzie gotowa. Przypomniał sobie wówczas, jak Wilczur prosił o pomoc Nastkę, córkę Prokopa Szapiela, i ta współpraca ujawniła zdolności dziewczynki, więc Wilczur obiecał zasponsorowanie jej nauki pielęgniarstwa w Warszawie. Uświadomił sobie także, że ma we własnym domu siostrę Kamilkę, która mogłaby uczestniczyć w jego pracy i mu pomagać. Któregoś dnia przy obiedzie rozpoczął zasadniczą rozmowę.

– Kamilko, leży mi na sercu twoje dobro i twoja przyszłość – zwrócił się do siostry ze zmarszczonym czołem. – Co myślisz o mojej pracy lekarza?

– Nie rozumiem, o co pytasz, kochany bracie. – Kamilka szeroko otworzyła oczy. – Jestem z ciebie bardzo dumna.

– Nie o to pytam – tłumaczył cierpliwie. – Chciałbym wiedzieć, czy myślałaś kiedyś o swojej przeszłości? Czy chciałabyś wykonywać jakąś pracę? Coś, co dawałoby ci satysfakcję?

– Jak to? – Kamilka była wręcz zaszokowana. – To ja miałabym pracować?

– A dlaczego nie? – indagował Pawlicki. – Masz, panienko, szesnaście lat i najwyższa pora, byś pomyślała o przyszłości.

– Myślałam, że jak przyjdzie czas, to wyjdę za męża. – Dla Kamilki taki scenariusz na życie był oczywistością.

– Aha. Najpierw pracował na ciebie nasz ojciec. Teraz pracuję na ciebie ja, a w przyszłości będzie cię utrzymywał twój mąż.

– To przecież jest naturalna kolej rzeczy. Wszyscy tak robią. – Kamilka nadal nie rozumiała, o co chodzi jej bratu.

– Świetnie, tylko za kogo chciałabyś wyjść za męża? Nie masz żadnych tytułów, nie masz posagu i bogatej rodziny, więc...? – Zawiesił głos, by dotarło do siostry to, co chce jej przekazać. – W najbliższej okolicy są do wzięcia następujący kawalerowie: syn Mosterdzieja Zenon, który wkrótce wróci z więzienia, syn Prokopa Mielnika Wasil – dobra partia, bo odziedziczył młyn po ojcu, i pan Sobek, też dobra partia, bo ma stałą pracę na poczcie. Może jeszcze ktoś by się znalazł. Którego wybierasz?

– Boże święty, o czym ty, synu, mówisz? – włączyła się do rozmowy matka. – Przecież to są wszystko ludzie z innej sfery.

– Kochana mammo, kogo w okolicy uważasz za ludzi z naszej sfery? Czyńskich? – Popatrzył na matkę ze smutkiem. Matka najpierw zwiesiła głowę, a później gwałtownie ją podniosła.

– Przecież Leszek Czyński chciał się ożenić z Marysią od Szkopkowej. Może i nasza Kamilka znajdzie sobie odpowiedniego męża – wyraziła kompletnie nierealną nadzieję.

– Leszek Czyński pokochał mądrą, pracowitą, skromną i uprzejmą dziewczynę W MIEJSCU JEJ PRACY. Sęk w tym, że ty, Kamilko, nie chcesz pracować. Nigdzie nie bywamy, bo nas nikt nie zaprasza. Nie jeździmy do wód, bo nas na to nie stać. Gdzie, Kamilko, zamierzasz poznać swojego przyszłego męża? – Konstanty przedstawiał brutalne argumenty, które mogły trafić do siostry.

– Ja... nie wiem. – Kamila wybuchnęła płaczem, użalając się nad sobą. – To ty powinieneś mi znaleźć męża. – Zgrabnie przeniosła odpowiedzialność za swoje życie na brata.

– Ooo, nic z tego nie będzie. Mam do zagospodarowania moje życie i przypominam ci, że jestem twoim bratem, a nie ojcem. Wystarczy, że pracuję ciężko, abyś miała co jeść i w co się ubrać. To ty musisz zdecydować, co zamierzasz zrobić ze sobą. – Konstanty nie miał już litości dla osoby bez ambicji.

– Mam nadzieję, że uświadomisz, matko, swojej córce, co oznacza uzależnienie od drugiego człowieka. Doświadczyłaś tego aż nadto w swoim małżeństwie. Nie raz byłem świadkiem twoich upokorzeń. Opowiedz jej o samodzielności, a tym samym wolności wyboru. Nadszedł czas, by przygotować Kamilkę do dorosłego życia, a to jest przecież rola matki – zwrócił się do kobiety, która widziała i rozumiała o wiele więcej niż nastoletnia córka, ale była skrępowana tymi samymi konwenansami.

Konstanty odszedł od stołu nieprzyjemnie poruszony postawą swojej siostry. Wyrzucał sobie, że wcześniej nie zauważył jej braku energii i braku ambicji. Zajęty swoimi sprawami, swoimi beznadziejnymi tęsknotami, nie włączył się na czas w jej

wychowanie. Problem Pawlickiego polegał na tym, że nie chciał poświęcić całego życia na potrzeby swoich kobiet. Matka to co innego. Już za późno, by ułożyła sobie życie na nowo. Siostra jednak musi wyuczyć się jakiegoś zawodu i zacząć na siebie zarabiać. Westchnął ciężko, biorąc się za sterylizację swoich narzędzi lekarskich.

Doktor Pawlicki miał tajemnicę. Nikt nigdy nie może się o niej dowiedzieć. Zostały napiętnowany i wyklęty. Prawie półtora roku trwa to męczące ukrywanie się przed oczami świata. Chciałby coś zmienić, ale jeszcze nie przyszedł na to czas i nie wiadomo, czy kiedykolwiek taki czas przyjdzie. Myśli tłukły mu się po głowie, nie poprawiając samopoczucia.

Budowa lecznicy w Radoliszkach postępowała tak szybko, że ludzie nie mogli się nadziwić. Domek profesora Wilczura był już właściwie gotowy. Czekali tylko na urządzenia sanitarne zamówione w Lublinie i gospodarz będzie mógł się wprowadzać. Mury lecznicy stały prosto, wyprowadzone wprawną ręką doskonałego murarza. Na dniach mieli zawiesić wiechę na kalenicy. Czekali tylko na przyjazd profesora, bo dla budowniczych to jest dzień świąteczny, okazja do świętowania.

Wśród okolicznych wieśniaków znalazł się jeden, który podjął się prac ogrodniczych na terenie lecznicy. Jeszcze budowlańcy śmiecili, jeszcze się wokół wały kawałki drewna i cegieł, ale Florek zabrał się za wytyczanie alejek oddalonych nieco od budynku. Nikt mu nie mówił, co i jak ma robić, ale ten młody chłopak widział oczami duszy, jak powinno wyglądać otoczenie tej wyczekanej przez wszystkich inwestycji. Potrafił sobie zaplanować każdy szczegół i kiedy skończył ten projekt, to poszedł do panny Janowiczówny, by zapytać, czy jej się podoba i czy może zacząć robotę. Pisać to Florek nie umiał, ale kiedy brał do ręki węgielek z ogniska, to potrafił wyrysować wszystko, co chciał. W ogrodzie miała się znaleźć niewielka sadzawka ze złotymi rybkami, drewniany mostek miał spinać oba brzegi pobliskiej rzeczki, a kwiaty na klombach miały kwitnąć od wiosny do jesieni. Zostawił dużo miejsca na trawniki, które miał zamiar regularnie kosić i chciał cały teren obsadzić świerkowym szpalerem. Znalazł również miejsce na drzewa owocowe, które wszak miały wspomóc szpitalną kuchnię. Florek miał zaledwie osiemnaście lat, ale kochał przyrodę i ją rozumiał. Panna Janowiczówna była oczarowana jego wizją i pomysłami. Z wielkim zapalem zachęcała go do pracy, pytając przy okazji, czego mu potrzeba. Była gotowa namówić księżową na dodatkowe wydatki, by zrealizować tak ważny cel. Ale Florek miał jeszcze inny powód, dla którego chciał pracować w Radoliszkach – był tam ktoś, na kim Florkowi bardzo zależało. Jego zainteresowanie nie miało żadnych szans na realizację, ale głupie serce nie zważało na żadne racje.

Jechali na wschód wyladowanym po brzegi samochodem. Wilczur uparł się, aby przywieźć podarunki rodzinie Prokopa Mielnika. Wiedział wprawdzie, że Prokopa stać na wiele, bo sam widział garnek pełen samych carskich imperiałów, ale zależało mu, by okazać wdzięczność za gościnność i serce, jakich zawsze doświadczał. Jechał z profesorem także mały Jaś, który już bardzo tęsknił za babcią. Zatrzymali się więc przed lichą chatką i chłopiec, obdarowany przez Wilczura smakołykami, mógł wpaść w bezpieczne ramiona babci.

– Przy okazji przyjechałem, żeby porozmawiać o nauce Jasia. Powinien zacząć uczęszczać do szkoły od września. Mamy tu przecież małą szkółkę w Radoliszkach. Poznały tam nowych kolegów i, co najważniejsze, nauczyły się czytać, pisać i liczyć. O koszty niech się babcia nie martwi – zwrócił się do starowinki, widząc jej zatroskaną minę. – Dostanie ode mnie całą wyprawkę szkolną. Wprawdzie pan Leszek obiecał Jasiowi pomoc w Warszawie, ale Jaś sam powinien zdecydować, gdzie chce mieszkać. – Spojrział wyczekująco na chłopca.

– Wolałbym mieszkać z babcią. Tutaj jest mój dom i może tata wróci... – Jaś nie miał wątpliwości, gdzie jest jego miejsce.

– Dziękuję panu doktorowi, niech pana Bóg błogosławi – staruszka miała wilgotne oczy ze wzruszenia – ale ludziska gadają, że nauczyciel wyprowadził się z Radoliszek do Lublina i teraz nie ma komu uczyć – babcia przekazywała niepokojące informacje. – No, to u nas nauki nie będzie. – Rozłożyła ręce w geście rezygnacji.

– Niech się babcia nie martwi. Znajdziemy kogoś do uczenia. Dzieci przecież muszą się uczyć – dodał z głębokim przekonaniem.

Kiedy zatrzymali się przed młynem, zostali zaproszeni do izby na poczęstunek i kubek herbaty, a Rafał Wilczur kolejno wręczał przywiezione podarunki. Patriarcha rodu otrzymał elegancką fajkę z czarnego dębu wraz z woreczkiem aromatycznego tytoniu, jego syn Wasil – parę butów z cholewami, z czarnej, mięciutkiej skóry, matka Agata – kolorową chustkę na głowę, dla Olgi przeznaczył haftowaną zapaskę, Zoni wręczył długi sznur czerwonych koralii. Nawet parobek Witalis dostał nową, elegancką czapkę. Na samym końcu znalazł się również prezent dla Natalki. Był inny, bo też Natalka pomagała wiele razy w pracy lekarza.

– Oto książka dla ciebie, Natalko. – Wręczył jej biografię Florence Nightingale. – „Dama z lampą” to historia niezwykłej kobiety, która stała się prekursorką nowoczesnego pielęgniarstwa. Czytaj w każdej wolnej chwili, bo już niedługo, zaraz po wakacjach, pojedziesz do Warszawy, by rozpocząć naukę zawodu pielęgniarki. – Wilczur uśmiechał się do dziewczynki, szczęśliwy jak i ona.

– Jakże to tak? – Prokop miał wilgotne oczy ze wzruszenia. – Za co to?

– Dziękujemy, dziękujemy – jedno przez drugie wołali uszczęśliwieni, a profesor, patrząc na ich zarumienione ze szczęścia twarze, utwierdził się w przekonaniu, że dobrze zrobił.

– Byłbym zapomniał – przerwał podziękowania. – Przyjechał do was z Warszawy tort. Franku – zwrócił się do swojego szofera – przynieś go proszę z bagażnika. Podobno domek dla mnie jest już gotowy. Może i lecznicę skończą chłopaki jeszcze w tym roku.

Franek postawił wielki, czekoladowy tort, pięknie udekorowany lukrowymi kwiatkami z marcepanowymi kłosami pszenicy na samym środku. Wszyscy byli zapraszani do wspólnego jedzenia. Opowiadali o nowinkach z okolicy, kto się urodził i kto umarł. Wtedy Wilczur zapytał o nauczyciela w Radoliszkach. Zebrani potwierdzili, że wyjechał i nie ma nikogo na jego miejsce.

– No to trzeba pomyśleć o kimś nowym. Czy przychodzi wam do głowy ktoś, kto mógłby uczyć dzieci? – Wilczur czekał na jakąś odpowiedź.

– No, to by się nadała siostra doktora Pawlickiego, Kamilka. Ona jest po szkołach, to czytać, pisać i liczyć umi. Zdałaby się do czegoś. Struga wielką panią, a pożytku z niej ni ma – podsunął rozwiązanie Wasil.

– I jeszcze by jej za to płacili – podchwyciła temat Zonia. – Tylko co na to doktorek i Kamila? Bo ona taka nijaka. Czy się nada?

– No to trzeba ich zapytać, a w razie wątpliwości przekonać – Wilczur westchnął, że wziął na siebie jeszcze jedno zadanie.

W dalszej kolejności zatrzymali się przed mieszkaniem Konstantego Pawlickiego. Otworzyła drzwi Kamila, co profesor uznał za dobry znak. Doktor Pawlicki był u jakiegoś pacjenta, ale niedługo miał wrócić, o czym poinformowała go pani Pawlicka.

– Przyjechałem nie do doktora, tylko do panienki – rozpoczął rozmowę Wilczur, wchodząc do mieszkania. – Dowiedziałem się, że tutejsza szkółka potrzebuje nauczyciela. Czy podjęłaby się panna nauczania dzieci? – zwrócił się do Kamili bez ogródek.

– Ja? – Kamila wyglądała jak wielki znak zapytania.

– Tak, potrafi przecież panna pisać, czytać i liczyć, więc z łatwością przekaże te umiejętności tutejszym dzieciom. W szkole znajdują się podręczniki i program nauczania – kontynuował.

– Ale ja się do tego nie nadaję – Kamila broniła się przed taką wizją. – Nigdy nikogo nie uczyłam.

– No to będzie ten pierwszy raz. – Wilczur z trudem powstrzymał się od złośliwości.

– Kamilko – włączyła się pani Pawlicka – może to jest twoja wielka szansa, żeby wyjść z domu i poznawać ludzi?

– Ależ droga matko, musiałabym wstawać co dzień rano o siódmej godzinie, i prowadzić dziennik, i zajmować się dziećmi. – Kamila szukała tylko powodów, dlaczego nie powinna podjąć się tej pracy.

– A w zamian otrzymywałabyś wynagrodzenie, to chyba jest poważny argument. – Wilczur próbował pokazać dobre strony pracy zawodowej. – Jak każda panna potrzebujesz trochę grosza na kosmetyki i ubrania, czyż nie?

– Tak, potrzebuję, ale mój brat powinien mi to zapewnić.

Skrzypnęły drzwi i stanął w nich doktor Pawlicki. Przywitał gościa z lekkim uśmiechem i podziękował za zaszczylenie jego skromnego domu tą niespodziewaną wizytą.

– Droga siostrzo – zwrócił się do Kamili z irytacją w głosie. – Nie zamierzam dłużej tolerować twojego oporu wobec pracy. Słyszałem część waszej rozmowy i jestem

absolutnie przekonany, że lepszej propozycji pracy nie otrzymasz. A już na pewno nie w Radoliskach. Dlatego jeszcze raz dziękuję, panie profesorze, za przekazanie mojej siostrze szansy na dorastanie. Oczywiście, że Kamila przyjmuje propozycję zostania nauczycielką, bez względu na to, co mówi w tej chwili.

Po wyjściu od Pawlickich Wilczur odwiedził w Ludwikowie swoje współpracownice: pannę Janowiczówną i panią Dobrzańską. Chciał się dowiedzieć o postępach w budowie lecznicy. Kiedy spojrzął na pannę Małgorzatę, wrósł w podłogę na dłuższą chwilę, bo nie mógł jej poznać. Z szarej, zaniedbanej myszki zmieniła się w interesującą, elegancką kobietę o błyszczących oczach i z uśmiechem na twarzy. Niepokojąco szybko uderzyło mu serce. Jakaż to piękna kobieta – pomyślał zachwycony. – Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem?

Zdając relację z postępów prac nad lecznicą, księgowa nie mogła się nachwalić robotników, którzy praktycznie nic nie chcieli za swoją pracę.

– Zmieniają się tylko, by nie opuszczać zbyt wiele dni we własnych gospodarstwach. Wszyscy zdrowi mężczyźni z okolicznych wiosek garną się do pracy na budowie, jakby stawiali dom dla siebie. – Dobrzańska opowiadała z zachwytem o ewidentnych oszczędnościach.

– Panie profesorze, ludzie czekają na pana z wytęsknieniem. – Była sekretarka spotkała się z takim zaangażowaniem po raz pierwszy. – Dlatego urządziłyśmy w radoliskiej gospodzie jadalnię dla robotników. Kobiety ze wsi i miasteczka same gotują i obsługują pracowników. My tylko kupujemy konieczne produkty. Nie ma pan pojęcia, czym są dla tych kobiet wspólne spotkania, gotowanie i oczywiście okazja do wymiany ploteczek. Przy okazji same porządnie zjedzą, a jak coś zostanie, to i zabiorą dla dzieci, bo nie wszędzie ludzie najadają się do syta. Właściciel gospody też jest bardzo zadowolony, bo schodzi się do niego więcej ludzi niż wcześniej.

– Zaraz, drogie panie, ale przecież trzeba ludziom zapłacić za pracę. – Wilczur nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Ale oni nie chcą. Mówią, że ta lecznica to sprawa wszystkich mieszkańców. Jutro będą wieszać wiechę na kalenicy, więc dzień pracy ma być krótszy. W gospodzie kobiety przygotowują całą górę jedzenia na godzinę dwunastą w południe. – Po chwili przerwy panna Małgorzata dodała: – Zaprosiłam również doktora Pawlickiego, bo on stara się pomagać ludziom i godnie reprezentować naszą lecznicę. Nie zmienił się za bardzo, ale przynajmniej przestał być nadętym doktorkiem. Jest dużo bardziej przystępny wobec ludzi. Pan jest prawdziwym cudotwórcą, panie profesorze.

– Jest jeszcze coś, o czym powinien pan wiedzieć – kontynuowała pani Dobrzańska. – Chodzi o powiększenie lecznicy w stosunku do pierwotnych planów. Kiedy okazało się, że mamy dużo pieniędzy ze zbiórki na rzecz fundacji i z powodu oszczędności, to majster powiedział, że musimy dobudować jeszcze trochę, żeby była prawdziwa izba

porodowa i kilka sal dla chorych. Pisałam o tym panu, ale ponieważ nie odpisał pan, że się nie zgadza, więc uznałam milczenie za zgodę. Czy dobrze zrobiłam?

– Bardzo dobrze pani zrobiła. To chyba pierwszy raz, gdy moja niezrównanie oszczędna księgowca bez szemrania akceptuje zwiększenie wydatków. – Wilczur roześmiał się w głos.

Pod sam wieczór Wilczur wreszcie mógł obejrzeć swój domek. Długo stał, podziwiając budynek i wznoszące się mury lecznicy. Ze wszystkich stron opadli go ludzie, a majster z kilkoma robotnikami uroczyście wręczyli mu klucze do drzwi. Domek był niewiele większy od tego przygotowanego kiedyś w Ludwikowie, ale jego wyposażenie mogło przyprowadzić o zawrót głowy. Każdy mebel, każdy szczegół wyposażenia był wypieszczony przez tutejszych rzemieślników. Okazało się, że ludzie na dalekiej prowincji byli nie tylko dobrymi wykonawcami, ale i artystami. Piece stały w każdym pomieszczeniu i miały specjalnie zdobione kafle. Meble zrobił zdolny stolarz z pobliskich Wickun. Ludzie za punkt honoru postawili sobie, żeby jak najmniej rzeczy kupować za granicą. Oczywiście łazienkę wyposażyla panna Małgosia, by profesor miał odrobinę komfortu, a nie tylko wrażenia estetyczne. W sypialni królowało wielkie dębowe łóże, a na nim pierzyna i cała góra puchowych poduszek obleczonych w poszewki szyte przez tutejszą krawcową i ozdobione wymyślnymi haftami. Te oczywiste dowody ludzkiej życzliwości i oddania sprawiły, że Wilczur pomyślał, iż musi sobie „chlapnąć” kielicha, by opanować wzruszenie.

Wreszcie wygłosił najszczersze i najserdeczniejsze podziękowania każdej osobie, która przyczyniła się do ostatecznego wyglądu jego domku.

– Jutro czas na ucztę!!! Będziemy razem świętować.

Po długim dniu pełnym wrażeń Wilczur pozostał wreszcie sam we własnym domku. Zanim położył się spać, zwiedził na nowo wszystkie pomieszczenia, łącznie ze spiżarnią i małą piwniczką. Odetchnął pełną piersią niebywale szczęśliwy. Życzliwe ręce napaliły w piecyku w łazience, więc mógł wziąć gorącą kąpiel, a następnie położyć się w nowym łóżku i nowej pościeli. Zasnął natychmiast z poczuciem spokoju, jakiego nie doświadczył od wielu, wielu lat.

Po paru godzinach snu, jeszcze w środku nocy, obudził go potworny strach. Śniło mu się bowiem, że na lecznicę spadały bomby. Słyszał we śnie wybuchy, krzyki ludzi uciekających w panice. Widział samoloty radzieckie, które zniżyły swój lot, by strzelać do ludzi, którzy biegli do piwnic pod lecznicą. We śnie uświadomił sobie, jak dobrze zrobił, budując solidne schrony.

Sen – mara, Bóg – wiara – przypomniał sobie staropolskie porzekadło. – Skąd mi się biorą takie wizje? Mamy przecież pokój, a Ruscy zostali pokonani w dwudziestym roku

pod Warszawą.

Nie przemknęło mu nawet przez myśl, że to może być proroczy sen. Wstał, napił się wody i nieco uspokojony wrócił do łóżka.

Konstanty Pawlicki wyszedł z gospody po długich godzinach ludowej zabawy. Czuł się wyjątkowo dobrze wśród ludzi, którzy okazywali mu szacunek, a nawet wdzięczność. Potrzebował chwili ciszy i skupienia po rozgadanych i rozśpiewanym tłumie robotników budowlanych. Słońce już właściwie zaszło, ale zmierzch zapadał powoli, jak to bywa w czerwcu. Droga prowadziła go do pobliskiego lasku, wśród pól z dojrzewającym zbożem, pachnących kwiatów i jedyne w swoim rodzaju zapachu ziemi. Musiał uporządkować nie tyle myśli, co uczucia. Wśród świętujących robotników był bowiem ktoś, kto dla doktora stał się na tyle wyjątkowy, że nie mógł przestać o nim myśleć. Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie, gdy wezwany do chorego Floriana roztoczył nad nim szczególną opiekę. Jeździł później do niego częściej, niż wymagała tego prowadzona terapia. Wtedy zdał sobie sprawę z własnych preferencji i własnych uczuć. Ta świadomość w pierwszej chwili była szokiem. Po pierwsze nagle stracił złudzenia co do powodu własnej niechęci wobec małżeństwa, a po drugie – z powodu osoby, którą wybrało jego serce. Florek był młodym, niewykształconym wieśniakiem. Nie potrafił nawet czytać i pisać. Dlatego Pawlicki ze wszystkich sił starał się o nim nie myśleć.

Wcześniej, wiele razy, pytali go ludzie, dlaczego się nie ożeni, dlaczego nie zakłada rodziny? Dawał wówczas wykrętne odpowiedzi typu, że się uczy, że nie ma czasu. Prawda jednak była taka, że nie interesowały go dziewczęta, żadna nie wzbudziła przyspieszonego bicia serca. Aż do chwili, gdy spotkał tego chłopaka, a właściwie młodego mężczyznę. Wyleczył go wówczas z zapalenia gardła i wszystko byłoby dobrze, gdyby Pawlicki odzyskał spokój. Ale tak nie było.

Florek pracował przy zakładaniu ogrodu wokół lecznicy, więc siłą rzeczy spotykali się w Radoliszkach. Doktor często przyglądał się z ciekawością postępującym pracom i ich niezwyklej piękności efektom. Ogród nabierał kształtów pańskiej rezydencji. Pawlicki zastanawiał się wówczas, jakim sposobem taki prosty chłopak ma tyle zmysłu estetycznego i skąd wie, jak w praktyce to urządzić. Szczerze mówiąc, szukał okazji, by choć z daleka zobaczyć miłą mu osobę. Czasem zamienili parę zdań, ale Konstanty bardzo pilnował własnych zachowań, by nie zdradzić się w żaden sposób. Florek zawsze był bardzo serdeczny w kontaktach z doktorem, ale nic więcej. Na co więc doktor liczył? Doskonale wiedział, że gdyby się wydało, że kocha innego mężczyznę, byłby przeklęty przez kościół i całe środowisko. Byłby przedmiotem pogardy, a nawet agresji. Nie wolno do tego dopuścić! Tylko co zrobić z tym głupim sercem? Narastała w nim rozpacz i wszechogarniający wstyd. Jak można sobie z czymś takim poradzić? Czy już do końca życia będzie skazany na udawanie kogoś innego wobec otoczenia

i samego siebie? Czy już nigdy nie będzie szczęśliwy? Czy samotność i zakłamanie będą mu towarzyszyć przez resztę życia?

Odwrocił myśli od osobistej tragedii i skierował je w stronę własnej rodziny. Postawił przed sobą zadanie przekonania Kamilki do podjęcia pracy w szkole. Dla niego samego miało to ogromne znaczenie, ponieważ zdjąłby z ramion obowiązek utrzymywania siostry, a może i matki. Miałby wybór, mógłby wyjechać jak najdalej od polskiego zaścianka. Najlepiej na jakąś misję w Afryce – przyszło mu do głowy. Może nie cierpiałby tak, jak tutaj. Może by zapomniał!?

Dla lekarza nie byłoby problemem wyjechać na misję, ale najłatwiej i najskuteczniej wysłał na nie swoich przedstawicieli, czyli zakonników i księży, Kościół katolicki – ta myśl zelektryzowała Pawlickiego. Świetny pomysł. Gdyby wstąpił do seminarium duchownego lub do zakonu, to nikt by nie miał do niego pretensji. Wręcz przeciwnie, zyskałby w oczach całego otoczenia. Nawet matka musiałaby się ugiąć wobec zobowiązania, jakim jest powołanie do stanu duchownego jej syna. No i mogłaby być z niego dumna.

Podniesiony na duchu postanowił skonsultować się z tutejszym proboszczem. Kto jak kto, ale ksiądz będzie wiedział, jaki zakon opiekuje się chorymi. Chyba Bonifratrzy.

Pogrążony w myślach nie słyszał zbliżających się kroków. Dopiero lekki dotyk czyjejs dłoni pomógł ocknąć się Pawlickiemu z zamyślenia.

– Pan doktor wyszedł z gospody, a ja chciałem z panem pogadać. Może przeszkadzam? – Florek patrzył w oczy doktora z wyraźną nadzieją.

Pawlicki obrócił się w stronę rozmówcy niepomiernie zaskoczony.

– Jak mnie znalazłeś?

– A bo ja już długo idę za panem doktorem, ale był pan taki zamyślony, że nie chciałem przeszkadzać. – Nieśmiałość i zażenowanie aż promieniały z młodego mężczyzny.

– Czy coś ci dolega? Może jesteś chory? – doktor zadał standartowe pytanie.

– Nie mam z kim mądrym pogadać, a wiem, że pan mi sprzyja i że mnie zrozumie, że nie będzie na mnie pomstował – zaczął Florek. – Bo mnie dolega, owszem, ale na duszy, nie na ciele.

– Mów śmiało, postaram się pomóc. – Pawlicki poczuł się w tej chwili niemal mentorem Florka. To było wyróżnienie.

– U nas we wsi jest taka dziewczyna, co mnie nachodzi, bo bardzo by chciała, cobym się z nią ożenił – zaczął swoją opowieść. – Przychodzi do mnie i przynosi różne smaczne rzeczy, pięknie się ubiera i w ogóle chce, żebym zwrócił na nią uwagę, ale ja nie mogę!

– Dlaczego? – Krótkie pytanie miało zachęcić Florka do dalszych zwierzeń.

– Bo... ja oddałem serce komuś innemu.

– No to oświadczyć się tej innej. – Pawlicki nie widział żadnego problemu.

– Nie mogę... Bo to nie jest ona, tylko on. – Florek zrobił krótką przerwę. – Znam jednego faceta, co się ożenił, ale nigdy nie kochał swojej żony i nigdy go nie pociągały kobiety. Patrząc na to niby małżeństwo i strasznie mi żal tej jego żony. To bardzo uczciwa, pracowita i bogobojna kobieta. Urodziła mu wprawdzie dwoje dzieci, ale jej

chłop ucieka z domu, kiedy tylko może, do swojego kochasia z sąsiedniej wsi. Podpatrzyłem ich kiedyś i ja bym nie chciał tak żyć. Bo co to za szczęście i dla niej, i dla niego? Nie chcę nikogo oszukiwać.

Zapadło długie milczenie, które przerwał jadący z Radolizek wóz konny. Pawlicki i Florek stali naprzeciwko siebie i czekali, aż furka ich minie. Woźnica pozdrowił doktora i dopiero gdy oddalił się na znaczną odległość, mogli kontynuować rozmowę.

– Czy wybrana przez ciebie osoba wie o twoich uczuciach? – Pawlickiemu serce biło jak szalone.

– Nie wie. Nie mam odwagi mu o tym powiedzieć – ze spuszczoną głową odpowiadał Florek.

– A może warto? – nie ustępował Pawlicki, by usłyszeć wyrok.

– Nie mogę. Boję się pogardy, odrzucenia, wyszydzenia.

Otoczyła ich cisza. Powietrze zgęstniało i świat zatrzymał się jak na zwolnionych klatkach filmu. Obaj mężczyźni stanęli wobec emocji przekraczających ludzką wytrzymałość. Tylko urywane, splotone oddechy świadczyły dobitnie o burzy uczuć równie bolesnej dla nich obu. Przerwał milczenie Konstanty. Nie chciał dłużej kontynuować tego niezwykle trudnego tematu.

– Rozumiem, że jest ci bardzo ciężko, ale niewiele mogę ci pomóc. Możesz jednak być pewny, że cię nie potępiam i że nie zdradzę twojego sekretu. – Po chwili przerwy zmienił temat. – Zauważyłem u ciebie duże zdolności plastyczne i ogrodnicze. Nie myślałeś nigdy o nauczaniu się przede wszystkim czytania i pisania?

– Rodzice nie wysyłali mnie do szkoły, bo niby po co? Było za daleko i za drogo. – Florek nieco ochłonął po przeżytych emocjach. – Chciałbym się uczyć, ale teraz jest już za późno.

– Wcale nie! – prawie wykrzyknął Pawlicki. – Od września moja siostra prawdopodobnie będzie uczyła w radoliskiej szkole, więc i ty mógłbyś do niej uczęszczać.

– Z dziećmi? – Teraz Florek patrzył na Konstantego, podejrzewając, że z niego kpi.

– A czy to nie jest wszystko jedno, kto będzie się uczył oprócz ciebie? Poza tym ty będziesz robił postępy o wiele szybciej, więc szybciej skończysz szkołę.

Po powrocie do Warszawy Wilczur wpadł w wir przygotowań do balu dobroczynnego. Pan minister zdrowia publicznego postarał się o nadanie rozgłosu planowanemu wydarzeniu. Grzał się w słońcu projektu Wilczura, podkreślając własne zaangażowanie i przekonanie o konieczności dbania o zdrowie społeczeństwa. Tym sposobem nie tylko on sam, ale i profesor Wilczur udzielali niekończących się wywiadów: pierwszy z pobudek politycznych, drugi z przymusu. Profesor wymigał się nie raz od czczej paplaniny, zasłaniając się obowiązkami zawodowymi. W końcu był lekarzem i nie mógł ani nie chciał zrezygnować z leczenia.

– Zdrowie i życie ludzkie jest najważniejsze – powtarzał jak mantrę.

Dla Leszka, jako koordynatora projektu, znaczyło to konieczność składania bardzo wielu wizyt, gdzie był przyjmowany jako odkrycie towarzyskie. Śmietanka towarzyska Warszawy postawiła sobie za punkt honoru zapraszanie pana hrabiego na rauty, wieczorynki i inne spotkania, jak by się nie nazywały. Ważne, że jego obecność gwarantowała odpowiedni prestiż. Początkowo przyjmował zaproszenia chętnie. Doskonale się czuł, jak gwiazda kina, zwłaszcza że był komplementowany ze wszystkich stron. Z czasem jednak zaczął się wykręcać, bo z doświadczenia wiedział, że będzie zasypywany pytaniami o sprawy fundacji i osobiste. Był znakomitą partią i kawalerem do wzięcia, więc na każdym spotkaniu był otoczony wianuszkami panien na wydaniu. Prowadził wyszukane rozmowy, nawet trochę flirtował, ale poza oficjalnymi spotkaniami nie umawiał się z żadną z nich.

Sytuacja w domu Joli i Stefci uległa znacznej poprawie. Ojciec przestał się interesować swoimi córkami pod każdym względem, a praca zarobkowa matki pozwoliła dziewczętom kontynuować naukę. Było jednak coś, co zaczęło niepokoić panienki. Ojciec zniknął z domu na wiele godzin, a wracał jedynie po to, by coś zjeść. Matka przeprowadziła się do pokoiku opuszczonego przez Stefcię, więc ona również odzyskała nieco spokoju. Nadal jednak prała porozrzucane przez męża brudne rzeczy, nadal gotowała, robiła zakupy. Dziewczynki pomagały, jak mogły, po przyjściu ze szkoły. Przykładały się również do odrabiania zadań domowych dużo chętniej niż wcześniej.

Dla Joli to był niezwykle czas kiełkującego uczucia wobec policjanta Marka. Jakoś tak, przez przypadek, już kilkakrotnie spotykali się, gdy wracała z siostrą ze szkoły. Marek pytał je o sytuację w domu, a dziewczynki były bardzo szczęśliwe, że jest ktoś, kto je rozumie i się o nie troszczy. Początkowy wstyd zaczął ustępować. Opowiedziały mu także o tym, że ojciec codziennie wychodzi z domu na wiele godzin. Wiedziały, że nie pracuje zawodowo, bo nadal korzystał z pracy swojej żony i nigdy nie przynosił do domu pieniędzy. Może szukał pracy?

Marek doskonale wiedział, czym zajmuje się były nauczyciel. Wielokrotnie śledził podopiecznego i zdawał sobie sprawę, że obiektem jego zainteresowania jest panna Maria Wilczurówna. Był nawet świadkiem próby uprowadzenia Marysi, ale na szczęście nie była sama. Towarzyszyła jej koleżanka Krysia, więc agresor musiał się wycofać. Marek za każdym razem zdawał relację swojemu przełożonemu i tym samym prokuratorowi.

Któregoś dnia, w połowie czerwca, zebrali się zainteresowani, aby omówić sytuację i opracować plan działania. Nie ulegało wątpliwości, że wcześniej czy później agresor zaatakuje. Nie wiedzieli, gdzie ani kiedy, ale znali przynajmniej potencjalną ofiarę napaści. Byli również świadomi, że nie uda im się oskarżyć chemika za gwałty, ponieważ żadna z ofiar nie zdecydowała się na współpracę z policją. W trakcie rozmowy, oprócz prokuratora, komendanta i Marka, byli również obecni policjanci,

którzy docierali do pokrzywdzonych uczennic. Należeli wprawdzie do komisariatu odpowiedniego dla miejsca zanieśzkania Wilczurów, ale w tej sytuacji zostali oddelegowani do prowadzenia wspólnej sprawy. Podzielili się wówczas spostrzeżeniem, że żadna z dziewcząt nie zaszła w ciążę. Zastanawiali się, jak to jest możliwe, skoro ten człowiek był ojcem dwójki dzieci? Może to tylko czysty przypadek, tak zwane szczęście w nieszczęściu? Ustalono ciągłą obserwację podejrzanego. Spierali się natomiast ostro w kwestii powiadomienia bądź nie ojca Marysi i jej samej. Ostatecznie prokurator podjął się przeprowadzenia rozmowy z profesorem Wilczurem. Zadzwoił więc niezwłocznie, aby poprosić go o złożenie wizyty na komisariacie. Jako powód zaproszenia podał bezpieczeństwo jego córki. Ku ogólnemu zaskoczeniu, profesor zjawił się na komisariacie w ciągu pół godziny. Po pierwsze zaintrygował go temat, po drugie mógł śmiało odmówić kolejnej prośbie dziennikarzy o wywiad, a w lecznicy nie był na razie potrzebny.

– Dzień dobry, panie profesorze – przywitał Wilczura prokurator. – Dziękuję bardzo, że zechciał się pan pofatygować. Jestem prokuratorem i nazywam się Zenobi Kalbarski. Oto jest pan świadkiem posiedzenia kryzysowego. – Zatoczył ręką koło i przedstawił obecne na spotkaniu osoby: komendant posterunku Krzywonos, jego podwładny Marek i dwóch policjantów z zaprzyjaźnionego posterunku Jacek i Daniel.

– Dzień dobry panom, proszę mi wyjaśnić, dlaczego uważacie, że moja córka jest w niebezpieczeństwie. – Rafał Wilczur był wyraźnie zaniepokojony. – Wiem od niej samej, że jest przez kogoś śledzona, ale nie udało jej się zobaczyć twarzy swojego prześladowcy. Przyznaję, że początkowo zlekceważyłem opowieści Marysi, ale teraz...

– My za to doskonale wiemy, kto to jest. – Pan komendant zmarszczył czoło. – To jest bardzo niebezpieczny człowiek. Zanim jednak przejdziemy do wyjaśnień, muszę pana prosić o całkowitą dyskrecję. Nic, co tutaj ustalimy, nie może wyjść poza mury tego posterunku.

– Dyskrecja jest częścią mojego zawodu. – Wilczur lekko się uśmiechnął. – Kto by chciał się u mnie leczyć, gdybym opowiadał postronnym osobom o dolegliwościach moich pacjentów?

– Dlatego dopuszczamy pana do ustaleń i nie ukrywam, że liczymy na współpracę z pańskiej strony – dodał prokurator. – Przy okazji pragnę panu wyjaśnić, że pańska córka i moja siostrzenica są zaprzyjaźnione. Siedziały w jednej ławce w szkole. To właśnie one zwróciły się do mnie o pomoc jakieś cztery miesiące temu.

– To pan jest wujkiem Krysi! – Profesor z przyjemnością spojrział na surowe oblicze prokuratora. – Przemiała panienka, bardzo ją polubiłem.

– Dziękuję. Jak pan widzi, mam nie tylko obowiązek zawodowy, by zapobiec nieszczęściu, ale mam też powody osobiste. – Pan Zenobi usiadł obok Wilczura, prostując i tak już proste plecy.

W tej chwili wszedł do gabinetu szeregowy policjant. Chciał coś powiedzieć, ale nieznacznie się skrzywił, pociągając nosem. Wilczur zauważył ten gest, więc wstał i otworzył okno.

– Nadymiliście tutaj, panowie, a to nie jest zbyt dobre dla zdrowia – skomentował Wilczur.

– Mówiłem, żeby nam nie przeszkadzać. – Komendant ostro potraktował wejście policjanta. – Twoja sprawa może poczekać, ale skoro tu jesteś, to przygotuj nam wszystkim po filiżance kawy i skocz po bułeczki drożdżowe. Nasze spotkanie może się nieco przeciągnąć – zwrócił się do zebranych osób, odprawiając policjanta gestem dłoni.

Komendant Krzywonos był zażywnym mężczyzną około czterdziestu pięciu lat z widoczną nadwagą. Miał okrągły brzuch i sumiaste wąsy, które dodawały mu powagi i wieku. Widać było, że traktuje poważnie swoje stanowisko i wiążącą się z nim władzę. Obecność prokuratora zwiększała jeszcze jego potrzebę wykazania się sprawnością i skutecznością. Może po tej sprawie dostanie awans? Nigdy nie wiadomo.

– Muszę panu pokrótce wyjaśnić okoliczności tej sprawy – zwrócił się do Wilczura pan Zenobi. – Krysia i Marysia zauważyły, że niektóre koleżanki rezygnowały ze szkoły bez podania przyczyn. W tym czasie ich nauczyciel chemii próbował na wiele sposobów nakłonić pańską córkę do korepetycji, ale Marysia stanowczo odmawiała. Mam wrażenie, że panienka ma świetną intuicję. – Prokurator rozpoczął zapoznanie Wilczura z okolicznościami.

– Ach... – głęboko wciągnął powietrze profesor – to nie jest żadna intuicja, ona po prostu wiedziała.

– Skąd? – wyrwało się wszystkim obecnym panom jednocześnie.

– No tak, powinniście wiedzieć wszystko. Nie zdradzę niczyjego sekretu. – Zrobił małą przerwę, by właściwie ubrać w słowa to, o czym chciał powiedzieć. – Otóż Marysia towarzyszyła mi w lecznicy na kilka dni przed rozpoczęciem nowego semestru w szkole. Jeszcze w styczniu. Była tam świadkiem wyjątkowo przykrego incydentu, gdy tuż po porodzie młoda matka odrzucała swojego synka i nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Nam, lekarzom, nie udało się nawiązać kontaktu z tą kobietą, ale Marysi owszem. Po długiej rozmowie, gdy było już po wszystkim i gdy matka przytulała i karmiła malutkiego synka, zapytałem Marysię, jak jej się to udało. Odpowiedziała tylko, że ta kobieta jej zaufała i że nie może zdradzić treści rozmowy. Podejrzewam, że to było spotkanie z ofiarą gwałciiciela i wtedy Marysia mogła poznać jego nazwisko. Dlatego gdy w szkole usłyszała, jak nazywa się nauczyciel chemii, z łatwością skojarzyła fakty.

– A może ta kobieta wniosłaby oskarżenie i złożyła zeznania? Mielibyśmy jakiś punkt zaczepienia. Przecież mamy do czynienia z seryjnym gwałciicielem!!! – Prokurator był pełen nadziei.

– Z całą pewnością nie. – Wilczur tylko pokręcił głową. – Ona jest mężatką. Nie możemy jej rujnować życia.

– Prawdopodobnie młoda matka myślała, że urodziła dziecko gwałciiciela i dlatego je odrzucała. – Policjant Jacek domyślał się treści marysinej rozmowy. – Sęk w tym, że żadna z dziewcząt pokrzywdzonych przez tego bandytę nie zaszła w ciążę – tak wynika

z naszych dochodzeń, moich i kolegi Daniela. Panie profesorze, proszę nam to wyjaśnić – zwrócił się do Wilczura. – Czy to jest możliwe? On ma przecież dwie córki.

– Jest możliwe – odparł Wilczur zdziwiony i pełen uznania dla docieklowości młodego policjanta. – Jedną z poważniejszych przyczyn bezpłodności u mężczyzn w dorosłym wieku jest świnka, a właściwie powikłania po tej chorobie. Tylko nie wiemy, czy on tę chorobę przechodził.

– To ja się dowiem – zgłosił się na ochotnika Marek. – Może jego córki będą wiedziały coś na ten temat. Mam z nimi dobry kontakt.

W tej chwili otworzyły się drzwi i dyżurny policjant wniósł parujące filiżanki z kawą i bułeczki drożdżowe. Chwila przerwy dobrze zrobiła wszystkim panom. Musieli się zastanowić, co dalej. Jak unieszkodliwić przestępcę, skoro ofiary milczą jak zakłęte?

– Można by zrobić prowokację – komendant myślał intensywnie nad rozwiązaniem. – Podstawilibyśmy naszą agentkę i złapali gagatka na gorącym uczynku.

– I dostanie w sądzie zarzut usiłowania gwałtu, co nie jest specjalnie wysoko karane – prokurator miał wątpliwości natury prawnej. – Wyjdzie z więzienia po paru miesiącach i będzie kontynuował swój nieczny proceder.

– Gdy pan komendant zaproponował prowokację, to przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Czy wolno mi mówić? – Marek zwrócił się do komendanta.

– Jasne, mów, co ci chodzi po głowie. – Komendant z aprobatą spojrział na podwładnego.

– Niecałe dwa lata temu, jeszcze w Szkole Policyjnej, czytałem sprawozdania z amerykańskiego procesu szefa mafii Ala Capone. Mimo ogromnych starań chicagowskiej policji, udało mu się udowodnić jedynie niepłacenie podatków, choć wszyscy wiedzieli, że ma na sumieniu dużo poważniejsze przestępstwa, a nawet zbrodnie. Przyczyna była taka sama, z jaką my się stykamy – nikt nie chciał przeciwko niemu zeznawać.

– No i co z tego? – niecierpliwił się komendant.

– Nie możemy udowodnić tego przestępstwa, to może uda się udowodnić inne. – Marek wyobrażał sobie, co by to mogło być. – Próbowałem nakłonić jego żonę do złożenia zawiadomienia o przemoc domowej. Niestety nie zgodziła się, mimo że to jest święta prawda.

– Panie prokuratorze – włączył się w dyskusję Wilczur – za jakie przestępstwa groziłby mu dużo wyższy wyrok?

– Na przykład za napad z bronią w rękę od dwóch do dwunastu lat pozbawienia wolności – wyrecytował prokurator. – Nawet za usiłowanie porwania można dostać do piętnastu lat więzienia. Podejrzewam – kontynuował – że aby skrzywdzić Marysię, będzie musiał ją porwać.

– Niestety zgadzam się z panem. – Wilczur zaczął zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji. – To straszne, natychmiast ją wyślę z Warszawy do majątku znajomych. Tam będzie bezpieczna.

– Jest pan pewny? – Komendant podniósł brwi wobec przejawu naiwności doktora. – Cała Warszawa opowiada o zbliżającym się balu dobroczynnym. O pana córce i pana

fundacji rozpisują się gazety. Ustalenie miejsca pobytu panny Marii nie będzie problemem. I kto ją obroni na tej prowincji?

– A kto ją obroni tutaj? – nie ustępował Wilczur.

– My – zgodnym chórem wykrzyknęli policjanci.

– Tutaj będzie chroniona jak sam prezydent. – Daniel nie miał co do tego wątpliwości.

– Jak pierwszy prezydent Gabriel Narutowicz w dwudziestym drugim roku? – profesor bezlitośnie przypomniał udany zamach na życie prezydenta RP.

– My mamy przewagę, bo wiemy, kto ma dokonać tego zamachu i możemy wstępnie przyjąć, że bał na Zamku Królewskim będzie dla tego zbrodniarza doskonałą okazją. Będzie zamieszanie, wielu ludzi, którzy się wzajemnie nie znają. – Komendant Krzywonos próbował przekonać ojca, że córce nic się nie stanie. – Możemy panu obiecać, że w trakcie balu wszystkie służby specjalne i oczywiście policja będą postawione w stan pełnej gotowości. Rozdamy fotografie podejrzanego, informując o możliwym zamachu na ministra zdrowia. To zawsze działa. Nasi chłopcy potrafią zachowywać się dyskretnie i wkroczyć we właściwej chwili.

– Chcecie z mojej córki zrobić przynętę? – Wilczur za żadne skarby świata nie chciał się na to zgodzić.

– Pan wybaczy, panie profesorze, ale panna Marysia już jest potencjalną ofiarą napaści. – Prokurator bezlitośnie obnażył smutną rzeczywistość. – Proszę się zgodzić, abyśmy mogli ustalić szczegóły ochrony pańskiej córki.

Zapadło długie milczenie, w trakcie którego wszystkie oczy przedstawicieli prawa były zwrócone na profesora Wilczura. On zaś wstał, podszedł do okna, obracając się tyłem do pozostałych, jakby chciał przez chwilę zostać sam, by przemyśleć otrzymaną informację. Patrząc na spacerujących przechodniów pod budynkiem posterunku policji, pomyślał o tych młodych dziewczynach, ofiarach potwora, które przez resztę życia będą borykać się ze wspomnieniem przemocy i być może nigdy nie zazną prawdziwego szczęścia w małżeństwie. Pomyślał również o swoim nieszczęściu, o odejściu Beaty. Wydawało mu się wtedy, że nic gorszego nie może człowieka spotkać, a przecież to, z czym się teraz mierzył, było po wielokroć straszniejsze i mogło dotyczyć też jego ukochanej córki. Ta właśnie myśl przeważała. Trzeba temu położyć kres.

– Zgoda, panowie. – Odwrócił się od okna i omiół spojrzeniem twarze przedstawicieli prawa. – Ufam, że dołożycie wszelkich starań, by zapewnić bezpieczeństwo mojej córce.

Przez drogę powrotną do domu Wilczur myślał intensywnie nad sposobami zapewnienia Mariolce bezpieczeństwa. Policja policją, a przecież my sami też możemy coś zrobić – pomyślał „my”, mając na myśli siebie i resztę domowników. To Leszek spędzał z Marysią najwięcej czasu w ciągu dnia, gdy wypisywali listy z zaproszeniami. Wieczorami Marysia nigdzie nie wychodziła, a jeśli nawet, to on sam jej towarzyszył.

Jak ma jednak postąpić, skoro obiecał dyskrecję policji? Mimo wątpliwości, postanowił działać.

– Dzień dobry, Mariolko. Jadłaś już obiad?

– Nie, tatusiu, czekałam na ciebie. – Marysia jak zwykle przywitała się gorąco z ojcem, idąc w konkury z Wigą, która z nich serdeczniej powita pana domu.

– No to siadajmy do stołu. – Michałowa z lokajem Bronisławem natychmiast wnieśli pachnącą zupę cebulową i przystawki.

Wilczur zjadł zupę bardzo szybko i wstał, kierując się do kuchni. Marysia na szczęście została przy stole, więc miał okazję porozmawiać ze służbą.

– Dowiedziałem się właśnie, że grasuje po okolicy szajka złodziei. Dlatego zwiększamy bezpieczeństwo domu. Furtka ma być zamknięta również w ciągu dnia, więc proszę zainstalować dzwonek elektryczny u drzwi i nie otwierać nikomu nieznanemu. Gdyby panienka chciała wyjść sama do miasta, to bezwzględnie ktoś z was musi jej towarzyszyć. Zrozumieliście?

– Zrozumieliśmy – odpowiedzieli chórem.

– Dziękuję wam. Wiem, że mogę na was liczyć. – Po tej krótkiej wymianie zdań profesor wrócił do stołu.

Obiad upłynął w miłej atmosferze, bo Marysia opowiadała ojcu o dokonanych i planowanych zakupach na bal. Poza tym poinformowała go, że wybiera się z Krysią po zakup odpowiednich bucików do sukni balowej.

– Oczywiście, kochanie – ojciec nie miał nic przeciwko temu – jednak towarzyszyć ci będzie Michałowa. Tak na wszelki wypadek. W końcu nie wypada, by panienka z dobrego domu sama chodziła po mieście.

– Dobrze, tatusiu – zgodziła się nieco zdziwiona Marysia.

Prokurator wyszedł z komisariatu zaraz po Wilczurze. Chwilę później komendant Krzywonos podniósł słuchawkę i centrala połączyła go z innym komendantem – przełożonym Jacka i Daniela. Pozostali w pomieszczeniu szeregowi policjanci usłyszeli krótką i prostą umowę między przełożonymi. W zamian za Jacka i Daniela do zaprzyjaźnionego komisariatu przeniesieni zostali dwaj inni policjanci. W ten sposób trzej obecni przy tym mundurowi stali się jedną drużyną pod jednym zwierzchnictwem.

– Im mniej osób wie o postępach śledztwa, tym lepiej – wyjaśnił Krzywonos. – Teraz jesteście zobowiązani do całkowitej dyskrecji i do dzielenia się każdym szczegółem z nami i tylko z nami. Marku, twoim zadaniem jest monitorowanie rodziny. Dowiedz się przy okazji, czy jej członkowie chorowali na świnkę. To w zasadzie jest choroba dziecięca, ale dorosły też mógł się zarazić. Wy dwaj – zwrócił się do Jacka i Daniela – macie śledzić podejrzanego na zmianę. Składajcie raporty codziennie. Chcę wiedzieć wszystko: dokąd chodzi, z kim się spotyka, co kupuje itp. Do roboty! – zakończył spotkanie komendant.

Przy Alei Bzów furka została zaopatrzona w zamek elektryczny i nawet w małą latarenkę, która nocą oświetlała wejście do domu. Te przygotowania nie mogły ująć uwadze Marysi. Kilka dni później zapytała ojca wprost:

– Co się dzieje, tatusiu? Nie wolno mi samej wychodzić z domu, furka ma być zamknięta nawet w ciągu dnia. Czy coś nam grozi?

– No tak – profesor westchnął głęboko nieco zawstydzony – nie doceniłem cię, córeczko. – Zrobił znaczącą przerwę i kontynuował: – Dowiedziałem się od znajomego policjanta, że grasuje po okolicy jakaś szajka złodziei. Policja prosiła mnie o wzmożone środki bezpieczeństwa. Nie martw się, jestem w stałym kontakcie z tutejszymi funkcjonariuszami. Oni robią akcję, by złapać tych przestępców na gorącym uczynku. Na razie nie mogą ich zamknąć, bo nie mają wystarczających dowodów. Dlatego nasza dzielnica jest pod stałą obserwacją. Podobno plan działania już został przez policję opracowany.

– To znaczy, że ja też muszę uważać. Może ten, co mnie śledzi, należy do tej szajki? – Marysia zaczęła kojarzyć fakty.

– Może. – Wilczur przerwał rozmowę, bo właśnie Michałowa odebrała telefon z lecznicy.

Ile razy podchodzę w okolice Alei Bzów, tyle razy kręci się jakiś pijak – monologował niezadowolony. – Nawet w takiej eleganckiej dzielnicy menelstwo się rozprzestrzeniło, a policja nic z tym nie robi. Nie no, jaka policja? Lepiej, że nie widać mundurowych, jeszcze by się przyczepili do mnie. Zaraz, do mnie nikt się nie przyczepi, bo nie ma powodu. Chyba każdy może sobie spacerować, gdzie chce, a ja wyglądam bardzo porządnie. W końcu jestem porządnym obywatelem. – Podopieczny ekipy komendanta Krzywonośa bez wątpienia miał dobre zdanie na swój temat. – Jakoś nie mam szczęścia. Ta cała Maryśka wymknęła mi się parę dni temu, a już wyglądało na to, że ją dopadnę. Stała obok bramy, przed sklepem, już miałem ją schwytać, aż tu nagle pojawiła się jakaś koleżanka. I po prostu sobie poszły. Niech to piekło pochłonie. Teraz nigdzie nie chodzi sama, to jak tu znaleźć okazję? Jedyne szansa będzie przed balem albo po nim. Prędeż po, bo ludzie wtedy nie zwracają uwagi na otoczenie. Co by tu zrobić, żeby wejść na teren Zamku? Może wystarczy się elegancko ubrać, udawać zaproszonego gościa i wtopić się w tłum? Tylko skąd ja wezmę smoking? Moje szkolne garnitury nie nadają się na taką okazję. Przydałyby się jeszcze jakieś wąsy i peruka, a to wszystko mają na pewno w teatrze! Jak od nich wypożyczyć? Będą sknery chcieli pieniędzy. Skąd wziąć pieniądze? Przecież żona zarabia, to sobie wezmę, jak pójdzie do pracy. W końcu jak ja pracowałem, to dostawała ode mnie. Teraz jej kolej, by zaspokajać moje potrzeby.

Uznał, że na dzisiaj dosyć warowania pod domem Wilczurów. Zawrócił w kierunku centrum miasta. Miał do przemyślenia i zorganizowania dużo spraw. Wcześniej nigdy

nie potrzebował uprowadzać pańienek. Same do niego przychodziły. Teraz to co innego. Poczul solidne podniecenie na myśl o dostaniu w ręce tej pannicy. Ogłuszy ją, zwiąże i zawiezie do wynajętej już dawno temu komórki na narzędzia, parę przecznic od własnego mieszkania. Tylko jak zawieźć? Aha, zwyczajnie, dorożką. Wynajmie się dorożkę i fiaker może zaczekać. Można mu powiedzieć, że panna się upiła i trzeba ją odprowadzić do domu. A jak już będzie w komórce, to się zabawi. Chore wizje podpowiadały mu różne sposoby dręczenia i znęcania się nad Marysią. Będzie ją brał jeszcze i jeszcze...

W efekcie musiał wrócić do domu, żeby zmienić spodnie.

Uroczysty koniec roku szkolnego jest bez wątpienia najprzyjemniejszym dniem w ciągu roku. Jola i Stefcia włożyły przygotowane przez matkę granatowe plisowane spódniczki i białe bluzeczki. Dyrektorka szkoły uroczyście rozdała nagrody wyróżnionym uczennicom. Świadectwa szkolne wraz z serdecznymi życzeniami odpoczynku w czasie wakacji przekazały wychowawczynie poszczególnych klas i już dziewczęta mogły się cieszyć wolnością. Należy też dodać, że obie panny otrzymały promocję do następnej klasy. Koleżanki opowiadały o swoich planach wyjazdów wakacyjnych za granicę lub do rodzinnych majątków na wsi. Siostry słuchały z odrobiną zazdrości i żalu, bo przecież ich nie było stać na żaden wyjazd. Ponieważ jednak pogoda sprzyjała spacerom, bo słońce świeciło i grzało, niebo było niebieskie, nawet bez białych strzępków obłoków, więc postanowiły odwiedzić swoją ławeczkę pod pomnikiem Chopina. Należy dodać uczciwie, że Jola liczyła na ponowne spotkanie z Markiem. I nie zawiodła się. Ledwie zdążyły usiąść, gdy policjant pojawił się.

– Witam pańienki bardzo serdecznie – zaczął z głębokim ukłonem. – Widzę świadectwa szkolne w waszych rękach. Czy pochwalicie się swoimi ocenami? Mogę zobaczyć?

– Nie mam się czym chwalić – niezbyt uprzejmie zaczęła Stefcia, chowając świadectwo do torebki. – Może Jola?

– Proszę. – Jola podała arkusik papieru Markowi. – Wiem, że stać mnie na więcej, ale ten rok był bardzo trudny dla nas obu. Dzięki Bogu Stefci udało się nadrobić zaległości z kilku przedmiotów.

– Gratuluję. Taką okazję należy oblać – Marek szeroko uśmiechnął się do obu pańienek – zapraszam więc na lody do pobliskiej cukierni. – Widząc stropione miny, szybko uzupełnił: – Oczywiście ja stawiam. W końcu ja jestem mężczyzną i zarabiam, a wy nie.

– Dziękujemy. Jaki pan jest dla nas dobry. – Stefcia rozjaśniła się jak słońeczko na myśl o lodach.

Znaleźli niewielką kawiarenkę i złożyli zamówienie.

– Powiedziałaś, że ten rok był dla was trudny, i ja to świetnie rozumiem – Marek zwrócił się bezpośrednio do Joli. – Pragnę jednak zapytać o minione lata. Czy były

równie trudne? Ostatnie trzy – wiem dlaczego, ale wcześniej?

Jola patrzyła na Marka i myśli jej się mąciły. Obecność tego wspaniałego mężczyzny wytrącała ją z równowagi. O co on pyta? – pomyślała.

– O ile pamiętam, to jakieś pięć lat temu chorowaliśmy wszyscy, z wyjątkiem mamy. Najpierw zachorowała Stefcia, potem ja, ostatni ojciec, ale my wyzdrowialiśmy szybko, za to ojciec miał jakieś powikłania i długo leżał w łóżku. Mama powiedziała, że świnka jest chorobą dzieci, więc dorośli gorzej ją przechodzą. To był trudny czas, bo nie wolno nam było chodzić do szkoły, żeby nie zarazić innych.

– Nie pytam bez powodu. – Marek spowaźniał, zmarszczył czoło i postanowił podzielić się z dziewczętami ważną informacją. – Czy zdajecie sobie sprawę, że to, co zrobił wam ojciec, mogło mieć naturalne następstwa?

– Naturalne następstwa? – Stefcia nie rozumiała, o czym on mówi.

– Stefciu – Jola zrozumiała od razu – nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiałam, ale teraz dziękujemy Bogu, że nie doszło do poczęcia. Mogłyśmy mieć dzieci z własnym ojcem!!!

– Ale tak się nie stało. – Marek uznał, że dziewczęta powinny znać prawdę. – To świnka sprawiła, że wasz ojciec nie będzie miał więcej dzieci. Czy wybaczycie mi, panienki, moją szczerłość?

– Czy wybaczymy? – Jola nie wiedziała, jak ma dziękować. – Ta informacja wiele dla nas znaczy. Po stokroć dziękuję, że pan to powiedział. Przechodziło mi tylko czasem przez myśl, że ze mną jest coś nie tak. Teraz wiem, że to nieprawda. Czuję wszechogarniającą ulgę. – Jola patrzyła na Marka z takim uwielbieniem, że nie mógł tego nie zauważyć. – Nie miałam z kim o tym porozmawiać. Jeszcze raz panu dziękuję.

Po wyjściu z kawiarni Marek odprowadził dziewczęta do domu, po czym zaczął intensywnie myśleć nad konsekwencjami zawodowego zlecenia. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Jola jest nim zainteresowana. A co z jego uczuciami? Oczywiście było mu żal dziewczyny. Została już niezłe skrzywdzona przez los. Teraz jednak należało położyć kres dalszym kontaktom, zanim będzie za późno. Ale czy już nie jest za późno? Nie wiedziała przecież, że jego zainteresowanie nią i jej sprawami wynika z zadania, które mu zlecono. No dobrze, może nie tylko dlatego. Gdyby nagle zerwał kontakt, nie rozumiałaby, co się dzieje. Najprawdopodobniej szukałaby winy w sobie i bardzo cierpiała. Podejrzał ponadto, że nie pozwolono by mu zerwać kontaktu ze względu na toczące się śledztwo.

Ale się wpakowałem w sytuację bez wyjścia – pomyślał bezradnie. – Każde rozwiązanie jest złe. Powiedzenie jej prawdy byłoby jeszcze gorsze. To jest mądra i wrażliwa dziewczyna. Ma w sobie tyle wdzięku. Jej pozorna nieśmiałość aż łapie za serce, choć wiem, że ma siłę do walki, gdy zajdzie potrzeba. Żadna z dotychczas poznanych panien nie dorównywała Joli pod żadnym względem. Na razie nic nie zmieniamy – zdecydował. – Kto wie, co z tego wyniknie? – Postanowił zawierzyć losowi i skierował kroki do komisariatu, by złożyć sprawozdanie ze spotkania.

Mniej więcej na tydzień przed balem zjawił się u Wilczurów Leszek. Nie było żadnych powodów formalnych, więc musiała być jakaś inna przyczyna. Okazało się, że postanowił zapytać Marysię, czy zgodzi się, aby to on towarzyszył jej na uroczystości.

– Ponieważ wszyscy będziemy uczestniczyć w tym samym wydarzeniu, więc pomyślałem, że mimo zerwanych zaręczyn nadal pozostajemy przyjaciółmi, a przynajmniej współnikami, i możemy pójść na bal jako jedna drużyna. Jeśli oczywiście nie mają państwo nic przeciwko temu – zapytał oficjalnym tonem.

– Myślałam, że zaprosiłeś już jakąś pannę. – Marysia była zdumiona tą nieoczekiwaną propozycją.

– Nie było takiej potrzeby – Leszek wyjaśniał swoje stanowisko. – Ty jesteś z moich stron, dlatego twoje towarzystwo jest dla mnie bardziej odpowiednie.

– Ale ja już zdecydowałam, że pójdę na bal z moim tatą – Marysia bez entuzjazmu odniosła się do propozycji Leszka.

– Mną się, córeczko, nie przejmuj. – Wilczur bagatelizująco machnął ręką. – Zaproszę którąś z moich współpracownic.

– Jeśli tak, to chętnie się zgadzam – wyrwało się Marysi to słowo „chętnie”, ale nie mogła już go cofnąć.

– Dziękuję. Spotkamy się na balu. – Leszek uklonił się i skierował do wyjścia.

Rafał Wilczur tylko częściowo uczestniczył w przygotowaniach do balu. Wszystkie niezbędne akcesoria już dawno były zgromadzone, ale on sam myślał nie o ubraniu, tylko o osobie, która mogłaby mu towarzyszyć. Chciał już dawno zaprosić pannę Małgosię Janowiczówną, ale obiecał towarzyszyć córce, nie wiedział również, jak to przyjmie księgowa Dobrzańska. Nie chciał jej sprawić przykrości. Tymczasem to właśnie pani Dobrzańska zadzwoniła, by porozmawiać z profesorem.

– Dzień dobry, panie profesorze. Ostatnim razem, gdy był pan w Radoliszkach, powiedział pan coś takiego: „Chciałbym zaprosić na bal obie panie, ale mogę zaprosić tylko jedną osobę towarzyszącą”. Zrozumieliśmy, że same mamy dokonać wyboru. Dzwonię, żeby powiedzieć, że Małgosia została wybrana przez aklamację. Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z takiego werdyktu. Ja zaś mam już za sobą czas ugania się za towarzyskimi atrakcjami. Małgosia wyjedzie jeszcze dzisiaj, nocnym pociągiem, bo musi sobie kupić odpowiednią suknię. Czy zgadza się pan na to?

– Dziękuję pani. – Wilczur kolejny raz przekonał się, że ma niezrównaną współpracownicę. – Wyślę rano Franka na kolej, by odebrał pannę Janowiczównę. Pozdrawiam serdecznie obie panie.

Odłożył słuchawkę niezwykle zadowolony. Kamień spadł mu z serca. Kobiety mają jakiś szósty zmysł – pomyślał – bo dostrzegają i rozumieją więcej, niż by się człowiekowi wydawało. Wtedy, w Radoliszkach, nie powiedział, że tą osobą towarzyszącą ma być jego córka. Tymczasem takie niedopowiedzenie zaowocowało

pomyślnym rozwiązaniem sytuacji. Równocześnie pomyślał, że Mariolka mogłaby pomóc pannie Małgosi w zakupach na bal.

– Córeczko – zwrócił się do Mariolki, wchodząc do salonu – jutro przyjeżdża panna Janowiczówna i zatrzyma się u nas. Będzie moją osobą towarzyszącą na balu. Chciałbym, abyś pomogła jej znaleźć i kupić odpowiednią suknię.

– Oj tatusiu, jak ja się cieszę, że nie będziesz sam na balu. Miałam wyrzuty sumienia, że ja mam parę, a ty nie. Oczywiście, że pójdziemy razem na zakupy. – Marysia z zaskoczeniem patrzyła na błyszczące oczy ojca i jego zadowoloną minę.

– Doskonale. Wychodzę do lecznicy, bo już tam na mnie czekają. Jest tak pięknie na dworze. Wyjdź, kochanie, do ogrodowej altanki. Skoro Franek wypieścił nasz ogródek, to warto by było skorzystać z jego pracy – powiedział Wilczur, zamykając za sobą drzwi wejściowe.

Altanka ogrodowa była zbudowana jeszcze za czasów matki Marysi. Cała drewniana, miała kształt sześcioboku i spadzisty dach w kolorze zieleni. Drewniane ławki okalały wewnętrzne ściany w taki sposób, że z każdej strony był łatwy dostęp do stołu na jednej nodze usytuowanego na środku pomieszczenia. Do połowy wysokości altanka była zasłonięta ściśle przylegającymi deskami, ale od połowy po dach zdobiły ją ażurowe listewki. Przez te wszystkie lata bujnie rozrósł się bluszcz posadzony wzdłuż pięciu boków. Nawet wejście było nieco przysłonięte zwisającymi pędami. Obok altanki wyrósł krzak jaśminu, który o tej porze roku kwitł i pachniał bez opamiętania.

Do altanki pierwsza wbiegła Wiga, poszczekując z zadowolenia. Za nią Michałowa wniosła filiżankę i dzbanek kawy. Marysia usiadła z książką w rękę, by delektować się chłodnym cieniem w tym upalnym dniu. Ciszę przerywały jedynie odgłosy ulicy, ale w pewnej chwili pies podbiegł do siatki ogrodzeniowej, zaczął histerycznie szczeleć i warczeć z nosem przyklejonym do parkanu. Zaniepokojona Marysia podniosła głowę i zobaczyła oddalającą się postać jakiegoś mężczyzny, na którego szczeleła Wiga.

To ten człowiek, który mnie śledził, gdy jeszcze chodziłam do szkoły – przemknęło jej przez myśl. Zerwała się z ławki i podbiegła do furtki. Ale prześladowcy już nie było.

Niech to wszyscy diabli – monologował wściekły, że znów musi uciekać. – O mały włos by mnie rozpoznała. Ten ich kundel ma nosa, nic mu nie zrobiłem, a i tak na mnie warczał. Może by mu tak podać trutkę na szczury? Ale trutkę też trzeba kupić – szybko się zreflektował – a ja mam ważniejsze sprawy na głowie. Potrzebuję pieniędzy, bo wypożyczenie ubrania z teatru, opłacenie fiakra, to wszystko kosztuje. Nie stać mnie na nic! Próbowałem mojej ślubnej wziąć trochę grosza, ale okazało się, że ona wszystkie pieniądze trzyma przy sobie. Okropna sknera, kompletnie bezużyteczna, do niczego się nie nadaje. – Skręcił w małą, chłodną uliczkę cały spocony, bo czerwiec tego roku był bardzo gorący.

Skąd wziąć pieniądze? – po raz setny zadawał sobie to pytanie. Można kogoś okraść, ale nie miał niestety wprawy w dokonywaniu kradzieży. Można zrobić napad na jakiś

sklep, ale bez broni nikt się nim nie będzie przejmował i szybko go złapią. Można kogoś porwać. – Jakby tak uprowadzić jakiegoś smarkacza z bogatego domu, schować go w komórce, następnie wysłać wiadomość do jego rodziców, żeby nie zawiadamiali policji, bo ukręcę dzieciakowi łebek. Zapłacą, nie ma obawy – rechotał bezgłośnie, delektując się swoimi genialnymi pomysłami. – Z tym jest za dużo zachodu! – skrzywił się i zreflektował. – Nie, nie będę ryzykować. A może by tak sprzedać coś wartościowego? Już wiem! Teściowa dała mojej żonie starą, złotą kolia w dniu ślubu. No to właściwie należy do mnie. Wystarczy ją wziąć i sprzedać w jakimś lombardzie.

Podniesiony na duchu skierował się w stronę domu, aby przeszukać schowki swojej żony. Wiedział oczywiście, gdzie żona trzyma biżuterię, ale miała jej tak mało, że kolia od matki była chyba jedyną wartościową rzeczą, jaką posiadała.

Kiedy panna Małgosia Janowiczówna przyjechała do Warszawy, pozostały raptem dwa dni do balu. Po niezbędnym odpoczynku po podóży wybrały się więc z Marysią na zakupy balowej garderoby. Marysia początkowo zaproponowała najelegantszy w tym czasie Dom Mody Herse przy ulicy Marszałkowskiej 150, gdzie ubierały się gwiazdy ekranu i żony polityków. Małgosia jednak wolała coś skromniejszego i... tańszego. Odwiedziły więc pracownice krawieckie: „Ewelina” przy ulicy Chmielnej, a następnie „Ludwika” na Nowym Świecie. W tym ostatnim miejscu trafiły na suknię balową, której nie odebrała jakaś klientka i która pasowała idealnie do figury Małgosi. Była dosyć droga, ale warta każdej złotówki, jak to skomentowała Marysia. Na szczęście w tym czasie przestał obowiązywać w modzie kanon chłopczycy, więc kreacja miała dopasowaną talię i podkreślała kobiece walory w każdym calu. Drepcząca za nimi Michałowa zbierała cierpliwie wszystkie pudła z zakupami: suknią, rękawiczkami, bucikami, kapelusikiem itp. Wzięły dorożkę, by wrócić do domu.

Następny dzień był jednym z najprzyjemniejszych, jakie przeżyła Marysia. Przede wszystkim dlatego, że ojciec nie wyszedł jak zwykle do pracy, tylko dotrzymał towarzystwa obu panienkom. Profesor i Małgorzata wspominali cały czas minione lata, gdy jeszcze pracowali razem w warszawskiej lecznicy. Ponieważ panna Małgorzata zatrudniona była od samego początku, gdy lecznica dopiero powstawała, więc pamiętała wiele ciekawych historyjek. Opowiedziała Marysi na przykład o zjawieniu się po pomoc lekarską znanej piosenkarki Zuli Pogorzelskiej, która straciła głos po balandze suto zakrapianej alkoholem. To był luty, a panienska wyszła przed restaurację bez płaszcza i kapelusza. Efekt był łatwy do przewidzenia. Miała wysoką temperaturę i Wilczur postanowił ją zatrzymać na obserwacji. Okazało się, że zrobił bardzo dobrze, bo Zula musiała przejść operację gardła. Po operacji straciła swój sopran i odtąd śpiewała nieco schrypniętym głosem, ale trzeba przyznać, że nie zaszkodziło to jej w karierze. Panna Małgosia wspominała istne trzęsienie ziemi spowodowane przez wielbicieli Zuli. Do lecznicy przynoszono całe naręcza kwiatów, dziesiątki liścików z wyznaniemmi miłosnymi, propozycjami małżeństwa i życzeniami szybkiego powrotu

do zdrowia. Po korytarzach kręcili się dziennikarze, bo po występach w kabarecie Qui Pro Quo Zula była osobą bardzo znaną i wszystko, co jej dotyczyło, interesowało też czytelników. Trzeba uczciwie przyznać, że ten rozgłos przydał się też samej lecznicy. Od tego czasu była uważana za jedną z najlepszych w Warszawie.

Wrócił do domu, dźwigając wielką torbę, którą natychmiast zaniósł do swojego pokoju. Wszedł do kuchni, nalał sobie ugotowanej przez żonę zupy, zjadł ją pospiesznie i zażądał:

– Wynoście mi się wszystkie z domu. Ani chwili spokoju człowiek nie może zaznać. Chcę zostać sam, chociaż na parę godzin. Zbierajcie się, no, już. – Wykonał zamasztyst w kierunku drzwi.

– Dopiero wróciłam z pracy. Chcę odpocząć – protestowała żona.

– To odpocznieś na spacerze. – Złapał ją za rękę i popchnął w kierunku drzwi. – Wy też idźcie sobie – zwrócił się do córek. – I nie wracać do domu przed dwudziestą.

Kiedy za kobietami zamknęły się drzwi, zaczął rozpakowywać przyniesione rzeczy. Był tam wypożyczony smoking, peruka i wąsy do przyklejenia. Miał również przybory do makijażu, aby upodobnić się do znanego biznesmena z fotografii umieszczonej w gazecie. Proces przygotowania tej maskarady zajął mu faktycznie sporo czasu. Kiedy skończył, mógł uchodzić za szacownego obywatela z wyższych sfer. Zbliżała się już godzina dwudziesta, więc pospiesznie wyszedł z domu, zatrzymał przejeżdżającą dorożkę i kazał się zawieźć pod Zamek Królewski. Na miejscu wysiadł i kazał dorożkarzowi czekać we wskazanym, niezbyt widocznym miejscu.

Tego dnia Daniel był przydzielony do dyskretnej eskorty podejrzanego. Widział oczywiście, jak wchodzi do domu, widział jego wychodzącą rodzinę, ale potem przez długi czas nic się nie działo. Nieco znudzony, nie zwrócił uwagi na eleganckiego jegomościa, który wyszedł z bramy i wsiadł do dorożki. Wkrótce wróciły do domu trzy panie, ale nadal nic się nie wydarzyło.

Przygotowania do balu w domu Wilczura rozpoczęły się już rano, gdy przyszła fryzjerka, by uczesać obie panny. Marysia po chorobie miała nadal krótkie włosy, ale było to zgodne z obowiązującą modą. Małgosia miała włosy o wiele dłuższe, ale obie dziewczyny zostały uczesane niezwykle atrakcyjnie, bo wokół ich twarzy kręciły się loki, nadając ich buziom bardzo kobiecy wyraz.

Po zjedzeniu obiadu przeniosły się do sypialni, gdzie już czekały gotowe do włożenia suknie balowe.

– Chciałabym włożyć naszójnik mojej mamy. Czy zechce mi pani doradzić, który będzie najlepiej pasował do mojej sukni? – zwróciła się do Małgosi, rozsypując na toaletce zawartość szkatułki.

– Panno Marysiu, niech panienka najpierw włoży suknię, byśmy mogły ocenić efekt końcowy.

– W takim razie panią też poproszę o zaprezentowanie swojej sukni. Może coś się wybierze również dla pani? – Marysia z radością dzieliła się wszystkim, co miała.

Mimo obowiązującej mody obie suknie były długie, sięgały do kostek. I Marysia, i Małgosia, tradycyjnie wychowane, uważały, że bal w Zamku Królewskim wymaga długiej sukni. Teraz już ubrane stanęły przed lustrem, podziwiając krój i kunszt wykonania swoich kreacji. Zaczęły przymierzać naszyjniki i każda z nich wybrała odpowiedni dla siebie. Wystarczyło dodać pasujące kolczyki, włożyć buciki i były gotowe na bal. Usiadły na chwilę w wygodnych krzesłach, kładąc na kolanach kapelusze.

– Tak jakoś wspominam teraz moją kochaną mamę. – Marysię naszły refleksje nad przemijaniem. – Gdyby żyła, byłaby chyba szczęśliwa, że jej córka może uczestniczyć w wydarzeniu wielkiego świata. Chociaż ona sama, mając to wszystko, wybrała bardzo skromne życie, byle tylko być razem z ukochanym mężczyzną. Nigdy nie zrozumieć, jak mogła nie kochać mego ojca.

– Wiesz, Marysienko, ja też tego nie jestem w stanie pojąć. Twój ojciec jest według mnie prawdziwym ideałem mężczyzny – podchwyciła Małgosia.

– Kiedy włożyłam tę kolbę, to tak, jakbym ją wzięła ze sobą na bal. Jakby moja mama była przy mnie – kontynuowała Marysia, wsłuchana we własne myśli.

Zeszły do salonu, aby napić się kawy i zjeść coś lekkiego. Dołączył do nich Wilczur i aż oniemiał z zachwyty.

– Córeczko, wyglądasz olśniewająco. Wszyscy kawalerowie będą się za tobą oglądać, więc pozwól sobie na zabawę z różnymi młodzieńcami, nie tylko z Leszkiem. Niech do niego dotrze, co stracił. – Ojciec zrobiliby wszystko, by jego ukochana córka dobrze się bawiła i poznała nowych ludzi, bo Leszek obecnie nie był jego ulubieńcem.

– A panna Małgorzata będzie chyba królową balu. – Rafał Wilczur nie mógł oderwać wzroku od swojej współpracownicy. Niepokojąco szybko zabiło mu serce. Jakaż ona piękna, kiedy ją zobaczyłem po trzynastu latach, wyglądała jak szara myszka, a teraz wygląda jak księżna pani, monologował w myślach zauroczony. – Jestem zaszczycony, że zechciała mi pani towarzyszyć.

– To ja się czuję zaszczycona, że mogę stąpać u boku tak wspaniałego mężczyzny. Z pewnością będzie pan najelegantszym uczestnikiem balu – Małgosia odwzajemniła się komplementem i wszyscy radośnie się roześmieli.

Wkrótce czystym samochodem zajechał przed furtkę Franek, sam ubrany w elegancką liberię, godną piastowanego stanowiska szofera. Cała trójka wsiadła do samochodu, skierowali się do Zamku Królewskiego. Oprócz nich, przyjeżdżali zaproszeni dostojni goście, zarówno powozami, jak i samochodami. A niektórzy po prostu dorożką. Kolorowy, elegancki tłum wlewał się w szeroko otwartą bramę Zamku. Przed wejściem czekał już na Marysię Leszek wraz z rodzicami. Wszyscy obecni dobrze się znali, więc w tłumie zupełnie obcych osób powitali się jak najlepsi przyjaciele, wylewnie i serdecznie. Nawet Leszek przywitał się ciepło ze wszystkimi, skłonił się

dostojnie i podał Marysi ramię. Starsi państwo poszli przodem, bo Leszek zatrzymał się, by móc nacieszyć oczy widokiem Marysi.

– Po raz pierwszy widzę cię tak pięknie ubraną – zaczął niezbyt zgrabnie. – Masz nawet prawdziwe kamienie na szyi.

– To jest naszyjnik po mojej mamie. W tej chwili jestem cenną osobą. – Marysia kpiąco spojrzała na Leszka. – Ty też wyglądasz ładnie. Może już pójdziemy?

Sala Wielka Zamku Królewskiego zrobiła na Marysi ogromne wrażenie. Trzysta dwadzieścia jeden metrów kwadratowych królewskiej sali balowej olśniewało złotymi stiukami i błyszczącymi, kryształowymi kandelabrami. Pod plafonem pędzla Marcella Bacciarellego przechadzający się ludzie nabierali królewskiego dostojęstwa. Zamówiona orkiestra czekała na znak rozpoczęcia balu. Wcześniej jednak do mikrofonu podszedł pan minister, by przywitać zaproszonych gości i wygłosić krótkie przemówienie. Mówił o projekcie poprawy warunków opieki medycznej na prowincji w taki sposób, jakby to było jego dzieło. Zachęcił wszystkich obecnych do hojności na ten zacny cel. Następnie poprosił Wilczura o powiedzenie paru słów.

– Szanowni państwo, dziękuję, że zechcieliście przyjść tu dzisiaj. Dla mnie znaczy to tyle, że popieracie pomoc medyczną najuboższym. Przez wiele lat mojej włości po prowincji widziałem wielkie ubóstwo i wiele zaniedbań wobec tych, których nie stać na lekarza. Widziałem dzieci pozbawione podstawowych szczepień ochronnych umierające na choroby zakaźne. Zebraliśmy się tu jednak po to, by choć w części zaradzić złu. Jeszcze raz dziękuję i życzę dobrej zabawy. – Rozległy się gromkie brawa, a Wilczur przekazał mikrofon Leszkowi.

– Witam szanownych państwa. Mam zaszczyt reprezentować Fundację „Nadzieja”, która zbiera pieniądze na dokończenie budowy lecznicy w Radoliszkach oraz na jej utrzymanie. Pragnę jedynie podkreślić, że każdy wpłacony przez państwa grosz zostanie wykorzystany zgodnie z przeznaczeniem. Z góry gorąco dziękuję. Szczególne podziękowania należą się panu ministrowi za jego zaangażowanie w przygotowanie tego balu. To jego pomysł i inicjatywa pozwoliły nam spotkać się w najpiękniejszym i najbardziej szacownym miejscu naszej historii, w Zamku Królewskim. – Ukłonił się grzecznie i dostał brawa równie gorące jak te, które rozległy się po wystąpieniu Wilczura.

Dyrygent podniósł batutę i odezwały się pierwsze takty wstępu do poloneza „Pożegnanie ojczyzny” Michała Kleofasa Ogińskiego. Wszystkie pary ustawiły się długim szeregiem, z ministrem i jego żoną na czele. W następnych parach byli Wilczur z Małgosią, Eleonora i Stanisław Czyńscy, Leszek i Marysia, doktor Dobraniecki z żoną, Jan Wedel z żoną, sąsiedzi z Ludwikowa, wujostwo Karscy, prokurator Zenobi Kalbarski z żoną oraz wielu, wielu innych zaproszonych gości. Kiedy korowód ruszył, atmosfera balu stała się tak podniosła, jak na ważnej patriotycznej imprezie. Dostojne kroki tańczących uwydatniały eleganckie stroje pań i panów, połyskiwały klejnoty. Słychać było szelest jedwabnych sukien i kroki wyglancowanych butów i bucików.

Zarówno Marysia, jak i Leszek całą duszą odbierali niezwykłość tej chwili. Dotyk rąk złączonych w tańcu był naładowany iskrami namiętności. Wypieki na twarzy Marysi

dobitnie świadczyły o jej zaangażowaniu, a Leszek był równocześnie podekscytowany i onieśmielony. Ona jest jedyna na świecie, nie jestem w stanie zamienić Marysi na jakąkolwiek inną pannę. Co ja najlepszego zrobiłem? – bił się z myślami, pilnując równocześnie kroków poloneza.

Po pierwszym tańcu zaproszono zebranych do poczęstowania się przygotowanymi daniami w przyległych salach. Wszystko było pięknie udekorowane i wyglądało bardzo smakowicie. Bażanty, pieczone prosięta, szczupak po żydowsku, sałatki z owocami morza, kawior, całe góry truskawek i oczekujące na swoją kolej ciasta, torty i inne smakołyki. Obsługa sprawnie serwowała wybrane dania do niewielkich stolików rozstawionych wokół przyległych sal. To była właśnie chwila na podejmowanie rozmów, ustalanie działań i na wszelkie porozumienia, tak polityczne, jak i biznesowe.

Marysia z zainteresowaniem obserwowała zgromadzonych ludzi. Zatrzymała wzrok również na obsłudze. Pomyślała wówczas, że ci lokaje bardziej przypominają służby specjalne niż pracowników gastronomii. Byli wyprostowani, czujni, obserwujący. Nie wszyscy, ale... Sama sobie odpowiedziała, że tam, gdzie jest przedstawiciel rządu, tam musi być również jego ochrona. Jakoś nieracjonalnie poczuła się bezpieczna, choć policjanci mieli chronić nie ją, tylko ministra.

Jako dodatkowa atrakcja rozpoczął się mini koncert Zuli Pogorzelskiej, której kiedyś Wilczur uratował głos. Jej występ był również dobroczynny, o czym poinformowała publiczność z przyjemnością, traktując to wyznanie jako świetną reklamę. Odśpiewała swoje największe przeboje: „Panna Mania gra na mandolinie”, „Ja nie mam co na siebie włożyć”, „Ja się boję sama spać”, „Ta mała piła dziś i jest wstawiona”, „Mały Gigolo”. W tym czasie obsługa serwowała drinki, bo alkoholu było bardzo wiele i różnego rodzaju. Dzięki temu atmosfera się rozluźniła i po występie Zuli pary wróciły na parkiet, początkowo w rytmie walca, ale później w takt nowoczesnych przebojów typu charlston czy swing.

Kolejną atrakcją balu była loteria fantowa. Każdy, kto kupił los na loterii, coś wygrywał. Fantami były darowizny od zamożnych uczestników balu i nie tylko. Kiedy wszystkie fanty zostały rozdzielone, zaczęła się licytacja darowizn pod tytułem „Kto da więcej”. Każdy z obecnych chciał się pokazać jako ten najhojniejszy darczyńca. Pod czujnym okiem policji w cywilu zbierano pieniądze do specjalnej puszkki. Leszek, jako sekretarz fundacji, skrupulatnie notował, kto i ile wpłacił. Miała to być podstawa do późniejszych rozliczeń i oczywiście podziękowań.

Wszystkie atrakcje balu były komentowane na bieżąco przez Polskie Radio, a dziennikarze robili zdjęcia i pospiesznie pisali relacje, by zdążyć na wydanie porannej prasy. Pan minister urastał w nich do roli dobrodzieja ludzkości.

Było już po godzinie drugiej w nocy. Czekający na zapłatę dorożkarz zaczynał się niecierpliwić, a biedny koń spał na stojąco.

– Ja już będę zjeżdżał. Pan sobie znajdzie inną dorożkę – odezwał się burkliwie do eleganta, który nie wziął udziału w balu, a tylko stał oparty o murek ogrodu.

– To już niedługo. Zobacz, ludzie zaczynają wychodzić. Moja znajoma też zaraz wyjdzie. Dostaniesz dodatkowe pięć złotych za fatygę.

Dodatkowe pięć złotych było nie lada argumentem, więc fiakier westchnął głęboko i pogrzążył się w drzemce, z rezygnacją decydując się na cierpliwość.

Służby specjalne i policja doskonale widziały eleganckiego jegomościa, który zatrzymał dorożkę, by na kogoś czekać. Funkcjonariusze mieli fotografie domniemanego zamachowca, ale po porównaniu wizerunku ze zdjęcia z twarzą czekającego człowieka uznali, że to nie on i zostawili go w spokoju, kierując swoją uwagę na wychodzących powoli z Zamku gości.

Po wyjściu z sali balowej ludzie chętnie przystawali na zewnątrz, oddychając świeżym powietrzem. Była cudowna czerwcowa noc. Niebo było usiane gwiazdami, księżyc w nowiu świecił mało, ale okoliczne latarnie z powodzeniem zastępowały jego blask.

Do grupki Wilczura, Czyńskich i ich dzieci podszedł w pewnej chwili pan Jan Wedel. Chciał podziękować Marysi za świetny pomysł urodzenia kamieni nerkowych z pomocą piwa. Ponieważ temat był raczej poufny, zaczęli rozmawiać, równocześnie oddalając się od reszty towarzystwa. Marysia cieszyła się ogromnie, że mogła pomóc, że mogła ułatwić proces zdrowienia pana Jana. On z kolei wypytywał o postępy w budowie lecznicy w Radoliszkach. Odchodzili powoli od głównego tłumu, chcąc się dobrze słyszeć, bo wokoło panował szum głosów, nawoływania stangretów i śmiechy nieco podchmielonych gości. Ponieważ oboje byli zmęczeni po dniu pełnym wrażeń, pożegnali się wkrótce, gdy do pana Wedla podeszła jego żona. Małżeństwo skierowało się do czekającego na nich samochodu. Marysia pomachała im ręką na pożegnanie. Nie zdążyła zrobić nawet dwóch kroków, by wrócić do swoich, gdy poczuła uderzenie w głowę i straciła przytomność. Napastnik przerzucił sobie ciało dziewczyny przez ramię jak zimowy płaszcz i wolnym krokiem, wśród otaczającego tłumu, zaniósł ją do dorożki.

– Panna się upiła – poinformował dorożkarza. – Jedziemy.

– Gdzie jest Marysia? – pierwszy zorientował się w sytuacji jej ojciec. – Dokąd ona poszła? Czy ktoś ją widział? – dopytywał, zaniepokojony, wszystkich obecnych.

– Rozmawiała przed chwilą z panem Wedlem – pani Czyńska pokazała ręką, gdzie ich ostatnio wyraźnie widziała – ale później odwróciłam wzrok, słuchając opowiadania Leszka o zebranych na lecznicę funduszach.

– Gdzie jest policja? – Wilczur poczuł ogarniającą go panikę. – Mieli jej pilnować.

– Pilnować Marysi? – Leszek otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. – Czy coś jej groziło?

– Groziło i nadal grozi. Wyjaśnię ci, ale nie teraz. Policja!!! – zawołał na cały głos. Od pobliskiego murka oderwali się dwaj funkcjonariusze.

– Czy coś się stało? – dopytywali.

– Moja córka została porwana, a mieliście ją chronić. – Wilczur z rozpaczą myślał o konsekwencjach tego, co się stało.

– My mieliśmy chronić pana ministra – zdziwił się posterunkowy.

– Znajdźcie ludzi od komendanta Krzywonośa. Oni wszystko wiedzą. Szybko – Wilczur histerycznie poganiał zdezorientowanych policjantów.

Ruszyli wszyscy, by przepytać ludzi zebranych na Placu Zamkowym, czy nie widzieli młodej panienki w sukni balowej koloru bzu. Znalazł się jakiś przytomny starszy pan, który powiedział, że widział, jak jakiś mężczyzna niósł na ramieniu młodą kobietę w kierunku dorożki. Miała na sobie suknię koloru bzu. Pomyślał nawet, że następuje upadek obyczajów, skoro młodzi upijają się do nieprzytomności. W czasie tej rozmowy dołączyli policjanci Jacek i Marek. Darek nadal pilnował mieszkania porywacza. Natychmiast podjęli akcję poszukiwawczą. Zadając trafne pytania, dowiedzieli się, że elegancki mężczyzna z wąsami czekał razem z dorożką przez cały czas trwania balu. Policjanci, uzbrojeni w fotografię podejrzanego, oświadczyli, że nie był do niego podobny.

– Wracajcie państwo do domu. – Marek wziął na siebie poszukiwania. – Może sama wróci. A my znajdziemy tego dorożkarza i dowiemy się, dokąd zabrał pannę Marysię.

– Jedziemy do domu. – Wilczur był zrozpaczony. – Jak ja mogłem jej nie upilnować – wyrzucił sobie jeszcze i jeszcze.

W salonie domu profesora zebrali się wszyscy razem, by obmyślić plan działania. Nikt nie był śpiący, a Michałowa przyniosła gorącą kawę dla rozjaśnienia umysłu. Najpierw Wilczur opowiedział o zagrożeniu ze strony byłego nauczyciela chemii. To Marysia go zdemaskowała, więc prawdopodobnie teraz zamierza się zemścić. Jak go znaleźć? – to pytanie zadawali sobie wszyscy.

– Mam pewien pomysł – odezwał się Leszek, poszarzały na twarzy. – Jedyną istotą, która najprędzej doprowadzi nas do Marysi, jest jej pies, Wiga. – Prosty, a zarazem genialny pomysł poderwał całe towarzystwo.

– Zostańcie tutaj – profesor zwrócił się do państwa Czyńskich i Małgosi. – Tylko ja i Leszek będziemy jej czynnie szukać. – Założył Widze obrożę i podetknął pod nos jeszcze nieupraną bluzkę. – Szukaj, piesku, swojej pani, szukaj.

Po pustych ulicach Warszawy dotarli szybko na Plac Zamkowy. Franek nie przejmował się wcale ograniczeniem prędkości na drogach. Zresztą w tym czasie nikt się specjalnie nie przejmował. Kiedy wysiedli z samochodu, trafili na Marka, który jeszcze pytał ludzi o moment porwania. Zrezygnował szybko z indagowania potencjalnych świadków i dołączył do grupy Wilczura. Bluzka Marysi stała się drogowskazem dla Wigi. Nie wiedzieli dokładnie, w którym miejscu stała Marysia, gdy ją uprowadzono. Przez dłuższą chwilę Wiga szukała śladu, zdezorientowana ogromną ilością różnych zapachów. Po kilku minutach niepewności inteligentny pies złapał trop i bez chwili wahania pobiegł w wybranym przez siebie kierunku. Doprowadził

mężczyzn do miejsca, gdzie Marysia prawdopodobnie została wepchnięta do dorożki, i głośno zawarczał. Następnie ruszył jak po sznurku drogą, z nosem przy samej ziemi.

– Jaki to mądry pies – Marek nie mógł wyjść z zachwytu. – On nas prowadzi, śledząc drogę dorożki. Mam nadzieję, że się nie myli.

– Ona po prostu Marysię kocha. – Wilczur zerknął na Leszka z lekkim wyrzutem. – W trudnych sytuacjach na psa można zawsze liczyć.

Mineło już sporo czasu od porwania. Na niebie pokazała się zapowiedź świtu. Zrobiło się jaśniej, a obłoki poróżnowały. Mężczyźni jednak byli wpatrzeni w psa, zachęcając go do dalszych wysiłków. Wszyscy trzej doskonale wiedzieli, po co Marysia została porwana. Leszkowi robiło się na przemian zimno i gorąco, gdy wyobraził sobie swoją ukochaną w rękach tego potwora.

Dotarli do dzielnicy, w której mieszkał porywacz, ale Wiga prowadziła ich trochę dalej, kierując się do ubogich mieszkań komunalnych i podwórzowych komórek. Kiedy znaleźli się w pobliżu domu pod obserwacją, Marek pobiegł, by sprowadzić do pomocy kolegę Daniela. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

W pewnej chwili Wiga wyrwała smycz i pognąła do wybranej komórki. Zaczęła głośno szczeekać i drzeć pazurami drewniane drzwi. Marek i Daniel wyjęli broń i mocno zastukali.

– Policja, otwierać. – Przez moment zdawało im się, że nikogo tam nie ma, ale usłyszeli słaby jęk kobiety, a następnie odezwał się porywacz.

– Nie radzę tu wchodzić, bo ją zabiję. – Towarzyszył tym słowom rehot szaleńca. – Wynoście się, ale już, jak chcecie mieć panienczkę żywą. No bo całkiem cała to już nie będzie. – Upiorny śmiech był dowodem, że nie żartuje.

Po tym, co usłyszał, Leszek już nikogo nie pytał o zdanie. Zrobił krótki rozbieg i całą siłą, jaką dysponował i jaką dawała mu rozpacz, uderzył barkiem w drzwi, by je wyłamać. Za pierwszym razem się nie udało, ale drugą próbę wzmocnili obaj policjanci bez chwili wahania. Drzwi stanęły otworem. Uderzył ich zapach pleśni i staroci. W mroku zobaczyli wciąż przebranego w eleganckie ubranie mężczyznę z wąsami i peruką na głowie. Trzymał przed sobą Marysię jak tarczę, przykładając jej do szyi duży kuchenny nóż.

– Odłóż ten nóż i puść panienkę! – Obaj policjanci wycelowali broń w głowę porywacza.

– Nic z tego, to wy odłóżcie broń, bo się z nią rozprawię. – Skierował nóż jeszcze bliżej, tak że po szyi Marysi pociekła strużka krwi.

Na ten widok warcząca od dłuższego czasu Wiga skoczyła na napastnika, zatapiając zęby w ręce trzymającej nóż i odwracając jego uwagę. W tej właśnie chwili obaj policjanci wystrzelili. Jak później zeznawali, obaj celowali ponad głowę porywacza, by nie zranić ofiary. Sęk w tym, że któraś z kul trafiła centralnie w czoło napastnika. Jak na zwolnionym filmie osunął się na ziemię, wypuszczając z ręki nóż i uwalniając Marysię. Był martwy.

Wiga skomlała i lizała swoją panią po rękach. Leszek podbiegł do Marysi i mocno przytulił ją do serca.

– Już po wszystkim, nie martw się, Marysienko, wszystko będzie dobrze – szeptał rozdygotany, a równocześnie szczęśliwy.

Marysia jednak nie reagowała. Zastygła w pozie wpeł zgiętej, jakby nic nie słyszała i nic nie czuła. Wilczur podszedł do niej natychmiast i wyuczonymi ruchami lekarza sprawdził, czy jest cała. Objął jej głowę swoimi dłońmi i wymacał spory guz na potylicy. Suknia Mariolki była miejscami podarta i brudna, ale wszyscy obecni mężczyźni mieli nadzieję, że porywacz nie zdążył zrobić dziewczynie nic więcej niż to, co zobaczyli. Wilczur odwrócił się w kierunku policjantów i powiedział krótkie:

– Dziękuję, panowie.

Po czym wraz z Leszkiem wzięli Marysię pod rękę i zaprowadzili do samochodu, który przez cały czas jechał za nimi.

Kiedy wszyscy wrócili do domu, państwo Czyńscy pożegnali się z nimi z wielką ulgą, widząc Marysię odzyskaną dzięki psu. Leszek pokrótce opowiedział przebieg wydarzeń i zapowiedział, że będzie spał u Wilczura na kanapie. Nie opuści jej już ani na krok. Pan Czyński był zdziwiony i zadowolony, a pani Czyńska tylko zdziwiona. Oboje jednak rozumieli, że ten wstrząs musiał wpłynąć na Leszka.

– Leszku – pani Eleonora z troską spojrzała na syna – sam powiedziałeś, że ten człowiek nie żyje. Poza tym Marysia jest w bezpiecznym domu ojca. Pozwól jej dojść do siebie i sam też się wyśpij.

– Dobrze, kochana matko. Jak zwykle masz rację. – Leszek wyglądał jak przekłuty balonik.

Pojechali wszyscy troje do mieszkania Karskich zamówioną dorożką, bo Franek po całym dniu i prawie całej nocy był po prostu wykończony, a niewyspany kierowca stanowi zagrożenie dla siebie i innych. Wiadomo.

Małgosia rozebrała Marysię, pomogła jej się umyć i położyła ją do łóżka. Wilczur jeszcze raz zbadał głowę córki i stwierdził, że tym razem nie było wielkiego niebezpieczeństwa. Michałowa przyniosła wielki nóż kuchenny, by przyłożyć go do guza, ale Marysia zareagowała tylko: NIE – więc trzeba było owinąć jej głowę bandażem.

Kiedy obie kobiety wyszły z sypialni córki, ojciec przysiadł na brzegu i zadał tylko jedno pytanie:

– Czy on ci to zrobił? – Patrzył na Mariolkę z wielką troską i wielką miłością.

– Muszę odpocząć. Przepraszam. – Zamknęła oczy i przykryła się kołdrą pod samą brodę.

Jakim cudem dziennikarze dowiedzieli się o porwaniu Marysi, trudno dociec. Mają chyba szósty zmysł, no i dobrych informatorów. Poranne gazety doniosły nie tylko

najświeższe wiadomości o balu dobroczynnym na Zamku Królewskim, ale i o porwaniu panny Marii Wilczurówny przez nieznanego sprawcę. Od wczesnych godzin rozpoczął się szturm na dom Wilczura. Żeby jakoś sprawę załagodzić, profesor wyszedł i złożył krótkie oświadczenie:

– Szanowni państwo, moja córka jest już w domu cała i zdrowa. Porywacz chciał prawdopodobnie okupu, dlatego ją porwał. Wolność córki zawdzięczam dzielnym policjantom, Jackowi i Markowi z posterunku komendanta Krzywonosy. Więcej szczegółów dowiedzą się państwo z ust rzecznika Komendy Stołecznej Policji.

Żurnaliści zadawali jakieś pytania, ale Wilczur skłonił się tylko i zamknął furtkę, kończąc to spotkanie.

Telefon dzwonił bez przerwy, a cierpliwa Michałowa na zmianę z lokajem Bronisławem powtarzali w kółko, że Marysia jest bezpieczna w domu, a porywacz został unieszkodliwiony przez policję.

Dopiero wczesnym popołudniem usiedli do zasłużonego posiłku. Wraz z panną Janowiczówną mogli wymienić się wrażeniami z minionej nocy. Marysia była blada, z podkrążonymi oczami, ale już przestała być taka sztywna. Zaczęła też normalnie rozmawiać. Jeszcze nie bardzo chciała opowiedzieć o całym wydarzeniu, za to prosiła ojca, aby wyjaśnił, skąd miał kontakt z policją. Wilczur zdawał sobie sprawę, że córka ma prawo wiedzieć o podejrzeniach i przygotowaniach mundurowych. Opowiedział więc o skutkach, jakie wywołała prośba Krysi i Marysi skierowana do prokuratora.

– Śledztwo potwierdziło ponad wszelką wątpliwość, że człowiek, który skrzywdził kobietę w szpitalu, i nauczyciel chemii to ta sama osoba. Policjanci dotarli do wszystkich pokrzywdzonych dziewcząt dzięki współpracy z dyrektorem Lemańską. Niestety dziewczęta nie chciały złożyć zawiadomienia na policję. Wezwali mnie któregoś dnia na komendę, by przedstawić groźbę sytuacji. Wszyscy wiedzieli, że ten człowiek jest niebezpieczny, ale nie można mu było postawić zarzutów, bo nikt nie chciał przeciwko niemu zeznawać. Przy okazji śledczy dowiedzieli się, że żadna z dziewcząt nie zaszła w ciążę. Policjant Marek zapytał, jak to jest możliwe, więc odpowiedziałem, że dorosły mężczyzna, gdy zachoruje na świnkę, może mieć upośledzone zdolności rozrodcze. Po tej rozmowie Marek kontaktował się z córkami tego pana i dowiedział się, że ich ojciec faktycznie chorował na świnkę.

– Tatku kochany – Marysia ożywiła się gwałtownie – nie masz pojęcia, jakie ta wiadomość ma znaczenie dla Moniki, tej kobiety ze szpitala, z którą rozmawiałam. Skoro tyle wiesz, to mogę ci, tatku, powiedzieć, że ona myślała, że synek nie jest jej męża, dlatego tak rozpaczała. Teraz muszę się z nią zobaczyć. Czy wiesz, gdzie ona mieszka?

– Ja nie wiem, ale w szpitalu na pewno będą wiedzieć. Jeśli chcesz, to możemy pójść razem i zapytać.

– Czy wolno mi jeszcze trochę nadużyć państwa gościnności? Otóż pragnę odwiedzić moich sąsiadów z kamienicy, gdzie mieszkałam. Zawsze okazywali mi wiele życzliwości, więc pragnę im teraz podziękować – odezwała się nieśmiało Małgosia.

– Ależ nie ma mowy o nadużywaniu gościnności. Życzę, panno Małgosiu, miłego popołudnia. Proszę jedynie o dyskrecję w sprawie napastnika Marysi. Oficjalna wersja to napad w celu uzyskania okupu i jej się wszyscy trzymamy. – Wilczur miał poważną minę.

– Oczywiście. Doskonale rozumiem.

Franek też zdążył się już wyspać, więc wsiedli do samochodu i odwiedzili lecznicę. Sekretarka bez oporów podyktowała im adres pacjentki Moniki. Mieszkała w podwarszawskim Otwocku. Nie namyślając się wiele, postanowili zawieźć tę dobrą nowinę młodej mamie jak najszybciej.

Otwock jest niezwykłym miejscem na mapie Mazowsza. Ma swój mikroklimat, który leczy, dlatego usytuowano tam sanatoria przeciwgruźlicze. Gdy wyjechali z miasta, rozwarły się przed nimi uprawne pola z kłosami zbóż ciężkimi od ziarna. Mijali pojedyncze chatki zatopione w gąszczu bzów i drzew owocowych. Wkrótce pojawił się na horyzoncie pas lasu, który przyciągał chłodem i spokojem. Dojechali do miasteczka bez większych problemów, znaleźli odpowiedni dom pod wskazanym adresem i już pukali do furtki. Otworzyła im właśnie Monika, trzymając w ramionach swego już półrocznego synka. Na widok Marysi rozjaśniła twarz w serdecznym uśmiechu. Odezwał się jednak Wilczur.

– Dzień dobry, pani Moniko. Wybraliśmy się na wycieczkę i postanowiliśmy odwiedzić panią i synka. Jak się czujecie? – zadał standardowe pytanie.

– Dzień dobry państwu, zapraszam serdecznie. Zaraz zawołam męża, który przecież jeszcze Marysi nie zna, ale z panem profesorem rozmawiał w lecznicy po moim porodzie.

Weszli do starego dworku jeszcze z czasów powstania stycziowego i ogarnął ich przyjemny chłód. Stare meble miały w sobie urok dawnych mistrzów stolarstwa, którzy kochając swój fach, tworzyli prawdziwe arcydzieła. Usiedli przy stole w bawialni, a Monika położyła synka do łóżeczka.

– Pójdę po męża, bo on właśnie nadzoruje naprawę płotu. Krowa sąsiadów uznała parę dni temu, że nasza trawa jest smaczniejsza. – Roześmiała się serdecznie.

– Witam miłych i nieoczekiwanych gości. – Po chwili do pokoju wszedł mąż Moniki, dobrze zbudowany pan pod trzydziestkę, z wyrazem zadowolenia na twarzy. – Widzę, że Marian zabawia naszych gości. – Spojrzał na synka z dumą. – Co państwa do nas sprowadza? – zadał oczywiste pytanie.

– Wybraliśmy się z tatą na wycieczkę za miasto i to ja właśnie poprosiłam o odwiedzenie państwa. – Marysia zwróciła się bezpośrednio do pana domu. – Poznałyśmy się z pańską żoną, gdy przebywała w lecznicy, a ja ją bardzo polubiłam, więc chciałam wiedzieć, co u niej słychać. Przepraszam za to nieoczekiwane najście.

– To dla nas wielka przyjemność i wielki zaszczyt. – Tata Marianka nie udawał, naprawdę cieszył się z tego spotkania.

– Czy pozwolą panowie, że Monika pokaże mi swoje gospodarstwo? Będziemy miały okazję troszkę poplotkować. – Marysia chciała wyciągnąć kobietę spod oka męża.

– Ależ oczywiście, pospacerujcie sobie po ogrodzie. Papierówki są już dojrzałe, więc częstujcie się, proszę.

– Jedną chwileczkę, Marysiu, podam tylko panom domową lemoniadkę. Mamy bardzo dobrą wodę źródlaną w naszej studni. – Z tymi słowami Monika zniknęła na chwilę w kuchni, by przynieść następnie kryształowy dzbanek z lemoniadą i szklanki. Mały Marianek został włożony do wózek i dziewczyny mogły pójść na spacer wokół domu.

– Czy jest jakiś szczególny powód, że mnie odnalazłaś? – Monika była bystrą młodą kobietą.

– Jest powód, który dla ciebie może być wybawieniem. Otóż wiem na pewno, że Marianek jest synem twojego męża.

– Skąd wiesz?! – Ten wykrzyknik mówił więcej o znaczeniu tego, co usłyszała, niż jakiegokolwiek słowa.

Marysia szczegółowo opowiedziała o skojarzeniu nazwiska krzywdziciela z nazwiskiem nauczyciela chemii, o odkryciu uprawianego procederu na terenie szkoły, o dziewczętach, które nagle rezygnowały z nauki. Opowiedziała o własnych problemach z tym człowiekiem, o jego zwolnieniu z pracy, a następnie o jego obsesji na jej punkcie. Zakończyła relacją z balu dobroczynnego, porwania i uwolnienia jej przez policję. Największe zasługi miał oczywiście ulubiony pies, Wiga.

– To policja odkryła, że chorował na świnkę, dlatego żadna z dziewcząt nie zaszła w ciążę. A gdy policjanci weszli do komórki i zobaczyli, że grozi mi nożem, zabili go, bo nie chciał odłożyć ostrza – Marysia skończyła opowieść uspokajającą nowiną.

– Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka – Monika znalazła odpowiednią pointę.

Komendant Krzywonos przeczytał w porannej prasie sensacyjną wiadomość o porwaniu panny Marii Wilczurówny i jakkolwiek była właśnie niedziela, wezwał do komendy swoich współpracowników: Marka, Jacka i Daniela. Musiał jak najszybciej zapoznać się z raportem o wszystkim, co się zdarzyło minionej nocy. Wszyscy trzej policjanci zjawili się wezwani przez swoich kolegów i choć byli niewyspani, rozumieli powagę sytuacji.

– Raporty mają być na moim biurku jeszcze dzisiaj – zaczął gniewnie komendant. – Teraz raportować mi po kolei. Pierwszy Daniel, bo ty miałeś pilnować domu i podejrzanego.

– Panie komendancie, pilnowałem przez te wszystkie godziny, ale on wszedł do domu i nie wyszedł. Myślałem, że cały czas jest w środku. – Daniel uważał, że nie ma o czym mówić.

– Oczywiście, że wyszedł, tylko w przebraniu! – Jacek, zirytowany, patrzył na swojego kolegę. – A może widziałeś eleganckiego obywatela z wąsami, który opuszczał obserwowaną kamienicę?

– Widziałem, ale...

– To był właśnie nasz podejrzany! Przegapiliście! – Krzywonos podniósł głos, wściekły na taki brak kompetencji. – Teraz wy! – Pokazał wyciągniętym palcem na Jacka i Marka.

– Byłem cały czas na Placu Zamkowym. Wcześniej rozdaliśmy z Markiem fotografie tego mężczyzny wszystkim agentom ochrony ministra, z sugestią, że planuje na niego zamach. Pytałem później, czy widzieli kogoś podejrzanego, ale nikogo nie zauważyli, poza jakimś eleganckim obywatelem, który czekał na coś przy dorożce. Oni też nie rozpoznali tego typu. – Jacek bronił swojego kolegi.

– Ze mną było podobnie. – Marek przejął pałeczkę. – Cały czas rozglądałem się po placu, ale nic podejrzanego nie zobaczyłem. Dopiero po balu, jak ludzie zaczęli opuszczać Zamek, usłyszałem wołanie: „policja”. Zanim podbiegłem, już agenci rozmawiali z profesorem, że jego córka została porwana. Ale oni nic nie wiedzieli, że chronić należy pannę Marię.

– To był błąd z naszej strony, trzeba było im powiedzieć – włączył się Jacek.

– Jaki błąd? – Komendant aż kipiał ze złości. – Myślisz, że służby specjalne nie spytałyby, o co chodzi? Myślisz, że nie kazaliby ujawnić prawdziwej przyczyny polowania na podejrzanego? Myślisz, że udałoby się utrzymać w tajemnicy, że cała armia pańienek została poszkodowana? Od początku wiedzieliśmy, że musimy utrzymać sprawę w ukryciu ze względu na ofiary. Dalej, raportować.

– Odesłałem szokowaną rodzinę do domu, żeby móc prowadzić rozpoznanie – kontynuował Marek.

– Mnie udało się trafić na jakiegoś bystrego dżentelmena – włączył się Jacek – który widział, jak panna Marysia była niesiona do dorożki. Mam zapisane jego personalia. Prawdopodobnie porywacz ogłuszył ją wcześniej. Pobiegliśmy we wskazanym kierunku, ale dorożka już zdążyła odjechać.

– Nie minęło piętnaście minut, gdy przyjechał samochód profesora Wilczura z nim samym, młodym hrabią Czyńskim i z psem. – Marek aż westchnął z zadowolenia. – To Leszek Czyński wpadł na pomysł, by wykorzystać ulubionego psa panny Marii.

– Teraz już mieliśmy konkretną pomoc. Nie mieliśmy czasu, by ściągać psy policyjne, ale Wiga spisała się znakomicie. Doprowadziła nas, tropiąc trasę przejazdu dorożki, do komórek na narzędzia niedaleko miejsca zamieszkania podejrzanego i zaczęła drapać w drzwi jednej z nich.

– Ja się odłączyłem na chwilę od grupy tropiącej, by sprowadzić Daniela – dodał Marek.

– Zastukałem w drzwi komórki z wezwaniem: policja, otwierać. Na początku myśleliśmy, że nikogo tam nie ma, ale usłyszałem cichy jęk, a po chwili ten bandyta wykrzyknął, żebyśmy sobie poszli, bo ją zabije – relacjonował Jacek.

W tej chwili wszedł do gabinetu policjant dyżurny.

– Panie komendancie, zebrała się przed komisariatem spora grupa dziennikarzy. Chcą z panem rozmawiać.

– Powiedz im, że trwają ustalenia operacyjne i za dwie godziny mogą liczyć na moją konferencję prasową. – Komendant wiedział, co robi. Kiedy zamknęły się drzwi za dyżurnym, rzucił krótkie: – Dalej.

– Hrabia Czyński, nie pytając nikogo o zdanie, rzucił się, by wyważyć drzwi. Trochę mu pomogliśmy i udało się je wyłamać. Zobaczyliśmy podejrzanego, który trzymał przed sobą pannę Marię jak tarczę i przykładał jej nóż do szyi. Już wcześniej wyjęliśmy broń, ja i Jacek, bo Daniel ubezpieczał tyły.

– Kiedy wykrzyczał, że ją zabije i skaleczył tak, że krew pociekła, nie mieliśmy już wątpliwości, że należy działać szybko i zdecydowanie. Pomogła nam ta ich sunia Wiga, bo wyrwała się Czyńskiemu i rzuciła się, by bronić swojej pani. Zatopiła zęby w ręce trzymającej nóż, on wrzasnął, trochę odsunął się od swojej ofiary i wtedy obaj z Jackiem wystrzeliliśmy, w tej samej chwili. Nie wiemy, czyja kula trafiła go w czoło. Ja celowałem nad głową. – Marek patrzył w oczy komendanta, czekając na reakcję z absolutnie niewinną miną.

– Ja też celowałem powyżej. – Jacek również był ciekawy, co na to komendant.

Ten potrzebował chwili, by uporządkować wiadomości i podjąć decyzję.

– Panowie, nawet gdybyście celowali w tego oprawcę, to i tak mieliście do tego prawo. W sumie dobrze się stało, że on nie żyje, bo proces sądowy mógłby ujawnić okoliczności jego działania, które obróciłyby się przeciwko ofiarom. Oto oficjalna wersja: porwał dla okupu, wiedząc o zbiórce pieniędzy na fundację. Osaczony, chciał zabić. Wy działaliście w obronie koniecznej. A szczegółowe raporty mają się znaleźć na moim biurku jeszcze dzisiaj. Możecie się przespać, zasłużyliście na to. Odmaszerować. – Komendant zakończył spotkanie.

– Aaaa, Marku. – Zatrzymał jeszcze podwładnego. – Ty jesteś w stałym kontakcie z rodziną zabitego. Jeszcze dziś, najlepiej zaraz, masz ich powiadomić o śmierci męża i ojca. Mają się o tym dowiedzieć od nas, a nie z gazet.

Policjant Marek wyszedł z komendy i niespieszonym krokiem skierował się do mieszkania Joli. Miał za zadanie poinformować rodzinę o śmierci ich męża i ojca. Wiedział doskonale, że nigdy i nikomu nie przyzna się, że to kula z jego pistoletu trafiła w czoło napastnika. Pierwszy raz w życiu strzelał do człowieka z zamiarem pozbawienia go życia i pierwszy raz zabił. Teoretycznie był przygotowywany na taką ewentualność jeszcze w szkole policyjnej, ale to, co zdecydowało o działaniu, miało niewiele wspólnego z zawodowym przygotowaniem. Przypomniawszy sobie emocje, jakie towarzyszyły tamtemu wydarzeniu. To nie była chłodna kalkulacja, tylko wściekłość. Ten człowiek naruszył wszelkie zasady moralne, bo zamiast chronić własne dzieci, systematycznie je niszczył. Widział ściągniętą twarz Joli, gdy podpatrywał i podsłuchiwał jej rozmowę z siostrą w Łazienkach. Słyszał wciąż płacz Stefci, która potwierdzała, że też jest ofiarą swego ojca. Ten człowiek to był społeczny chwast, a chwasty się wyrывa. Mając przed sobą obmierzlą gębę przestępcy przekonanego o swojej bezkarności, nawet przez ułamek sekundy się nie zawahał. Na potwierdzenie słuszności swojego stanowiska przypomniał sobie fragment „W pustyni i w puszczy” Henryka Sienkiewicza, kiedy Tomek opowiada ojcu, jak strzelał do Beduinów, którzy

porwali jego i Nel. Wtedy ojciec powiedział poważnie: „Śmiercią nie wolno nikomu szafować, ale jeśli ktoś zagrozi twej ojczyźnie, życiu twej matki, siostry lub życiu kobiety, którą ci oddano w opiekę, to pal mu w łeb i nie czyni sobie z tego żadnych wyrzutów”. A on, Marek, czuł się opiekunem tych nieszczęsnych kobiet.

Drzwi otworzyła pani domu. Marek wszedł do środka i poprosił o obecność wszystkich pań.

– Przynoszę paniom trudną wiadomość – celowo użył słowa „trudną”, a nie „smutną”. – Pani mąż nie żyje. Dziś w nocy został zabity.

Po ochłonięciu z zaskoczenia niemal jednocześnie wszystkie trzy zapytały:

– Jak to się stało?

– Wszelkich szczegółów dowiedzą się panie z prasy. Dziennikarze są doskonale poinformowani, a mnie obowiązuje tajemnica śledztwa. Mogę tylko powiedzieć, że zasłużył sobie na to, co go spotkało. Jeśli mogę paniom w czymś pomóc, to proszę powiedzieć. – Marek patrzył na twarze kobiet, nie dostrzegając ani cienia żalu, tylko wyraźną ulgę.

– Dziękujemy panu za życzliwość – zwróciła się do Marka matka. – Teraz z pewnością sobie poradzimy.

Kiedy zamknęły się drzwi za policjantem Markiem, trzy pozostałe w pokoju kobiety patrzyły na siebie bez słowa. Zamarły w bezruchu po otrzymaniu wiadomości, że ich mąż i ojciec nie żyje. Za oknami budził się nowy dzień. Słońce oświetlało puste ulice, pachniały kwiaty na balkonach. Ptaki rozpoczęły poranny koncert na wiele głosów, ale ludzki poranek niedzielny wciąż trwał w ciszy.

Jestem wdową – myśli najstarszej z kobiet skupiły się wokół osobistej sytuacji. – Dlaczego nie jest to dla mnie smutne? Dlaczego odczuwam jedynie ulgę? Jakby ciężki kamień spadł mi z serca, ale nie wypada się do tego przyznać. Co by ludzie powiedzieli, gdyby o tym wiedzieli? Tylko ja znam całą prawdę o moim małżeństwie. Nigdy więcej ten człowiek nie będzie mnie poniżał. Żyłam bez miłości, bez serdecznego słowa, bez pomocy w trudnych chwilach. Jak to dobrze, że dziewczynki namówiły mnie do podjęcia pracy zarobkowej. Na szczęście teraz wiem, że nie umrzemy z głodu.

Nigdy więcej! Nigdy więcej nie wejdzie ten niby ojciec do mojej sypialni, ale jak mam zapomnieć o latach obrzydzenia do niego i do siebie samej? Jak sobie poradzić ze wspomnieniami? – Jola, starsza z siostr, pragnęłaby stracić pamięć, jak to się zdarzyło profesorowi Wilczurowi, o czym przeczytała w „Kurierze”. Zastanawiała się, jak wykasować z umysłu obrazy koszmaru zgotowanego jej przez tego człowieka. – Teraz zaczyna się dla mnie nowe życie. – Otrząsnęła się ze wspomnień. – Dam sobie radę, jeśli będę patrzeć w przyszłość, a nie rozpamiętywać. Ten potwór nie jest wart, by poświęcić mu nawet odrobinę uwagi. – Jola wyprostowała się, gotowa do działania.

Mimo wszystko to jest straszne! Kiedy byłam małą, patrzyłam na ojca jak na najważniejszą osobę na świecie. Taki silny, taki stanowczy. Aż do chwili, gdy zaczął przychodzić do mnie w nocy. Wtedy podziw zamienił się w przerażenie i potworny strach. Teraz go nie ma, więc mogę się czuć bezpieczna. Oby tylko nikt się nie

dowiedział o tym, co nam zrobił ojciec. To by było najgorsze. – Stefcia mieszała poczucie straty z wątpliwościami i ogromną ulgą.

Pierwsza wróciła do rzeczywistości Jola, skupiając myśli na tym, co tu i teraz.

– Chodźmy do kuchni, przygotuję śniadanie. Gorąca herbata dobrze nam zrobi. – Wzięła matkę pod rękę i skierowała do drzwi kuchennych. – Dajcie, matulu, Stefci dwadzieścia groszy, to kupi gazetę. Dowiemy się przynajmniej, co się stało.

Czytały artykuł w „Kurierze Warszawskim”, jedząc śniadanie i popijając herbatą. Właściwie to nie był artykuł, tylko notatka prasowa o tym, że panna Maria Wilczurówna została porwana dla okupu, ale sprawna policja zdołała ją odnaleźć i uwolnić. W trakcie tej akcji porywacz został zastrzelony, bo groził ofierze, że ją zabije. Więcej szczegółów autor zapowiadał w wydaniu wieczornym gazety.

– Porwał dla okupu? – Wszystkie trzy panie patrzyły na siebie ze zdziwieniem. – To nie jest możliwe. Co on zamierzał zrobić? – Matka wypowiadała głośno to, co wszystkie trzy myślały.

– Coś mi się zdaje, że nasza policja umie trzymać język za zębami. – Jola kręciła głową zamyślona. – Gdyby wyszły na światło dzienne prawdziwe powody tego porwania, to chyba musiałybyśmy się stąd wyprowadzać.

– Możemy się jedynie domyślać, jak tam było – matka zgodziła się z Jolą. – Teraz jednak chodźmy na poranną mszę. Mamy obowiązek pomodlić się za jego zatraconą duszę. Może Bóg mu wybaczy, bo ja nie potrafię.

– Ja też nie potrafię mu wybaczyć. Chciałabym tylko o nim zapomnieć. Czy kiedykolwiek mi się to uda? – Dla Joli koszmar trwał zbyt długo, by mogła się łatwo z niego otrząsnąć.

– A mnie jest tak strasznie żal! Dlaczego inne dziewczęta mają kochających ojców, a ja nie miałam? Jak mogłaś wybrać sobie na męża kogoś takiego? – Stefcia histerycznie podniosła głos i zalała się łzami. Była tak rozżalona, że zaatakowała matkę, próbując ją obwinić za doznane krzywdy.

– Stefciu, dziecko, skąd miałam wiedzieć? Dopiero po ślubie okazało się, jakim był człowiekiem. – Matce serce się kroilo, kiedy patrzyła na córki, i ogarnęła ją fala poczucia winy. W jakimś sensie była odpowiedzialna za nieszczęście swoich dzieci.

– Siostrzyczko, daj spokój mamie. Myślisz, że jest tu ktoś, komu jest lekko? – Jola próbowała załagodzić sytuację. – Na szczęście mamy siebie – dodała po chwili. – Nikt więcej już nas nie skrzywdzi.

Znowu spojrzwały na siebie i poczuły ogromną więź, która łączy ofiary i współniczek tajemnicy. Podały sobie ręce, tworząc zamknięty krąg. Znalazły w tej wspólnocie pocieszenie i wiedziały, że mogą czerpać z niej siłę.

– Po wyjściu z kościoła wstąpimy na posterunek policji. – Matka przerwała długie milczenie. – Mamy prawo wiedzieć, gdzie jest jego ciało. Ktoś musi zorganizować i opłacić pogrzeb. Myślę, że robi to miasto. A po południu znajdziemy czas, aby zająć się porządkowaniem jego pokoju. Wszystkie ubrania spakujemy i odniesiemy do Czerwonego Krzyża. Już oni będą wiedzieli, co z tym zrobić. – Przyziemne, praktyczne

sprawy pozwoliły oderwać myśli od szokującej wiadomości i zająć się czymś, na co miały bezpośredni wpływ.

Leszek po powrocie do Karskich musiał jeszcze wysłuchać opowieści rodziców, bo wujostwo i kuzynostwo chcieli wiedzieć o wszystkim, co się stało, z pierwszej ręki. Był tak potwornie zmęczony i rozbity wewnętrznie, że opuścił towarzystwo, przepraszając, by choć trochę odpocząć. W swoim pokoju nie mógł się odprężyć, sen nie przychodził. Miał przed oczami porwaną Marysię, jej udręczoną twarz i wciąż czuł własną bezsilność. Widział jej piękną suknię, poplamioną i porozdzieraną. Gdyby miał broń, to z pewnością sam by strzelił do tego oprawcy. Mógł jedynie pozwolić Widze, by zaatakowała. Dzielny pies bronił swojej pani z narażeniem życia, ale dał w ten sposób możliwość działania policji. Młody Czyński usłyszał dwa strzały, nie wiadomo, która kula trafiła. Bardzo dobrze, ktokolwiek to zrobił, miał do tego pełne prawo – myślał, zły na siebie, że to nie on sam. – Muszę sobie kupić broń i nauczyć się strzelać – zdecydował. – Nigdy nikt nie może zagrozić moim najbliższym. Zaraz, czy Marysia jest mi osobą najbliższą? Co za głupie pytanie sobie zadaję – skarcił się w duchu. – Ona była, jest i będzie zawsze...

Zaczął roztrząsać powody, dla których zerwał zaręczyny. Chciał ją mieć tylko dla siebie, a tymczasem jakiś potwór chciał mu ją odebrać. Czy w ogóle można przejść przez życie, mając pewność, że ta druga strona nigdy nie odejdzie? Przecież ludzie chorują, umierają. Przywołał wspomnienie rodziców Marysi. Po ośmiu latach małżeństwa żona Wilczura zakochała się w kimś innym i po prostu go opuściła, powodując tragedię nie do opisania. Zwykle konwenanse utrzymują status quo w wielu rodzinach. Kobiety nie odchodzą od swoich mężów, nawet tyranów, często z powodów materialnych. Czy niezależność Marysi, zarówno zawodowa, jak i finansowa były dla Leszka zagrożeniem? Zawstydził się na tę myśl. Przecież ona go zaakceptowała w całości, ale on chciał ją wtłoczyć w swoje ramy. No dobrze, czy jest coś złego w tym, że człowiek chce mieć żonę taką, jak inne żony?

– To trzeba było wybrać przeciętną pannę bez aspiracji zawodowych – jakiś głosik wewnętrzny sprzeciwiał się tej linii rozumowania.

– Ale ja właśnie wybrałem szarą myszkę, pannę sklepową bez szans na zmianę statusu społecznego, no chyba że się z nią ożenię. – Dumnie wypiął pierś jako dobroczyńca.

– Życie płata figle, panie hrabio. – Wewnętrzny głosik był jadowicie sarkastyczny. – Wygląda na to, że to pan będzie musiał się postarać, by dorównać „pannie sklepowej”. Może się pan od niej wiele nauczyć.

– Ona ode mnie także – nie ustępował Leszek jako strona monologu wewnętrznego.

– A konkretnie to czego? – Głosik był rozbawiony. – Przecież właśnie wybiera się na studia, by stać się dla jasnie pana partnerką nie tylko jako żona, ale jako przyjaciel. To

właśnie potrzebę wykształcenia Marysia czerpie od pana. Choć, mówiąc szczerze, tę potrzebę ma również sama w sobie.

– Po co ja o tym wszystkim myślę? Snuję rozważania filozoficzne, a przecież najważniejszy był szok, gdy ujrzałem nóż przy jej gardle i uświadomiłem sobie, że za chwilę może już jej nie być. Ja nie chcę jej stracić!!!

– Panie hrabio – wewnętrzny głosik był tym razem poważny – czy jest pan gotowy wspierać Marysię w jej dążeniu do uzyskania dyplomu lekarza?

– Tak, bylebym mógł być blisko niej. – Leszek zobaczył ich wspólne mieszkanie, codzienne spotkania i długie rozmowy i poczuł, że jest gotowy na ustępstwa wobec samego siebie.

– Czy jest pan gotowy zaakceptować jej pracę w klinice, jej dyżury i wezwania do chorych? – Głosik był nieustępliwy.

– Z tym będzie trochę gorzej, ale mogę się przyzwyczaić. – Był gotów na bardzo wiele, by połączyć się z Marysią.

Gdy Leszek obudził się późnym popołudniem, zastał rodziców już spakowanych i gotowych do wyjazdu.

– Czy jedziesz, synu, z nami? – Pani Eleonora prawdopodobnie chciała zabrać Leszka do domu. – Jutro z samego rana odjeżdża nasz pociąg.

– Pozwólcie mi, proszę, zostać w Warszawie jeszcze kilka dni. Mam do zakończenia sprawy fundacji.

– Jutro pojedziemy jeszcze po pannę Janowiczównę. Daj nam znać, kiedy przyjedziesz do domu. – Pan Stanisław rozumiał i pochwalał odpowiedzialność, z jaką Leszek angażował się w sprawy społeczne.

Leszek zjadł coś naprędce i postanowił rozmówić się z Marysią. Dotarł do willi przy Alei Bzów około godziny osiemnastej. Wcześniej zatrzymał się przy kiosku z gazetami, by przeczytać relacje z balu i wiadomości o porwaniu Marysi. Relacje z balu były w pełni satysfakcjonujące. Dziennikarze rozpisywali się o toaletach uczestniczących dam i wytwornych ubiorach panów. Poświęcili sporo miejsca przemówieniu ministra, zacytowali niemal w całości wystąpienie Wilczura i jemu samemu poświęcili sporo miejsca, wychwalając strój, prezencję i swadę, z jaką mówił. Zachęcali również do hojności na rzecz fundacji, podkreślając jej społeczne znaczenie. Dopiero na trzeciej stronie znalazła się notatka informująca o porwaniu panny Marii Wilczurówny przez nieznanego sprawcę.

Spacer przez miasto dobrze Leszkowi zrobił. Miał dość czasu, by ułożyć w myślach, co powie Marysi i jak ją przekona, by mu zaufała. Był dość inteligentny, by rozumieć, że zepsuł coś niezwykle delikatnego, że bezgraniczne zaufanie rozpadło się. Jak ma jej udowodnić, że zmiana w nim samym jest wystarczająco trwała, by na niej budować wspólną przyszłość? Kupił jeszcze po drodze piękny bukiet kwiatów w nadziei, że one pomogą przełamać mur chłodu i nieufności.

Tymczasem furtkę otworzyła mu Michałowa, informując, że panienki nie ma, bo wyjechała z ojcem za miasto.

– Proszę przekazać pannie Marysi te kwiaty. Ja skontaktuję się z nią telefonicznie jeszcze dziś wieczorem. – Leszek wręczył kwiaty i ukłonił się sztywnie i oficjalnie gospodyni domu.

– Oczywiście, przekażę. – Michałowa ledwo skinęła głową, zabierając bukiet i zamykając drzwi za sobą.

Co nagle, to po diable – konstatawał Leszek w drodze powrotnej. – Mam jeszcze chwilę, by wszystko przemyśleć. A może lepiej porozmawiać najpierw z jej ojcem? Rodzicom jeszcze nic nie powiem, bo nie jestem pewien, jak zostanę przyjęty. Czy mam jej dać ten sam pierścionek, czy kupić nowy? O czym ja myślę? – zganił się lekko zniesmaczony. – Najważniejsze, że nie wiem, jak mam przetrwać te pięć lat jej studiów. A później, gdy zamieszkamy w Ludwikowie i ona będzie pracować w lecznicy... – wątpliwości obsiadły go jak muchy padlinę. – Sęk w tym, że ja ją kocham i nie umiem sobie wyobrazić życia bez niej. Wszystko się ułoży.

Wyraźnie pocieszony wrócił do Karskich.

Następnego dnia rano państwo Czyńscy wraz z panną Janowiczówną wyjechali do Ludwikowa. Leszek umówił się z Marysią i jej ojcem, nie podając jednak powodów tego spotkania. Tuż po obiedzie zjawił się w willi Wilczurów, przejęty jak nigdy dotąd. Lokaj Bronisław wpuścił go do środka i powiadomił państwa. Usiedli w gabinecie.

– Czy chcesz porozmawiać o fundacji? – profesor zadał to proste pytanie, ale przeczuwał, że chodzi tu o coś więcej.

– O fundacji też, ale nieco później. Chodzi mi bardziej o sprawy osobiste. – Leszek zrobił znaczącą przerwę. – Długo myślałem nad niepojętą pasją bycia lekarzem. Obserwując pana profesora, zdałem sobie sprawę z niezwyklej potrzeby pomagania ludziom, jaka panu przyświeca. Zdałem sobie również sprawę, że Marysia idzie tą samą drogą. Zawstydziliście mnie oboje swoim oddaniem dla najbardziej potrzebujących. Ja przecież mieszkam w Ludwikowie od urodzenia, a dopiero teraz zobaczyłem to, co wy widziacie od dawna. Daliście mi niezłą lekcję pokory i pomogliście dojrzeć. Zacząłem dostrzegać, że okoliczni ludzie, choć mieszkają biednie, ubierają się skromnie, mówią dużo prościej, czują głęboko i prawdziwie. Mają też swoją godność, widoczną zwłaszcza w sposobie odnoszenia się do państwa. To jest grzeczność, ale nie ma w niej uniżoności. – Zatrzymał się, obserwując słuchaczy. – Teraz już wiem – kontynuował – że praca lekarza wymaga poświęcenia ze strony całej jego rodziny. Dotąd sądziłem, że to kobiety mają się poświęcać dla kariery zawodowej swoich mężów. Teraz już tak nie myślę. Jestem gotowy towarzyszyć ci, Marysieńko, w realizacji twojego marzenia i później, gdy będziesz wykonywać swój zawód.

Zapadło długie milczenie. Michałowa wniosła filiżanki i dzbanek z kawą, po czym dyskretnie opuściła gabinet. Wilczur nieznacznie uśmiechnął się, słuchając Leszka, bo

faktycznie miał dobre przeczucia. W sumie trudno się dziwić, że Leszek potrzebował czasu, by pogodzić się z tak niezwykłymi planami Mariolki. Może faktycznie dojrzał do tego, by związać się z lekarką?

Marysia patrzyła na Leszka z mieszaniną zdumienia i niedowierzania.

– Co ci się stało? Co cię tak odmieniło? – zwróciła się poważnie do Leszka.

– Gdy zobaczyłem, jak ten bandyta trzyma cię przed sobą jak tarczę, gdy zobaczyłem krople krwi spływające po twojej szyi i uświadomiłem sobie, że mogę cię bezpowrotnie stracić, to coś we mnie pękło. Bóg mi świadkiem, że chciałem o tobie zapomnieć, ale okazało się to niemożliwe. Kocham cię, Marysiu, całym sercem i nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Wybacz mi moje niegdysiejsze głupie zachowanie i uwierz, że to się nigdy więcej nie powtórzy.

– Jesteś pewny, że podołasz codzienności, gdy opadną uniesienia, a ja będę wzywana do chorych o różnych porach dnia i nocy? – Marysia wolała smutną prawdę niż kolorowe marzenia. – Chcę się z tobą podzielić okropnym snem, jaki nawiedził mnie zaraz po przyjeździe do Warszawy, gdy zastanawiałam się, jak ci powiedzieć o moich zawodowych planach. – Wzięła głębszy oddech, by wrócić do tamtej wizji. – Śniło mi się, że krzyczysz na mnie, gdy pochylałam się nad kołyską naszego dziecka, że wyrzucasz mi dyżury w lecznicy, że domagasz się więcej czasu dla rodziny, a w podtekście dla ciebie samego. Czułam się wówczas zraniona i oszukana. Nie chcę tego przeżywać na jawie.

Bardzo długo panowało całkowite milczenie. Leszek był jak ogłuszony. To, z czym przyszło mu się mierzyć, przytłaczało go, ale równocześnie dopingowało do walki. Pierwszy odezwał się Wilczur.

– Twoje wątpliwości, córeczko, są jak najbardziej uzasadnione. Myślę jednak, że jesteś odrobinę dla Leszka niesprawiedliwa. Nie było mu łatwo zaakceptować fakt, że jesteś inna od znanych mu pań domu, od większości żon i matek.

– Dziękuję panu za te słowa. – Leszek patrzył na Wilczura z ogromną wdzięcznością. – Nie było mi łatwo, ale gdybym nie doszedł do powyższych wniosków, nie byłoby mnie tutaj. Rozumiem, Marysiu, twój punkt widzenia i go szanuję. Właśnie ten mój szacunek niech ci będzie gwarancją zmiany. A czy trwałej? Kto może z całą pewnością powiedzieć, że nic się nie zmieni? Nie ma takiej osoby na świecie. Ze swej strony mogę ci jedynie obiecać, że zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy, by nasze małżeństwo było szczęśliwe i trwałe.

To ostatnie zdanie rozbroiło Marysię. Uśmiechnęła się lekko.

– Przecież to zabrzmiało jak przysięga małżeńska.

– Bo w istocie nią jest. – Leszek przyklęknął na kolano i wypowiedział zwyczajową formułkę, otwierając pudełeczko z pierścieniem. – Czy zechcesz mi, pani, zrobić ten zaszczyt i zostać moją żoną?

Marysia przykucnęła obok niego, objęła go za ramiona i wyszeptwała krótkie:

– Tak.

Podśluchujący pod drzwiami Michałowa, lokaj Bronisław i nawet kucharka rzucili się na młodych z gorącymi życzeniami. Natychmiast zorganizowali kieliszki i podali

szampana.

- Za zdrowie młodych – krzyknęli gromko.
- Za miłość, która wszystko wybaczy – dodał szczęśliwy ojciec.

Warszawa, 3 lipca 1934 r.

Kochani Rodzice,

wyjechaliście z Warszawy zaledwie parę godzin temu, a ja mam Wam do zakomunikowania niezwykle ważną wiadomość. Po południu przedstawiłem i profesorowi, i Marysi powody, dla których pragnę pojąć ją za żonę. Rozmowa trwała długo, Marysia miała wiele wątpliwości, ale na szczęście doszliśmy do porozumienia i moje ponowne oświadczenia zostały przyjęte.

Z całą pewnością oczekujecie wyjaśnień. Oto one.

Po pierwsze profesor Wilczur wiedział o planowanym zamachu na Marysię i nic mi nie powiedział. Również policja, która przygotowywała zasadzkę na tego bandytę, nic mi nie powiedziała. Gdybym był narzeczonym Marysi...

Po drugie przeżyłem wstrząs, gdy dowiedziałem się, że Marysia została porwana. Zalała mnie fala rozpacz, bo zdałem sobie sprawę, że mogę jej nigdy więcej nie zobaczyć.

Po trzecie, i najważniejsze, kiedy Wiga doprowadziła nas do komórki, w której była przetrzymywana Marysia, gdy wyważyliśmy drzwi, a ja zobaczyłem, jak nóż bandyty kaleczy skórę mojej ukochanej, wezbrała we mnie taka wściekłość i taka rozpacz, że gdybym miał pistolet, to bym go zabił bez chwili wahania. Na szczęście policjanci mieli broń i zrobili z niej właściwy użytek.

To, co czuję do Marysi, jest głęboką i prawdziwą miłością, a nie przelotnym zauroczeniem. Rezygnacja z takiego daru niebios byłaby zbrodnią i grzechem śmiertelnym. Zapytacie zapewne, co będzie z jej studiami i pracą lekarza. Otóż bez Waszej pomocy i wsparcia pogodzenie tego wszystkiego będzie bardzo trudne. Mam jednak nadzieję, że gdy pojawi się na świecie Wasz wnuk, znajdziecie w swoich sercach dla niego miejsce i zechcecie nam pomóc w jego wychowaniu.

Przyjedziemy do Ludwikowa za parę dni. Wysyłam gorące uściski i z niecierpliwością czekam na nasze spotkanie.

*Wasz kochający syn
Leszek*

Ubrane na czarno szły za trumną i księdzem zupełnie same. Żadna z sąsiadek, nikt ze znajomych i nikt z rodziny nie towarzyszył trzem osieroconym kobietom. Dopiero po zasypaniu grobu i zmówieniu modlitwy dołączył do nich policjant Marek. Podchodził kolejno do każdej z nich i mówił, że jest mu przykro, że im współczuje. Położył na grobie skromną wiązkę kwiatów i już chciał odchodzić, ale zatrzymała go wdowa po zmarłym.

– Panie Marku, proszę zjeść z nami skromny obiad. Jak pan widzi, jesteśmy zupełnie same, tylko pan jeden zechciał nam towarzyszyć. – Kobieta podniosła na Marka oczy pełne nadziei.

– Zostań z nami, nie odchodź. – Obie panienki przyłączyły się do prośby matki.

Marek w milczeniu skinął głową, więc ruszyli ku bramie cmentarza. Jego myśli biegły jak szalone. – Co ja robię, jak mogę pocieszać, skoro jestem sprawcą tej tragedii? Kiedy patrzę na Jolę, to dociera do mnie z wielką siłą świadomość, że nie wolno mi się do niej zbliżyć. Co z tego, że nikt nie wie, jak było naprawdę? Wystarczy, że ja wiem. Jestem mordercą jej ojca! – Zgarbił się pod wpływem tych myśli, czując ciężar odpowiedzialności. Najgorsze, że właśnie teraz bardzo by chciał spotykać się z Jolą, rozmawiać o tylu pięknych rzeczach, które ich otaczały, pomagać dziewczynie w uporaniu się z upiorami przeszłości. Ale mu nie wolno! Wobec tego postanowił odczekać, przynajmniej rok, do czasu, gdy Jola skończy szkołę. Może wtedy, przy dłuższej perspektywie, znajdzie sposób na pokonanie złego fatum, które nad nim zawisło.

Przy obiedzie rozmowa nie kleiła się. Trudno było znaleźć temat odpowiedni do sytuacji. Dopiero przy deserze Marek wyjął z kieszeni małe zawiniątko i podał je matce.

– Wykupiłem z lombardu naszyjnik, który, jak sędzę, należy do pani, a który zastawił pani mąż.

– Jestem panu taka wdzięczna. – Matka rozpakowała zawiniątko i aż zachłysnęła się z radości. – Skąd pan wiedział? Bo ja nic nie zauważyłam. Ile to kosztowało? Muszę panu oddać pieniądze.

– Nic nie jest mi pani winna. Zrobiłem to z poczucia sprawiedliwości, panie już dosyć się nacierpiały. A wiedziałem o zastawieniu naszyjnika od kolegi, który śledził kroki pani męża. – Marek zrobił gest zatrzymujący gotowość zapłaty. Następnie wstał, podszedł do drzwi wejściowych i powiedział:

– Dziękuję za poczęstunek. Życzę paniom, aby w nadchodzących dniach zagościły w tym domu spokój i zapomnienie. Do widzenia.

W Ludwikowie radość państwa Czyńskich nie miała granic. Otworzyła młodym drzwi Michalesia i pierwsza uściskała Leszka, a potem Marysię, gratulując im ponownych zaręczyn. Wilczur odprawił Franka do młyna, wiedząc, że Zonia na niego czeka.

Uroczysta wieczerza zaręczynowa już czekała na wypatrywanych i głodnych wędrowców. Kiedy wszyscy się najedli, przyszedł czas na poważne rozmowy

o przyszłości, w której organizacja wesela miała swój priorytet.

– Powiedziałaś, Marysiu, że masz swoją parafię w Warszawie, ale czy chciałabyś brać ślub właśnie tam? – Leszek zadał zasadnicze pytanie.

– Może zechciałabyś rozważyć ślub i wesele tutaj, wśród ludzi, których dobrze znasz, którzy cię lubią i są ci bardzo przychylni? – włączyła się do rozmowy pani Eleonora.

– Są do rozważenia też dodatkowe okoliczności. – Wilczur, zatroskany, odnosił się do sytuacji w Warszawie. – Niedawno przecież odbył się bal dobroczynny Fundacji „Nadzieja” i stał się medialnym wydarzeniem. Nie mam wątpliwości, że gdy ogłosimy ślub w Warszawie, również nas, Wilczurów i Czyńskich, włączą w ten medialny szum. Zależy mi na tym, by zostawiono nas w spokoju, ale wiadomość o waszych zaślubinach, kochane dzieci, nie przejdzie bez echa i znowu się zacznie robienie zdjęć i wywiadów. Gdzie tu jest miejsce na kameralną, rodzinną uroczystość?

– Chyba że wam zależy na rozgłosie? – Pan Stanisław przenosił wzrok z Leszka na Marysię.

– Nie, nie zależy – odpowiedział Leszek. – A tobie, Marysiu? – Zawiesił wzrok na twarzy narzeczonej, choć znał odpowiedź.

– Przychyłam się do waszego stanowiska. – Marysia też nie chciała szumu. – Jest jednak problem z zaproszonymi gośćmi. Będą musieli dojechać do Ludwikowa, a gdzie my ich pomieścimy? Zależy mi oczywiście na państwie rodzinie, ale chciałabym również zaprosić kilka moich przyjaciółek ze szkoły.

– Zaprosimy twoje koleżanki, kochanie, i znajdziemy dla nich miejsca noclegowe. Niedaleko stąd mieszkają nasi przyjaciele: Galińscy i Radziwinowie. W ich domach jest dużo pokoi dla gości. – Pani Eleonora uśmiechnęła się szeroko, rozwiewając marysine wątpliwości.

– W tej sytuacji należy już jutro pojechać do proboszcza i dać na zapowiedzi. Czy wszyscy się na to zgadzają? – Ojciec Marysi był przekonany o słuszności postanowienia.

– Huraaa! – Leszek poderwał się z kanapy, chwytając Marysię w ramiona. – Już niedługo będziemy razem na zawsze.

– Ty wariacie, postaw mnie na ziemi, bo za chwilę urosną nam skrzydła i odlecimy. – Roześmiana Wilczurówna i wszyscy obecni mieli w oczach łzy szczęścia.

Służba bez wezwania wniosła kieliszki do szampana i butelkę. Oczywiście słyszeli wszystko, o czym rozmawiali ich państwo z gośćmi, i ze swej strony bardzo się cieszyli. Dla wszystkich zbliżał się wielki dzień. Pan Leszek wreszcie się ustatkuje.

Dzień był słoneczny, niebo bezchmurne, a ptaki śpiewały najpiękniej. Okoliczne pola złociły się wysokimi kłosami, na pastwiskach słychać było porykiwania pasących się krów, a w dali, na łąkach, widać było srebrzyste odbłaski wznoszonych kos i jednostajny ruch kosiarzy.

Marysia już wcześniej przygotowywała się na zasadniczą rozmowę z narzeczoną. Teraz powoli wracała do równowagi i mogła poruszyć sprawy niezwykle ważne.

W sierpniu wezmą ślub, a co potem?

– Powiedz mi, kochany, jak sobie wyobrażasz nasze wspólne życie w czasie, gdy będę studiować? – Spojrzała na Leszka z zaciekawieniem, lekkim niepokojem i dużą nadzieją.

– To będzie dosyć proste, mój skarbie. – Leszek najwyraźniej już wcześniej myślał na ten temat. – Twój tata ma zamiar wyjechać na dobre do Radoliszek, więc ja będę mógł zamieszkać razem z tobą w Warszawie.

– A co na to twoi rodzice? Przecież jesteś potrzebny w fabryce, oni liczą na ciebie. – Marysia, jak zwykle, myślała nie tylko o sobie.

– Poradzą sobie. – Leszek beztrudno machnął ręką. – Tata jest wciąż w dobrej formie, ma sprawdzonych i oddanych pracowników, a ja przecież będę przyjeżdżał od czasu do czasu i starał się im pomóc. Poza tym wrócimy do Ludwikowa za te pięć lat, kiedy przywiozę nową panią doktor. – Szeroki uśmiech Leszka miał rozwiać wszelkie wątpliwości Marysi.

– Ale co ty będziesz robił w Warszawie, gdy ja będę się uczyć? Dużo uczyć... – Marysia pokręciła głową pełną wątpliwości.

– Przyszło mi do głowy, że mógłbym kontynuować swoje zaangażowanie w sprawę fundacji. Przecież jedna lecznica w Radoliszkach to kropla w morzu potrzeb całej Polski. Skoro pan minister zainteresował się balem dobroczynnym, to może uzna, że warto zainwestować w powstanie jeszcze innych lecznic. A ja mógłbym tego dopilnować.

– Leszku – Marysia aż podskoczyła z radości – jesteś niezwykły. Podejrzewam cię nawet o ambicje polityczne.

– Kto wie? – Leszek rozważał ten nowy punkt widzenia. – Ale wracając do teraźniejszości, pragnę cię powiadomić o planach na nasz miesiąc miodowy. Będziemy mieli cały wrzesień, aby nacieszyć się sobą, zanim rozpoczniesz naukę, moja ty studentko Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. – W jego głosie było tyle tkliwości i dumy, że Marysia zrobiło się ciepło na sercu. – Zaplanowałem wyjazd do Paryża – ogłosił arbitralnie.

– Zaraz, zaraz, nie tak prędko, mój skarbie. – Marysia próbowała przywołać Leszka do porządku. – Może należałoby mnie spytać o zdanie?

– Nie podoba ci się ten pomysł? – Leszek udawał, że nie wie, o co Marysia chodzi.

– Nie o pomysł mówię, tylko o jednostronnym podejmowaniu decyzji. Leszku, pragnę cię poinformować o planach na nasz miesiąc miodowy. Zaplanowałam wyjazd do Wenecji. – Marysia zmieniła głos, parafrazując wypowiedź Leszka. – Jak się czujesz?

Leszek otworzył szeroko oczy, stropił się wyraźnie i po krótkiej chwili wahania powiedział:

– Wygrałaś. No to dokąd jedziemy?

– A jakie to ma znaczenie? – Marysia roześmiała się w głos. – Ważne, że już rozumiesz, na czym polega zamiana słowa „ja” na słowo „my”.

San Luis de Sabinillas

grudzień 2022

SPIS TREŚCI:

Okladka

Strona tytułowa

Wstęp

Maria Jolanta Wilczurówna

Maria Jolanta Wilczurówna

ISBN: 978-83-8313-778-0

© Katarzyna Echt i Wydawnictwo Novae Res 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody Wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Maria Bickmann-Dębińska

KOREKTA: Konrad Witkowski

OKŁADKA: Izabela Surdykowska-Jurek



Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Grupa Zaczytani sp. z o.o.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest na stronie zaczytani.pl.

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek